



Opowiadania pana Kaspra Łyka

spisał

K. B.

Ł

Ł y K

k

K K K K

~~Było drukowane w Reformie w felietonie w r. 188(2)~~

Drukowany w dzienniku

Pierwszy utwór drukowany mego pióra!

Bałucki

I.

Wycieczka na Bielany.

Opowiadanie pana Kaspra Łyka.–

Wiadomo światu że nasz Kraków ładne na okolice. Zwiedzane też są licznie każdego pogodnego dnia, lecz pewne dni w roku mają ten przywilej, iż każdy prawowity Krakowianin musi w nich odbyć pielgrzymkę na rogatki miejskie i zwiedzić niektóre miejscowości: i tak w Emaus musi być każdy Krakowianin na Kopcu Kościuszki; 15 Września w Mogile rzekomo na odpuście, wreszcie w Zielone Świątki na Bielanach.

Otóż właśnie w pierwsze święto Zielone zajechał na ulicę Sławkowską wóz chłopski, ubrany zielenią przed dom szanownego p. Macieja Cholewy, fabrykanta obuwia męskiego, a widocznie był już oczekiwany, gdyż zaledwo stanął przed bramą, dwóch chłopaków w krótkich spodeńkach poczęło głośno manifestować swą radość i wołać

wielkim głosem: „Mamo! Tato!" już jest Walenty! już jest wóz!" poczem ~~Na to wołania~~ zaczęli się młodzieńcy ci gramolić na wóz. Na to wołanie, zjawiła się w bramie. Kamienicy pewna liczba pakietów, paczek, pudełek, koszyków, butelek i samowar (nie codziennie spotykanych rozmiarów) niesionych przez stosownie brudną kucharkę, które to ruchomości, za pośrednictwem chłopaków i furmana ulokowano w końcu wozu. Okoliczność ta dała sposobność do „przymówienia się" furmana z kucharką, a konsekwencyą tego było czynne znieważenie furmana przez kucharkę, a dalszym zajściom w porę położyło koniec nadejście państwa „Maciejów" z córeczką panną Antoniną, p.p. Kozika starszego, wielkiej tuszy mężczyzny, profesyi rzeźnickiej, z tegoż pełnoletnim synem panem Jackiem, tudzież kuzynem panem Korotkiewiczem, „samoistnym

przemysłowcem kunsztu krawiec-
kiego?"
— A szynka jest? Marys? zapytała
pani Cholewina.
— Jest, proszę pani.
— A ta czworograniasta butelka
ze szuapsem? zapytał pospiesz-
nie pan Cholewa
— Jest proszę pana wszystko.
— A więc siadajmy.
Tu nastąpiła nieco drażliwa scena,
albowiem musiano więcej przemocy,
ażeby chłopaków, którzy już sobie naj-
lepsze miejsca okupowali, wyrugować
z tychże. Wreszcie dzięki wspólnym a ener-
gicznym usiłowaniom ulokowano
Jasia na tył fury, a Stasia naprzód
obok furmana.
— Żebyś mi się krokiem z domu nie
ruszyła, Marys, rzekła pani Cholewina
do dźwigającej ostatnich rozkazów ku-
charki. Jutro będziesz mieć za to ca-
ły dzień „frei" to sobie będziesz mogła
pójść na Brelany; a dziś już siedź,
żeby kto domu nie okradł!

– A gdzieżbym ja tu tkwiła, proszę pani! Będę siedziała „kamieniem”.

Furman trzasnął z bicza i ruszył przez Rynek, ulicą Wiślną ku Zwierzyńcowi.

Marysia patrzyła długo za oddalającym się wozem. Gdy zniknął w Wiślnej ulicy zwróciła swe oczy w przeciwną stronę, ku ulicy Długiej, zkąd po niedługiem oczekiwaniu nadszedł pan Bartłomiej Kisiołka „frajter” od Gorzimtów. Po czułem przywitaniu z Marysią udali się oboje na pierwsze piętro gdzie w recepcyjnym, dumą państwa Maciejów będącym, pokoju poczęli viribus unitis, wedle dewizy mocarstwa, któremu służył p. Kisiołka rozwijać pewien pakiet, dziwnie podobny do znoszonych na wóz pakietów .... z którego interesująca woń przezornego kurczęcia dochodziła.

Tymczasem gościńcem zwierzynieckim pędził wóz chmurą kurzu otoczony ku Bielanom

Państwo Maciejowie, rodzice Jasia i Stasia tudzież panny Antoniny ładnej tęgiej brunetki, mieli własną kamienicę przy ulicy Sławkowskiej i podobno coś z gotówki – a to powinno iść dobrze w oczach Bytekińska rekomendowce. Pan Kosiński senior, kamoter państwa Chelewów, był również zamożnym obywatelem, obecnie prowadził za niego interes syn Jacek, a stary używał na starość pokoju, na który przez całe życie pracował. O jego kuzynie, panu Kłosiatkiewiczu powiemy tylko tyle, że oprócz Mugoo, miał piękne ubranie na sobie, a szczególnie imponował Jasiowi i Stasiowi wysoki cylinder jego.

W drodze nie zaszło nic nadzwyczajnego, zaszli im tylko kilkakrotnie drogę żydkowie dzierżawiący myto, a to należy do rzeczy aż nadto zwyczajnych na naszych drogach.

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

[redacted]

Pan Maurycy rozmawiał de publicis z panem Ignacym Koziołkiewiczem, pan Zorik senior drzemał, tracąc równowagę za każdem wstrząśnieniem wozu, pan Jacek bawił panie rozmową, co mu się dosyć udawało, bo się ciągle śmiały. Staś zaprzyjaźnił się z furmanem już o tyle, że palił z jego fajki, a Jaś za plecami ojca zdołał za pomocą zręcznej manipulacyi jakoś otworzyć pewne płaskie pudełko i za pomocą laseczki zebrać wszystkie konfitury ze znajdującego się tamże torta, które natychmiast ukrył bez śladu w swym brzuszku. —

Wreszcie [redacted] zawadził wóz po raz ostatni o inny obok przejeżdżający i furman zawołał:

— Prrr! a stójże bestyjo!

i pasażerowie nasi znaleźli się
w sercu Bielan, wśród ~~zgiełku~~ i chao-
su, mogącym dać wyobrażenie, jak
wyglądała wówczas ziemia, kiedy
Duch unosił się nad wodami.
Pan Kocik senior narzekał na o-
tłuczone boki, pan Maciej na
rozsypanie tabaki z powodu dozna-
nych wstrząśnień na wybornej ce-
sarsko-narodowej drodze. Posztur-
kiwani zewsząd, zgubiwszy dwa razy
po drodze Jasia a cztery razy Stasia,
którym wszystko jakoś było nie
swojsko, obdzieleni bagażami dą-
żyli ku górze, aby się na murawie
w cieniu drzew ulokować. W peregry-
nacyi tej bawił ich głuchy głos pięciu
katarynek, równocześnie naraz każda co innego
grających. Co krok musieli omijać
bujające huśtawki, nie chcąc dać
się na wstępie uśmiercić lub co
najmniej otrzymać potężnego guza.
Wreszcie przebili się przez tłumy
~~znaleźli się~~ i tylko szukali dogodnego

miejsca, gdzieby obóz założyć można.
A jak na szczęście spotykają ku-
molerstwo swoje, państwa Przy-
szczypków, którego męska połowa
prowadziła również fabrykę obówia.
Obok zasiadał syn ich sześciostopo-
wy, wytrwale wygrywający na o-
gromnej harmonii, domniemany
sukcesor firmy: „Przyszczypek et Comp."
Dwoje dziewczątek akompaniowało mu
uderzając pokrywkami.
— A wszakże Kumotrowie obok nas
siadają! Całe Bielany ładnie
stąd widać!
— Siadajcie moi państwo, poprzez
prośbę małżonki, pan Przyszczypek
odpowiedział sobie, a my z p. Maciejową
pójdziemy do kościoła, bo się to
przecie na odpust przyjechało.
— Odpust? zapytał pan Kowalski,
więc — nic o tem nie wiedziałem
— O! młodzi! zawołał zgorszony p.
Przyszczypek — myślą, że się to na
majówkę jedzie dziśiaj na Bielany!
Niereligijność! Zgroza bierze!

Potem wysłaniu swego bogobojnego
obuwczenia udał się pan Przyszczypek
z panem Cholewą i Kosikiem majorem ku kościołowi.
Zrobiwszy ze 200 kroków oglądnął
się p. Przyszczypek — oglądnął się i
p. Maciej — i szepnął:
— Już nas nie zobaczą.
— Możemy skręcić.
Potem trzej religijni mężowie
skręcili pod pewien chorągwiami
ozdobiony namiot na którym
widniały napisy: „Piwo, wino,
i wszelkie przekąski — szybka
usługa."
Tymczasem panie Maciejowa i Przy-
szczypkowa zabawiały się konwersa-
cyą o zdrowiu ich potomków, o spo-
sobach leczenia różnych chorób tych-
że i. t. p. zajmujących kwestyach.
Pan Ignacy i Jacek zabawiali
pannę Antoninę widocznie rywali-
zując o jej względy — wszystko byłoby
jak najlepiej, gdyby nie to, że ~~pan~~
młody Przyszczypek z niezmordowaną

wytrwałością wygrywał najpiękniej: wyjątkowo własne kompozycyje na swej harmonii, tak olbrzymim opatrzoną miechem, że wirtuoz rozciągał ręce na obie strony w sposób dotykalnie nadzwyczajny. Ale sąsiadom, za co wprawdzie za każdym razem przepraszał, ale pozycyi swej nie zmieniał. Następnie na chwilkę został spokój zakłócony egzekucyą wykonaną doraźnie na Stasiu z powodu, że ważne pozelebi [illegible] przemawiały za tem, że on jest sprawcą ogołocenia tortu z konfitur i: zniknięcia jednego pakietu z kurczęciem. Wprawdzie przyznał się wreszcie delinkwent co do tortu, ale co do kurczęcia najgoręcej protestował, co go jednak nie było w stanie z podejrzenia oczyścić.

— Coś naszych "nie widać! zawołała pani Maciejowa, gdy już zjedzono zakąskę, trzy razy pogodzo-

no czynnie wmieszał się malców i nastawiono samowar.
— Pod górę do kościoła daleko — skarżyła pani Przyszczypkowa.
— Pewnie jeszcze wstąpią gdzie po drodze, o! znam ja ich. Byle się tylko nie podchmielili.
— O! gdzież znowu. mój jeszcze nigdy nie był pijany, tylko raz kiedy się ze mną żenił.
— A drugi raz z p. Kocikiem u Panny Maryi — dodał p. Przyszczypek senior.
— Pst! szepnęła pani P. — żeby młodszy nie usłyszał!
— E! oni zagadani z panną Antoniną, to nie usłyszą co my mówimy. O! to była heca wtedy!
— Jakie to było? zapytała ciekawie pani Cholewina.
— Ano, poszedł p. Kocik z ojcem po polsku ubrani do zakrystyi do Panny Maryi, bo mieli na ramionach nieść baldachim. Ale zebrało się ich coś ze dwudziestu w kontuszach, a nieść mogło tylko sześciu. Więc jak zaczęli się swa-

nyć, kto będzie mógł, tak się pokłó-
cili, że chcieli już karabel dobywać,
ale ich ksiądz pogodził i ciągli
wszystkich, kto będzie mógł. A reszta
szła szeregiem przed baldachimem.
No, a potem na zgodę, tak się u za-
krystyi kopsili, że do Zielonych Świąt
nie wytrzeźwili się jeszcze.
Tu pan Jacek za zezwoleniem mamy
wziął Stasia i Jasia na huśtawkę,
a p. Antonina poszła z dziewczętka-
mi pani Przyszczypkowej po pier-
niki.
Panie zaczęły się już niecierpliwić,
że ich panów mężów nie widać,
więc p. Koziołkiewicz ofiarował
się pójść ich szukać.
Zostawszy same, tak się prawie
rozgadały o swoich troskach i po-
ciechach domowych, że ani spostrze-
gły, jak część zapasów stojących
pod drzewem jednem [illegible] zniknęły.
szyła się o ilość, jaka zmieściła się
na razie pod płaszcz żebraka kilka-

-krotnie już obstalowanego.
Rezultatem tej pogawędki było, że ich dzieci są aniołkami, mężo-wie dobrzy ale ladaco, tudzież, że pan Ignacy Korodkowski jak rów-nież p. Jacek Kozik mają się ku pannie Antoninie. Którą to o-statnią okoliczność woli Bożej zostawić należy. Powróciła wreszcie Antosia z dziewczątkami i pierni-kami, wrócił wreszcie p. Jacek z malcami obładowanymi różnemi łakociami i pod niebiosa wy-huśtanymi, co obaj z entuzyaz-mem mamie i siostrze opowia-dali, wynosząc dobroć p. Jacka wyżej jeszcze, niż się wyhuśtali; — a panów, jak nie widać, tak nie widać. Więc zniecierpliwione pa-nie postanowiły pójść na przechadz-kę nie czekając mężów, a dzieci ofiarował się przypilnować pan Przy-szczypek junior, usiłujący daremnie akompaniować na swej harmonii

najbliższej kataryniarce.
W parę minut po ich odejściu, nadeszli wreszcie panowie w wybornych humorach, trzymając się pod ręce, w dobrej w najlepszej komitywie z p. Korzotkowskim — a nie zastawszy swych małżonek ruszyli ich szukać, w którym to celu — wstąpili do najbliższego namiotu, z którego dochodził brzęk szklanek i kieliszków.
Panie tymczasem minąwszy namioty odwiedziły kółka budek, których za opłatą pokazywano tu białe myszy, owdzie małpę na psie jeżdżące, tam ptaki ciągnące nierawne numera na loteryę. Potem przypatrywały się karuzelom i huśtawkom — gdy nagle pani Cholewina krzyknęła:
— O zgrozo! Tajdaczka!..
— Co pani? O la Boga!
Pani Cholewina oniemiała ze zgrozą z przerażenia i palcem wskazywała tylko jedną huśtawkę. Pani Przy-

szczypkowe spojrzała we wskazane
miejsce i nie ujrzała nic szcze-
gólniejszego, prócz, że na mej ław-
ce tkwiła się jakaś skrzynka z żołnierzem
czerwonym jak upiór i wołają-
cym co moment.
— Wyrzuć, sakra! wyrzuć, donnerwetter!
— Maryśka! wykrzyknęła wreszcie
z siebie obmurowana p. Macyjowa.
A karaluch szelmie w domu siedzi.
Nastąpiła potem, mimo interwencji
panny Antoniny dramatyczna
scena, w której pani Chlewińska z
zadziwiającą wymową usiłowała
przekonać z łażącej z twarzy skrzynki słu-
żącą, że nie ma gorszej łajdaczki
od niej na całym świecie i koniec
tej scenie położyło nadejście przy-
padkowe panów, którzy bez wyjątku
wszyscy byli w nader dobrym usposo-
bieniu. Pan Maciej ze łzami w
oczach zaręczał żonie, że Maryśkę
w domu pociągiem obije, że domu
tymczasem nie okradną, bo chłopaki

z nim jeszcze zostali.
Skończyło się na tem, że pani obie-
cała Marysi na drugi dzień nie
pozwolić ani na krok ruszyć się
z domu, a pan przyrzekł jej ~~pociągiel~~
„sprawić mydło" pociągłem.
Jednakże nie ta tylko burza
zachmurzyła horyzont wesołości: roz-
irytowane panie poczęły mężom
wyrzucać tak długie swoje opusz-
czenie przez nich, oburzyły się na-
stępnie wspomnieniem na ich lek-
ceważenie, obojętność, samolubstwo
i t. p. wady.
Pan Maciej wytłumaczył się to-
warzyszami, iż nie mogli wcześ-
niej wrócić, że w kościele był niesły-
chany ścisk. Panowie mu przyświad-
czyli i zaczęli się bez widocznej przy-
czyny całować i ściskać, skąd panie
wpadły na nader trafny domysł,
że sobie musieli, wracając z odpustu
tego pozwolić, i żywo im to ~~wypo~~ wypo-
wiadać poczęły, że ci mężczyźni z od-
pustu tylko rozpust robią, zapo-
minając o najświętszych obowiązkach

towarzyszenia i posłuszeństwa
matronkom do grobowej deski.
Nastąpiły znowu ekskursye panów
i sprawa dopiero wtedy poszła w za-
pomnienie, gdy młody p. po powro-
cie do miejsca odpoczynku młody
p. Przyszczypek zaproponował
przejażdżkę łódką po Wiśle, która
to propozycya żywą wywołała dysku-
syę. Panowie młodsi przeważali
za, starsi contra, wreszcie p. Anto-
nina przeważyła szalę zwycięstwa
na korzyść propozycyi p. Przyszczypka.
Złożono zatem bagaże na furze
(Walenty, furman, był osobą zaufa-
nia godną, gdyż od 6 lat dostarczał
państwu Maciejom mléka) przy-
czem spostrzegłszy znaczny ich uby-
tek uroczyście oświadczyła pani
Olwerowy, że już ostatni raz jest
na Bielanach (mimo to widziałem
ją następnego roku jadącą w Zie-
lone Świątki także na wyładowanej
furze).
Potem ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~

spuścili się z góry, a nad brzegiem ugodził pan Jacek dwóch młodych rybaków z dwoma łódkami na godzinną przejażdżkę. W jednej łódce ulokował się oprócz wiosłującego rybaka pan Kozłowski, pani i panna Cholewina, nadto pan ~~Jacek~~ Przyrzypski, ~~[illegible]~~ w drugiej reszta towarzystwa.

Łódki popychane wprawnemi rękami rybaków posuwały się obok się ~~ku~~ w górę rzeki i harmonia wróciła między towarzystwo.

Po niejakiej chwili oświadczył p. Koz. chęć wiosłowania i wziął się do roboty – a również pan ~~Jacek~~ Przyrzypski, zażyczył rybakowi, że się ~~[illegible]~~ na ~~ten~~ objął ster łódki.

Chwalebne jednak zamiary amatorów okazały się zaraz z początku nader groźnemi, albowiem pan Kos. szturknął wiosłem w kamizelkę pana Przyrzypskiego w obok ~~jadącej~~ płynącej łódce tak silnie, że ten, dzięki tylko swej objętości, środek ciężkości nader nisko w łódce utrzymującej, nie upadł do wody, praca jednak pana Kozł.

o tyle nie zmarnowała, że, najprzód kąt między łódkami zaczął się rozszerzać aż do 180° a następnie, mimo demonstracyjnych machań wiosłem pana Koziołk. z brzegiem wody płynąć poczęła. Wówczas interwencya rybaka stała się konieczną, do której panie energicznie go wezwały. Po chwili łódki się zrównały, i jazda porządnie się odbywała.
— Co za śliczna jazda! zawołał pan Koziołk. na przodzie łódki stojący — i w tejże chwili zobaczono nogi przemawiającego w tem miejscu, gdzie się głowa znajdować powinna. Zmiana ta sytuacyi stąd powstała, że pan Przysiupek potajemnie za plecami pań wyminął „szóstkę" za wiosło rybaka, i zaraz przewróceniu jego pchnięciem tak się panu K. przysłużył.
— O la Boga! krzyknęła pani P.
— Ratujcie!
— Gwałtu
Natychmiastowe zamieszanie trwało

tylko chwilę, gdyż na szczęście morszczce przy brzegu płytkie było, i pan Koziołek pluśnięciem zama-nifestował swoją obecność w świe-cie istot żywych, a miną wynurza-jącego się wszystkich rozweselił.
— A toś pan kozła wywinął..! zawo-łał pan Pryszczypek.
Nietylko innych, ale wspomnienie mu, jako krawcowi, kozła, rozgnie-wało pana Koziołka ogromnie i mruknął:
— Panbyś takiego samego wywinął, jakby się tak łódka zatrzęsła.
Wiadomo czytelnikom zapewne, przy-najmniej z „Trójki hultajskiej" o wrodzonej antypatyi krawców do kozła. Świadomi rzeczy twierdzą, że pochodzi to stąd, że dawniej lubili oni (t. j. krawcy, nie kozły) nosić ca-pie bródki, przez co przezwano ich kozłami; inni twierdzą, że nazwa to pochodzi od zgrabności, gdyż zwykle krawcy, uszyją coś z droższej

materyi, siadają na poręczy korzeta, aż by poły lub rękawy szyte właśnie nie walały się po ziemi, a gimnastyczna tą porą wymaga kozieł rzeczywiście zgrabności.

Jak na urzędzie natura obdarzyła pana Ignacego jeszcze nazwiskiem Kozłowskiewicza – dlatego ilekroć kto wymówił jego nazwisko, patrzył na niego podejrzliwie, czy się w tem nie kryje jaka alluzya, i wolał gdy mówiono doń tego po imieniu: panie Ignacy.

Po fatalnym wypadku, rzucił się p. Ignacy gramolić na łódkę, gdzie już od tej chwili najspokojniej siedział, susząc ubranie. Pan Przyszczypek junior, sprawca całego zdarzenia, spiesznie oddał wiosło rybakowi, lecz nie uszedł oka, a panie nie pozwolą przyszły na dalszą jazdę, aż solennie przyrzekł, że więcej wiosła do ręki nie weźmie; będzie się zupełnie biernie zachowywać.

12.

Odtąd mi już nie zakłóciło spokoju i z ogólnem zadowoleniem (n. t. wyjątkiem pana Ignacego) przybyło do lądu tam, skąd wyjechano.

Pan Maciej oświadczył, że koniecznem jest dla pana Kozików kupić sobie sznapsa dla rozgrzania się – inni panowie uznali podobnie dla siebie potrzebę z powodu zetkniętego przemoczenia nóg w łódce, zaczem z jadłem jeszcze podwieczorek, panie poszły z dziećmi na karuzel, pan Przemysł Kozik junior pozostał na punkcie zbornym t. j. na wozie Walentego, wygrywając znów melitancje na harmonii, a panowie poszli na „sznapsa."

Więc wypili po kieliszku na ogrzanie się – potem zafundował drugi pan Maciej, potem pan Kozik senior uznał sobie za obowiązek honoru zafundować trzeci. Pan Ignacy wypił nadto dwa dla specjalnego ogrzania się po zimnej kąpieli.

a gdy nareszcie pan Przyszczypek zafundował pierwszą kolejkę, wziął pan Jacek ojca na stronę i coś z nim rozprawiał tak długo, że p. Koziołk. uznał za stosowne przepić tymczasem jeszcze jeden kieliszek, ponieważ czuł się jeszcze nie dość ogrzanym. Po tym akcie usiadł na ławie obok półbykupskich panów wykonując rozśmieszające ruchy wahadłowe, zmierzającego do chwytania rękami raz stołu, raz jednego z towarzyszy, aby pozycji ~~leżącej~~ siedzącej nie zamienić na leżącą. Pan Przyszczypek proponował, aby się Ministerstwo na wozie jego umieścili i razem wracali, ale pan Maciej był jeszcze dosyć trzeźwy, i nie mógł pojąć, jakby się mogli wszyscy w jednej furze pomieścić. Więc jeździł palcami po stole kreśląc furę i obsadzał pasażerami obficie.

— Furman, Staś, Jaś — mówił pan Przyszczypek, i pan Koziołkie-

~~siądę~~ pojadę na koźle....
Na wspomnienie koźła zerwał się pan Ignacy i krzyknął:
— Nie pojadę ani na koźle ani baranie, ani na.... stracił równowagę i siadł gwałtownie i powtarzał coś, dopóki go nie opanował sen, brat śmierci.

Wtedy przystąpił pan Kozik senior i karawany podać jeszcze jeden kieliszek, wypił zdrowie Macieja za gwizdek od sadzonki i w długiem przemówieniu, mającem na celu wykazać duchowe pokrewieństwo między stanem szewskim a szewskim, sprzyjającem się na wspólnem złączeniu się ze skórą, lubo pierwsi garbowaną tylko używają, a drudzy z surową tylko mają do czynienia — prosił w imieniu syna swego Jacka o rękę panny Antoniny, motywując prośbę swą gorącym afektem synka do córki kochanego kumotra.

Panowie Przysz. i Cholewa słuchali

z rozczuleniem tego kwiecistego prze-
mówienia, a pan Maciej w odpowiedzi
kazał podać jeszcze kieliszek i uczę-
stowawszy wszystkich przyjął kandy-
daturę pana Jacka.
— Niech żyje państwo młodzi! zawo-
łał pan Przymużek.
— Niech żyją! Pij pan, panie Kozioł.
będzie panu lepiej.
— Niech żyją! zawołał nagle zbudzo-
ny pan K. nie wiedząc że grzebie swo-
je nadzieje. Potem widząc powszech-
ne ściskanie się i całowanie, energi-
cznie począł całować towarzyszy.
Uregulowawszy rachunek z właści-
cielem nareszcie poszli panowie
trzymając się pod boki wesoło śpie-
wając i opisując pewne krzywe li-
nie po drodze.
— A to się urządzili! zawołała
tylko zobaczywszy ich pani Cholewina.
a gdzieżeście wy byli!?
— Bo to, mościdzieju, ponieważ pan
Cholewa, stan rzeźniczy, a stan, panie,
szewski, nie ujmując garbarskiemu,
jako że skórę mają do czynienia

z tego wynika...

— Z tego wynika, żeś pałkę zalał, mój mężu. Mamuś! zsiadaj na furę!

— Pani Kumotrowo dobrodziejko — przemówił pan Kozik całując ją w rękę — ociem ja sobie nareszcie chanie ujął. Mój syn upodobał sobie strzeliście w córce pani, i pan Maciej zezwolił na jego prośbę o rękę panny Antoniny, a teraz przezemnie prosi panią Dobr. o łaskawe błogosławieństwo.

— A cóż Antonia na to? zapytała pani Maciejowa.

Antosia na to zaczerwieniła się i spuściła oczy.

— No cóż Antosiu?

— Jak tam tata... i mama... każą...

— A wszczególności, jak już pan tata zezwolił, rzekł całując ją w rękę pan Kozik Jacek.

Pani Maciejowa wzruszona za stosownie spłakała się, ucałowała córkę i pana Jacka, potem pan Maciej również zalał się łzami i tęż samą operacyę powtórzył.

Pan Kozioł. od początku tęższemu stał z rozdziawioną gębą — i nie wiadomo w jaki sposób byłby wystąpił przeciw tej konkluzyi, gdyby p. Przyszczypek, świadomy rzeczy, nie był go uprowadził na swój wóz, gdzie go tak wygodnie na worce słomy ułokował, że wkrótce zasnął i śnił, jak jechał łódką pod Bielańskim lasem z Antosią — a w tem wypadł z lasu ogromny brodaty Kozioł — tu obudził się i ujrzał się w drodze ku Krakowowi, jak pan P. młody grał na harmonii, a wszyscy wzdychali, aby jak najprędzej być już w domu... i po chwili znów zasnął...

Wesoło było na wozie państwa Maciejów — mali krzyczeli na tyle wozu, pan Jacek cieszył się rozmową z narzeczoną, a pani Maciejowa czule wyrzucała panom zbytnie zaglądanie do kieliszków, a pan Maciej przepraszał ją solennie i wymawiał się uroczystością zacnego aktu.

Również widać i fornal był

na jakimś uroczystym akcie, bo
nieustannie prawił o swem spotka-
niu z panną Marysią, a jaka to
„fertna” dziewucha, jak mu dała w
gębę, to mało z kozła nie zleciał,
a wszystkie te opowiadania miały
za przedmiot jakieś nowe dowcipie, któ-
re to wypadki illustrował gestykul-
lacyą i waląc gęsto z bata po nawi-
jających się przepełnionych furach.
Właśnie trzepnął w jakąś furę
zkąd rozpaczliwe doleciały głosy.
— O ty bydlę! zawołał jeden z
dotkniętych biczem pasażerów!
walisz ty moich, to ja twoich!
i bach batem w furę państwa
Cholewów — a drugi raz we własne
szkapy, które cwałem ruszyły, że
o pogoni mowy być nie mogło.
— O rany boskie! żeby cię pioruny
zatrzasły, wrzasnął p. Maciej któ-
remu przez plecy się dostało. Goń go!
goń! nuże batem konie!
I wszczęła się gonitwa — kurz
otoczył furę kłębami — w tem rozległ

się trzaskl. Fura z góry pod koczyła, potem stanęła, a wreszcie zwolna w rów zaczęła się pochylać.

Fura zawadziła przednim kołem o słupek drogowy, strzaskała je i wjechała w rów.

— Ratujcie! gwałtu!

Jakiś przechodzący chłopek stanął, a zbadawszy okoliczności, ofiarował się za guldena przywieźć koło z niedalekich Przegorzał. Radzi nie rad zgodził się na to p. Mac. dał guldena, a chłop ruszył po koło.

Czekano więc pomocy, a co chwila ktoś nadchodził i przyglądał się rozbitkom i odchodził mruknąwszy coś o pijaństwie i t. p.

— Łaskawy panie Dobrodzieju — prosi dziesiąty już żebrak, biednemu kaleci grosika dajcie!

— Niech pan Bóg opatrzy — odprawia go pan Maciej

— Wspaniały Dobrodzieju!...

— Ale jakci mówię z Panem Bogiem, to znaczy żebyś sobie szedł do djabła! mruknął zły pan Maciej.

Minął już drugi kwadrans, a

chłopa nie widać z kołem – pan Maciej klnie całe Krzeszany i wszystkich furmanów – a w końcu zatrzymał żandarma; i zbadawszy przypadek dał do zrozumienia panu Maciejowi, że darmo czeka, bo chłop wziął guldena ale pewnie ani myśli wracać i radził inną furę nająć.

Jakoż nadarzyła się próżna fura, wracająca z Krakowa i na tę zabrali się nasi podróżni.

Fornal zdemontowanego bryczki podłożył z pomocą żandarma kija pod oś, że tworzył jakby ramię sań, i powoli powlókł się do domu.

– Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli kiedy dam się wyciągnąć na jakie Krzeszany, mruknął p. Maciej.

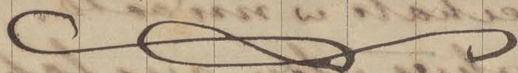
– Ja co do mnie, rzekł p. Zacek gotów jestem co roku jeździć i dalej, żeby mi się tylko zawsze tak szczęśliwie powodziło jak dzisiej.

Wreszcie zaczęły w oddali migotać światła – minęli Zwierzyniec, na rogatce dał pan Maciej przez omyłkę 4 srebrniki zamiast 4 centów

a przyłbicę z resztą przemiędzy włożył
w słomę, zamiast do kieszeni — i
w końcu wjechali w miasto.
Na Sławkowskiej ulicy westchnął ra-
dośnie Marcin, obudzono z pięciu
chłopaków, i po półgodzinnem
dzwonieniu do bramy, [illegible] się wre-
szcie się wreszcie państwo Chabowo-
wie pod rodzinną strzechą. I możeby
już było nic zakłócało ich pokoju, gdy-
by nie to, że musiano posłać po
ślusarza, aby otworzył drzwi od miesz-
kania, od którego klucz zabrała Ma-
rysia, a dotąd jeszcze nie wróciła.
— Wszędzie dobrze, ale w domu naj-
lepiej — rzekł sentencyonalnie p. Ma-
ciej, układając się wygodnie w domu.

I w tydzień potem zamówiono tam
placki, torty w znacznej ilości,
bazetlę, flet, klarnet i skrzypce.
A wkrótce [illegible] było okrzyki:
Niech żyje państwo młodzi!
Pan Kozłowski [illegible]
[illegible] pannie Antoninie
a po weselu, podobnie jak

z Breslau, nie wrócił z ochotą do domu.



II.

~~Wesele w „Rzymie"~~

Pożar w Kołtunowie.

Pewnego pogodnego dnia na rynku Kołtunowa przed „cukiernią" pana Moricka Hasenmanla, – którą w każdem porządniejszem zachodnio-europejskiem mieście nazwanoby szynkiem, stał pan Kalasanty Łopata, radny miejski i naczelnik straży pożarnej ochotniczej Kołtunowskiej, ze swym kumem panem Sebastyanem Kołofenem takoż rajcą miejskim, zastana-

wiające się nad sposobem
upiększenia monumental-
nej budowy miejskiej,
jedynej obok kościoła i
szkoły murowanej, ratu-
sza. Był to długi dom
parterowy, w którego sieni z
tyłu urządzono prowizoryczne pię-
tro i umieszczono c. k. Steuer-
amt. Był on równie obdra-
pany jak stary, a stary, jak
całe miasteczko.
– Bo to – kumotrze – ja se
myślę, mówił pan Mikołaj –
żeby zrobić na dachu z chorągiew-
ki, a w środku na szpicu
koguta.
– Ehe – jak na bożnicy –
lepiej postawić aniołka, albo
statuę jakiego świętego
z kamienia tak albo drzewa.
– Ehe, jak na kościele.
odciął się, broniąc swego

prosty pomysłu pana Sebastyana.
– No, to cóż innego?
Nim minął czas odpowiedzi, pan Sołot, ozwały się nagle krzyki: gore! pali się! i ozwał się dzwon pożarny.
– Tam do dyabła! mówi się pali! Bądź zdrów kumotrze – innym razem do „ludzi!" i ruszył szybko pan Łopata ku ratuszowi, gdzie się w parterze znajdowała straż-nica.
– Więc wszczął się ogromny hałas i zamieszanie w całem mieście. Co tylko żyło w Złotni-nowie, przez kalek i starców nie wyjmując dzieci, nie tylko umiejących już chodzić, ale nawet rozpoczynających trudną drogę ludzkiego żywota

na ręku mamek — wszystko zbiegło się przed ratusz.

Tam pan Łopata klął strażaków nie mogących wytoczyć sikawki przez drzwi frontowe, albowiem te były zawalone ruchomościami pewnego dłużnika, które w drodze publicznej licytacyi w dniu następnym najwięcej ofiarującemu miały być sprzedane. Dopiero po długim namyśle przypomniał sobie jedyny wykonawca sprawiedliwości Kotunowskiej, uzbrojony w pałasz i rogatą czapkę z austryackim orłem policyant, że znajduje się od tyła (wrota od ogrodu, którędy mu niedawno [illegible] kwestorów) z aresztu uciekł ten Bartek od Mordka, co go pobił w karczmie zeszłej niedzieli.

Z pomocą nadbrzeżnych ochotni-
ków wytoczona tą drogą sikaw-
kę, zdruzgotawszy w ogrodzie kil-
ka zagonów kapusty pana
burmistrza.
Wytoczona przed ratusz
sikawka, stała się przedmio-
tem podziwu z uznaniem
połączonego szanownych miesz-
kańców Kołtunowa, a miano
wiele czasu do podziwiania jej,
zanim sprowadzono z poczty
parę koni do niej.
Gdy już była gotowa do drogi
sikawka zawołał pan Łopata:
— Poczekajcie tu na mnie,
tylko wskoczę do domu prze-
brać się, — a postarajcie się
tu gdzie o jakąś beczkę z wodą.
— Dobrze panie naczelni-
ku! ~~zawołał pan wice~~ na-
czelnik, właśnie nadbrzeżny
aptekarz Kołtunowski, dogry-

zając resztę porwanej od obia-
du kiełbasy.

Nim się zebrał pan naczelnik, sprowadzono beczkę z piwa od Mordka, napełniono wodą i ulokowano na drabiniastym wozie, skonfiskowanym w imię dobra publicznego przejeżdżającemu chłopkowi. —

Właśnie ukończono te przygotowania, gdy nadbiegł zdyszany właściciel palącej się stodoły, zaklinając ich by czemprędzej ruszyli.

— Patrzcie — jak się kurzy!

Rzeczywiście widać było z rynku, z którego wszystkie ulice prowadziły wprost na uprawne łany, widać było stojącą już w płomieniach stodołę.

— Już jedziemy — woła aptekarz, już idzie pan naczelnik.

Jakoż zatoczył się pan Łopata przed ratusz w

w kaszku z szumiącą kitą
w mundurze z błyszczącymi
guzikami, zapinając prawą
ręką ostatnie guziki od spodu
a w drugiej trzymając szpadę.
— Śpieszcie się kumotrze, bo
się okropnie pali — woła pan
Pilot.
— Ho! ho! tylko mię kumo-
trem nie nazywajcie teraz,
bo jestem w służbie, rzekł
dumnie obrażony pan Łopata.
Gdzie Maciek? — pyta strażaków.
— Szuka trąby, bo jej znaleźć
nie może.
— To psiakrew gałgan z tą
trąbą. Mówiłem mu już przeszło
razy, jak się u Marchewki pa-
liło, żeby jej pilnował. Niech ta-
bez zaraz, cały dom się spali! (?)
— Ależ do djabła z waszą
trąbą, czy bez trąby gasić nie
możecie? odzywa się właści-
ciel płonącej stodoły.

– Tylko niech się pan do straży nie
miesza. – Maciek! Maciek
do 300 djabłów...!!!
– Wrzeszczę nad brzegł Maciek
z trąbą.
– Była na strychu panie na-
czelniku, bo ją tam dzieci pana
naczelnika zawlekły, jak się nią
bawiły....
– Trąb na alarm!
Maciek trąbę do ust obracz
przycisnął, wydął policzki jak
bańkę, i w oczach krwią zabłysnął
zasunął w pół powieki, wciąg-
nął wgłębi pół brzucha, i do płuc
z niego wyssał cały zapas du-
cha. Ale nie zagrał – za pow-
tórnem zadęciem – wyleciał
kłąb słomy i śmieci z trąby,
a z niego kilka myszy, a
uszy wszystkich rozdarł nagle
okropny dźwięk. Dopiero po
tej przeczyszczaniu trąby zagrał
parę razy Maciek, a pan naczel-
nik zawołał:

Wio! hetta!

Pobiegła sikawka w stronę poża-
ru a potem nawet ta, że zwykle
następca sapiąc pobiegł za nią.
Została tylko jedna beczka z wo-
dą na drabiniastym wozie, na
którym mieli się i strażacy u-
lokować. Na końcu wozu uloko-
wał się Maciek wytrębując na
złotem pozdrzyjmującym mu
malowanym kotlinowskim
którymi wóz z końmi zaprawiono.
— Wio! hetta! wołał chłopek
— Tylko koni nie popędzajcie,
niech idą powoli, bo jak kobyła
stanie, to jej wszyscy djabli
z miejsca nie ruszą!
Nagle za nogę szarpnął wóz ku
pożarowi, a Maćkowi aż oczy
na wierzch wylazły i pociem-
niał cały, jak nos nakel-
nika w dzień siostrzany, tak
dął w trąbę, dobywając z niej
całą gamę rozdzierających u-
szy tonów.

— Rany boskie kiedy oni przy-
jadą — wołał bezradny właściciel
stodoły patrząc z załamaniemi
rękami na nieczynną dla bra-
ku wody sikawkę.
— O! przecie pan ma asekurowaną stodołę! pocieszał go pan naczelnik.
— Ale kto mi zboże zapłaci!
— Ale już jadą! jadą!
— A gdzież, do wszystkich djabłów wy byliście! my przecież z panem aptekarzem już od kwadransa tu na was czekamy! Lejcież wodę do kroć set piorunów!
— Maciek! zdaj raport.
— Abo, panie naczelniku, chop powiedział, że jak będziemy prędko jechać, to jak kobyła ustanie, to jej wszyscy djabli...
— A trąbiłeś? co?
— A jakże, panie naczelniku,

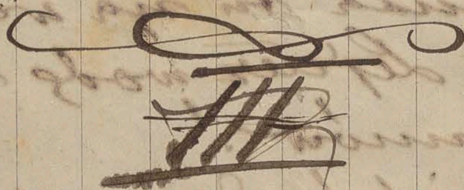
aż ludzie stawali patrzeć.

– No dobrze, dobrze, rzecze zadowolony nauczyciel, tylko pamiętaj mi o trąbie, bo tyś kiedy za nię dostaniesz ode mnie po trąbie.

– No! gotowe już? sit!

Jakoż wreszcie poczęła funkcyonować sikawka, i gdyby nie to, że stodoła fundamentów nie miała, niewątpliwie ocalałoby fundament od spalenia.

28/XII 1881.



W chwilę potem nadjechał eleganckim powozem pan hr. Łapiński, syn właściciela dóbr okolicznych koło Kotuniowa – w strażackim mundurze, – wyskoczył szybko z powozu, przyglądnął się dymiącym zgliszczom

pogrzebał w szczątkach – i odjechał. Na drugi dzień organ opinii Kołomyjskiej „Kuryer Koł." pisał w opisie ~~pożaru~~ ~~między innemi~~ z pożaru:

„Na miejscu był obecny oprócz naczelnika straży i c. k. starosty pan hr. Łapiński czynny tworzę udział w ratowaniu mienia bliźniego i świecąc innym nie tylko ~~imie~~niem, ale także odwagą i poświęceniem."

Wesele 2 Drabinki!

~~Było to w niedzielę i klepano coś się.~~ Pewnej pogodnej niedzieli, która wszystkich mieszkańców wsi skusiła do opuszczenia domu i szukania miłego powietrza wiosennego na przechadzce przechadzała się p. Drabinka wachmistrzowa od miejskiej straży pożarnej z towarzyszem swoim p. Linewskim do wnet strażakiem – wnuczek nie jako

po Kleparskim rynku, zaglądając
w okna pewnej Kamienicy niedaleko
kościoła Sgo Floryana. Wreszcie po
godzinnej wędrówce koło 6tej pop.
ozwał się Drabinka do towarzysza:
— Stójże tutaj... jakby zza, to
gwizdnij — i skierował się ku
bramie domu p. Kłapałskiego
obywatela Kleparza — i zetknął
się nos w nos z kolegami swymi
szkolnymi Jasiem
i Szymkiem Wesołowskim —
— A dzień dobry!
— Servus Drabinko — cóż ty tu robisz
robisz w tej parafii? rzekł Jaś
— Nic dziwnego — św. Floryan to patron strażaków —
odrzekł śmiejąc się Drabinka.
— Gdzież idziecie? na spacer?
to was nie zatrzymuję?
— ~~Nasz~~ E! Ja — wyprowadzam
się — ono mieszkam porto
kapelusz, laska — parę książek
podręcznych — to całe moje ruchome

mienie rzekł Wszołkowski z uśmie-
chem lekceważenia
— A z uruchomionego twego ~~wszystko~~ ~~tylko~~ zegarek
bo nie idzie, dodał Jaś. Kubus
— A ktoryż to się przyprowadzasz? przecież dziś 12/5 a nie pierwszego?
— Widzisz, właśnie dlatego się wyprowadzam, że dziś 12/5 a nie 1/5
jak powiada moja gospodyni bowiem,
bo porządny lokator wedle jej zdania
powinien do 8/5 czynsz zapłacić,
a że ja do dziś nie ~~dostałem z lekcyi~~
~~pieniędzy~~ zapł. więc mię napędziła.
— Phu! do 300 djabłów pozwolić
się skaleczyć warto się to wziąć! etc
wedle kom.)
— Jak tylko o nocleg idzie cet.
etc aż do
ale ja jej figla zpłatał! ho! ho
mam nujął! ma n
— No, no, cóż takiego — spytał
ciekawie Jakób.
— Jutro jej imieniny! (rzekł
tajemniczo mrugając okiem Szymek)

— No to cóż?
Szymek zbliżył się ku nim i cicho odezwał się:
— Najętem jej wszystkich! i odstąpił na krok, żeby śledzić wrażenia tego objaśnienia na przyjaciołach.
— No cóż? nie rozumiem!
— Otóż jutro rano zagrają jej pod oknami — i będą grać póki inną co nie da — a że baba jest skąpa, więc ją to djabelnie zirytuje.
— Ba! znam jej już oszczędność każdego centa! rzekł Jakób — dobra myśl — ale z której chyby musiałem sam coś dać muzykantom?
— Nie — ich kapelmistrzem jest no — zgadnijcie kto — Dmuszczek —
— Nasz eks szkolarz? i zerwę zwołał.
— Ehę! zaraz ci go pokażę — ani poruszaj co się gra tu obok pod kawiarnianym kapitem.
To mówiąc zboczył otworzył drzwi od szynku pod kapitem i zawołał:
— Panie Kapelmistrzu! Dmuszczek! Tej chwili, mam do ciebie interes.
Za chwilę wyszedł wraz z muzykami pod kapitem

i z tej wyrostu wyrzedł najpierw
dłuży surdut i spodenki wszystkie jak
pochewka na parasol nad nocowyszwo-
nemi butami włożone na chudy
cienkowyglądającego Dunę. Którego twarzy
wierzchołkiem był ozdobą wspaniały czer-
wony nos. Następnie zjawił się
pan Dychalski kontrast Kapelmi-
strza krótki a gruby z klarnetem
w kieszeni i p. Mikołaj Cegiełka
— Jak się masz artysto! zawołał
Szymek — patrzno, twoi koledzy
chcą się z tobą zobaczyć. —
Jakób z Drabinika zdrowił się swoja-
cem No, no, nie widziałem, żeś wyjechał
na muzyka, rzekł Jakób witając
się z Duną. Dawnom cię nie widział,
coześ porabiał?
— Hm! niecoś mi dali szymnazya
w 3 klasie, no to byłem potem kadre-
tem w Łobrowie, no, ale mi los
jakoś nie sprzyjał więc poszedłem
do seminaryum na „preparanda"

nawet zostałem gospodarzem w 2 klasie, ale mi jakoś los nie sprzyjał, więc nauczywszy się przy tej okazyi grać na skrzypcach, zostałem dyrektorem narodowej kapeli – cóż tam nowego? zwrócił się do grubego a małego odźwiernika wybrzydzającego z skrzypkiem.
– Panie kapelmajstrze... wołają na muzykę – a pan się tu bawisz.
– Bawię interesa z moimi przyjaciółmi
– A! to pańscy przyjaciele? bądź zarazem moimi! Siwiej panowie na mój klarnet! to mówiąc podał protekcyjnie rękę koledze przysztym zwykłym pas. Potem wziął pana Łonewskę na bok który mu się najbardziej podobał i rzekł mu do ucha:
– Pan Drumarewski jest to geniusz muzykalny! możesz pan być dumnym z jego przyjaźni. byłbyś mi pan

26

nie mógł przyjąć pani szóstek?
– To jest – przepraszam pana...
zapomniałem zeszytu...
– A! rzekł rozbawiony generał
p. D. i zwrócił się do Jakóba,
i objaśnił go o sukcesach pana
Kapel. jakie odniósł dając zeszłej
niedzieli koncert pod Huzarem,
potem zapytał go czyby nie
mógł..., lecz mu przerwało nie-
nadejście jeszcze otyłszego mer-
cyrmy, wytrzymałego ze innymi
od basów z pod Kogutu. Nowo
przybyły ukłonił się z łoskotem
i pomimo wszystkie z jednej strony
D. z drugiej jego przyjął i rzekł:
– Prędzej, bo tam czekają!
– Słuchajże Dmusiu, rzekł Jakób,
zrobisz to coś przyrzekł Szymkowi?
– Grać przed kim? ale z ochotą, jak
tylko koło 4 tej będę wracał z
„Bału".

— Ty Szynszka jesteś pewnie jeszcze kawałkiem doktora do tego owam co?
— Spodziewałam się — odrzekł S.
— E! nie taki to wesoły zawód jak nasz zawód: nie ma wesel, na klepanym żebyśmy nie grali
— A po chrzcinach, zaręczynach dostałeś pr.
— Urodzinach, owszem na Złotą Całą! A przytem i nieźle płacą, przeszłego roku za noc (pamiętam to dobrze, bo mi główny strunem rozbił jeden drużba jak sobie podpił,) dostaliśmy po 5 papierków a zeszłej niedzieli tyż (wybili mi tam 2 zęby) dostałem 3 za skrzypce solo.

Właśnie wśród tych opowiadań zjawił się w progu szynku rozpromieniony lokaj „od hrabiego" jak go tytułowało wszystko towarzystwo i porwał za surdut Dyrekt Dm.

— Dyrektorze! gdzieżeś to u siekł! Już pary stoją, ja

mam angażować kontredansa?
— Niech się panny ustawią; mnie gospodarz od nich piosnkę wybierze a ja tymczasem nadejdę.
— Niech się p. spieszy, bo damy czekają! — rzekł wesp. tokuję i zniknął pod Kapitanem.
— No nie zatrzymywałem się Dyrektorze, rzekł Żygmunt — bądź zdrów i powróć tej.
— Dobrze, Dobrze — może wstąpicie na szampana? nie? no to bywajcie zdrowi — i szybko zniknął w szynku Dyrektor nas. Kapeli.
— Ha! co się to za pijaczyna zrobiło, mruknął Drab.
— Hm! trudno — ~~rzekł Żygmunt~~ Chwilę nie chciał to musi pić, to wynika z jego profesyi: Gra po weselach, wszystkie, pojęli ją u gardło. —
~~— Panie Drab. dowiedział się nie daleko — musimy dybać na strażnicę, potem trudnoby było przemawiać p. Wesołowskiego~~

— Poździemy wiec. Dobranoc Jakóbie
— ~~Dobranoc~~ — ~~Bądźcie zdrowi.~~
Po chwili został przed domem sam
Jakób i medytując nad kowym
Szynkiem i Duną. ~~oczekiwał~~
potem nad zbliżającą się i wielce
niepokojącą maturą i znów wraca
myśla do Wesoło.
— Muszę z ojcem pomówić o mie-
rzę, że mi nie odmówi; — zresztą
rzeczywiście pomoże mi. — oho!
zdaje mi się jedzie stary.
(Nad) echo Kasperetec jak o kom.)
Powrem zostawiwszy na polu dorożkę,
weszli w Kamienicę, która się też
nie długo za nimi zawarta gdy
Wta wybiła. Cisza zaległa ulice,
a na Kleparzu słychać tylko było
daleki odgłos starej katarynki —
też śpiewu ... stary muzyki;
~~hedwinna bajki~~.
~~Przed~~ Z szynkiem pod kogutem
~~ciemno było~~ dolatywał odgłos kontr.

potem nagle urwał się. Nastąpiła
żywa wymiana myśli, zdań i
różnych niepochlebnych epitetów,
potem ~~kompletna~~ wrzawa,
krzyk, potem nagle przez okno
wyleciał wybiwszy szybę kufel
i noga ~~od~~ stołka. Wreszcie otwarły się
drzwi gwałtownie, w których
zawrzała na chwilę walka —
a w końcu ~~wyleciał~~ nagle wypadł,
~~[illegible] wyleciał~~ nagle za drzwi p. Jacek
Szczygieł, a szybkość z jaką dokonał
tego manewru, kazała wnioskować
że była to chyba nie jego własna,
lecz dodana mu z zewnątrz ~~tor~~ szybkość.
(Cała wedle końców — wrzeszczypis)

aż do odejścia stróża nocnego.

Kto był pan Szczygieł.

2

W Warsztacie pana Dratewki,

Nad drzwiami z ramą klatki pana
Dratewki na oczach świat stoi na

panu Szczygła, że go nie wydać
przy warsztacie, choć już 10ty godz.
— Pewnie się upił i leży pod
Tanią, mruczał p. Dr. a jego tu
robota czeka! Już to ostatni jego
u mnie blaumontag! niech so-
bie roboty u kogo innego szuka,
u mnie jej już nie znajdzie.
Właśnie wśród tego monologu
nadszedł pan znajomy nasz p. Drb.
i powitawszy wujka usiadł na
stołku i kłopotliwie obracał
kaszkiet swój w rękach
— Oho! już ja widzę o co ci idzie
rzekł p. D. — Cóż tam z twoją
panną Anną? co? pewnie o to
się trapisz?
— A bo widzi wujaszek, usłyszałem,
że już wnet dziewczynę matka gwałtem
chce zrobić zaręczyny z tym. Żeby tak
jeszcze wujaszek spróbować?..
możeby wujka prędzej posłuchała?

— Ha! spróbować nie zawadzi, ale
wątpię, bo to jak się baba uprze,
to jej djabeł nie przeprze. Mogę
pojść dziś do niej bo to jej imieni-
ny... grała jej nawyknaść z godzinę
rano przed bramą... pewnie ta nie
była z tego kontenta, bo to panie
dziejku kosztuje takie dzień dobry.
Ledwie domówił ostatnich słów de-
mowił, aż tu otwarły się drzwi i we
własnej osobie zjawiła się w nich —
pani Kt.
— Wszelki duch! mruknął p. Dr.
A! dzień dobry pani sędzinie!
proszę, niech pani siada! Właśnie
wybierałem się z powinszowaniem
pani z tym oto pocześnym sztop.
— Upadam do nóżek pani —
rzekł pokornie Drabinka
— Dziękuję, dziękuję — szybko
~~dość~~ przerwała p. Ktap. a potem
zwróciwszy się do Drab. rzekła:

– ~~Przysłam tu umyślnie do pana~~ w ważnym interesie, panie Dr.!
– Stwórz pani o! stwórz – a do Drab. rzekł – Nie przeszkadzaj nam...
– ~~D.~~ Padam do nóg pani – całuję rączki. –
– Do widzenia.
Drabinka wyszedł i ~~przystoigł~~ ~~[illegible]~~ i niecierpliwie przechadzał się przed domem czekając z niepokojem na wynik konferencyi.
~~Gdy~~ już Dr. się oddalił, kalczyta pani Kłap. i zaczęła ab ovo
– Nie trzeba i t. d. str 27
[illegible] wypadła [illegible] wybiegła
– ~~No [illegible] wszystko [illegible]~~ wpadł jak bomba ~~[illegible]~~ Drab pytając co zaszło. Ale nic nie mógł się dowiedzieć, bo p. Dr. klął i wymyślał Kłap. i Szczygła. A dopiero po kwadransie dowiedziawszy się wreszcie wypadł zrozpaczony ~~z domu swego i pobiegł w miasto.~~
~~Gdy~~ Tymczasem wróciła z targu pani Dratewkowa z córką i już

(a względnie ojciec) opowiadał im poselstwo zgoradki – tymczasem w warsztacie zjawił się dalszy ciąg wreszcie pan Szczygieł etc.

W następnym rozdziale w mieszkaniu pani Kłaps od rana przygotowywano

Gdy wróciła do domu p. Kłaps i opowiedziała ~~Annusi~~ córce jak jej swaty wypadły, zalała się łzami Annusia i uciekła schowała do swego pokoiku, aby ukryć ~~łzy~~ się przed nawoływaniami matki – ale pierwej musiała wysłuchać kazania:

– Etc. porr. III aktu Krom)

Potem puściła Annusię i jęła robić przygotowywanie do przyjęcia gości wieczorujących, a wszegolwiek dla nieznanego wówczas Szczygiełki. Ledwie zastawiła stół wszedł skonsternowany siostrzeniec.

– Cóż ty tu robisz? Jacusiu?

Ac. str 46.

A, dobrze żeś ukrany ~~zmartwienie~~,
bo tu legreckowie przyjadą z oszmiąs
czynami, ~~z niektórego~~
~~wszystk za akcyzą~~ no, i inni
goście.
— Jaszcze tu myślnie od wczoraj
nie przebierałem — oho! już idą,
słyszę już panią Barbarę, jak
woła: Mokotajska! M..l. ?
Jakoś weczywiście zjawiła się
we drzwiach Ac. str 38

— śpiewa Szczygieł.

Drabinka brał tymczasem ukrągmi
nie uważając gdzie idzie i medytował
czy skręcić kark Wojtkowi czy też
samem skoczyć z Maryackiej wie-
ży, i gdy właśnie rozbierał to pyta-
nie w duszy wpadł na ~~kogoś~~ [nieopadlny] kogoś tak
gwałtownie, że obaj odskoczyli
z tych.
— Coż do nieba djabłów...! A!
to ty Drabinko? Jak się masz
— Dobrze! Źle, rzekł smutnie Drab.

witając Szymka.
— Coż ci brakuje? Ząb cię boli? mogę ci zaraz wyrwać — rzekł sięgając ręką do kieszeni — otwórz gębę —
— Ale daj mi pokój — ludzie się na nas gapią —
— To nic — wejdziemy do bramy.
— Ale nie boli mnie żaden ząb —
— Może głowa? weźmy katarynę...
— Ale nie!
— No to cóż u djabła?.. A! może to z powodu twoich matrymonialnych zamiarów? Prawda, mówił mi Kubuś (zrobił dużo tego roku à conto zdania matury) że chcesz zamęczyć twoją pannę...
— Jakby to do skutku przyszło, to tego wąsika gdzie ubiję! bo mnie djabli biorą jak sobie pomyślę
— Ah co się będziesz trapić.
Dosyć po co te smutki?
Czas się nareszcie rozchmurzyć;
Poranek życia tak krótki
Trzeba go użyć! —

— Chodź ze mną, jeszcze mię stać
na to, żebyśmy zalali robaka!
Pójdź do Kozza! i pociągnął
Drab. za sobą. W tylnym pokoju
zastali znajomego starego Koz-
jałskiego i obaj przyjaciele jęli
pocieszać strapionego towarzysza
Niezadługo [illegible], Co tam
twoje smutki! rzekł Kozjałski:
My mamy jeszcze większe!
Powiadam Ci — jakbyś chciał kiedy
zostać kompetytorem, to przyjdź
do mnie powiedz mi, a ja sam,
twój przyjaciel — tu szturchnął
się w piersi Kozj. który już miał
nieco w czubie — ja twój przyjaciel
przyrzekę ci kamień do szyji
i zepchnę cię z mostu Podgórsk.
żeby ci kłopotów oszczędzić!
To mówiąc palnął pięścią o stół
i napił się piwa,
— Ma racyą rzekł Wrzos.
— A.p. ja mam 2. [illegible]
Ai str 34.

obok
W tem ozwały się hrzmiące wiwaty, a postrzegł przytem imię Jakóba i Kaspra.
— Oho! Oblewa maturę z ojcem rzekł Wesoł. i poszedł [illegible] do sąsiedniego pokoju. Tam pan Kacper pił z kilku fiakrami pełnemi „bombami" — a Jakób przy kasie w sklepie rozmawiał z jakąś pokojóweczką, która przyszła z karafką po piwo.
Zobaczywszy Wesoł. wychylił szybko piwo p. K. zapłacił zostawiwszy [illegible] i pożegnał się z fiakrami i przyłączył się do Szymka i towarzyszy z dala ok. 17.

F

W następną niedzielę od rana już rozlegał się krzykiem dom pani Ml. Co chwila dostawała burę kucharka, stróż, a nawet biedna Anusia, od której to niby wszystko się robiło.

– Pamiętaj Anusiu, żebyś mi fochów nie robiła! Przecie to dla twojego zdrowia –

F Wtem świst rozległ się. Towarzysze nasi rozchodzili [pospiesznie] na peronie Kolejowego Dworca Krak. Jacek z pakunkiem, z workiem drewnianym, cynową torbą i stryjkiem Marcinem.

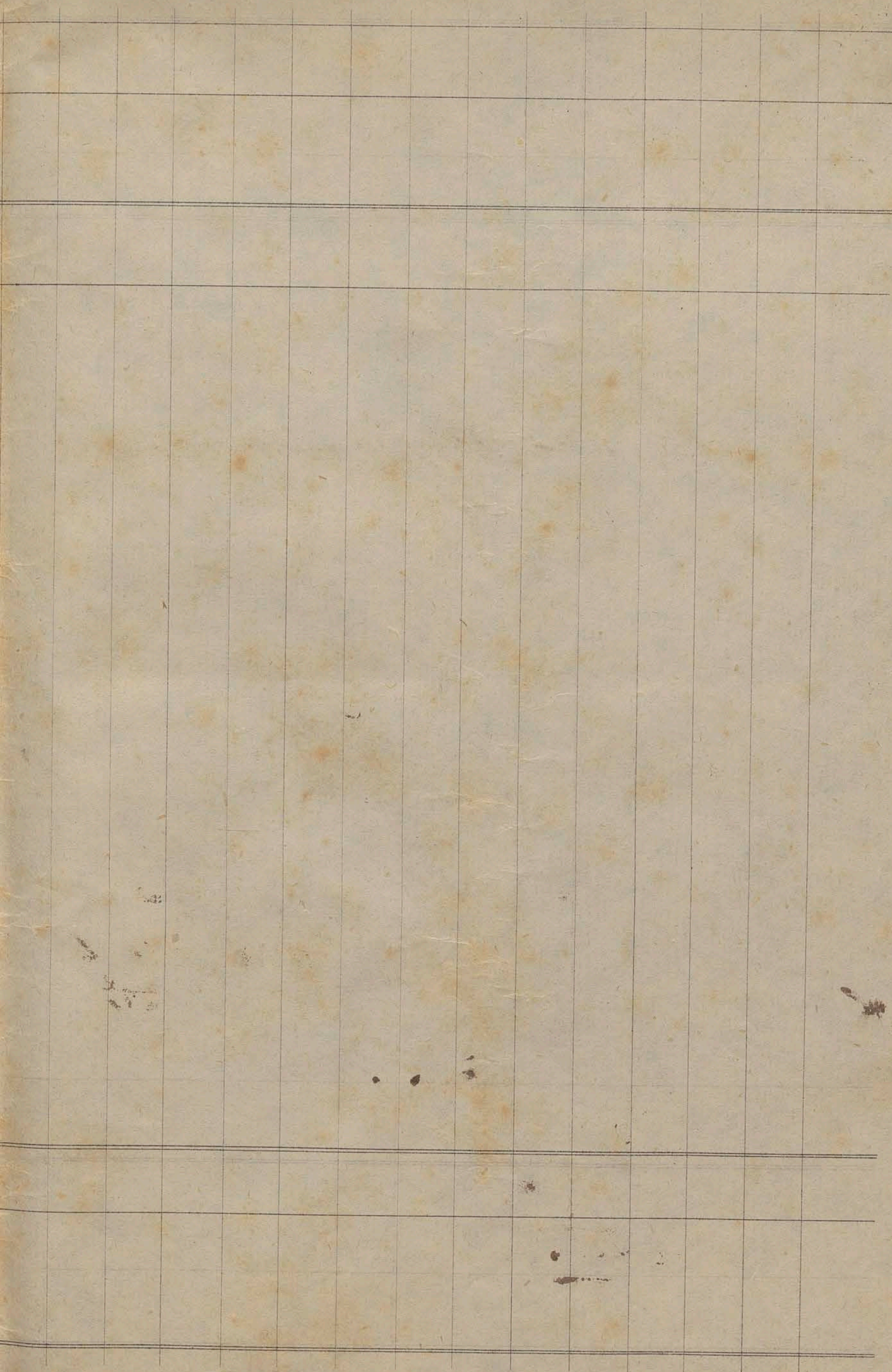
– W sam czas jesteśmy – rzekła pani Kat. Ata Kom. str. 49.

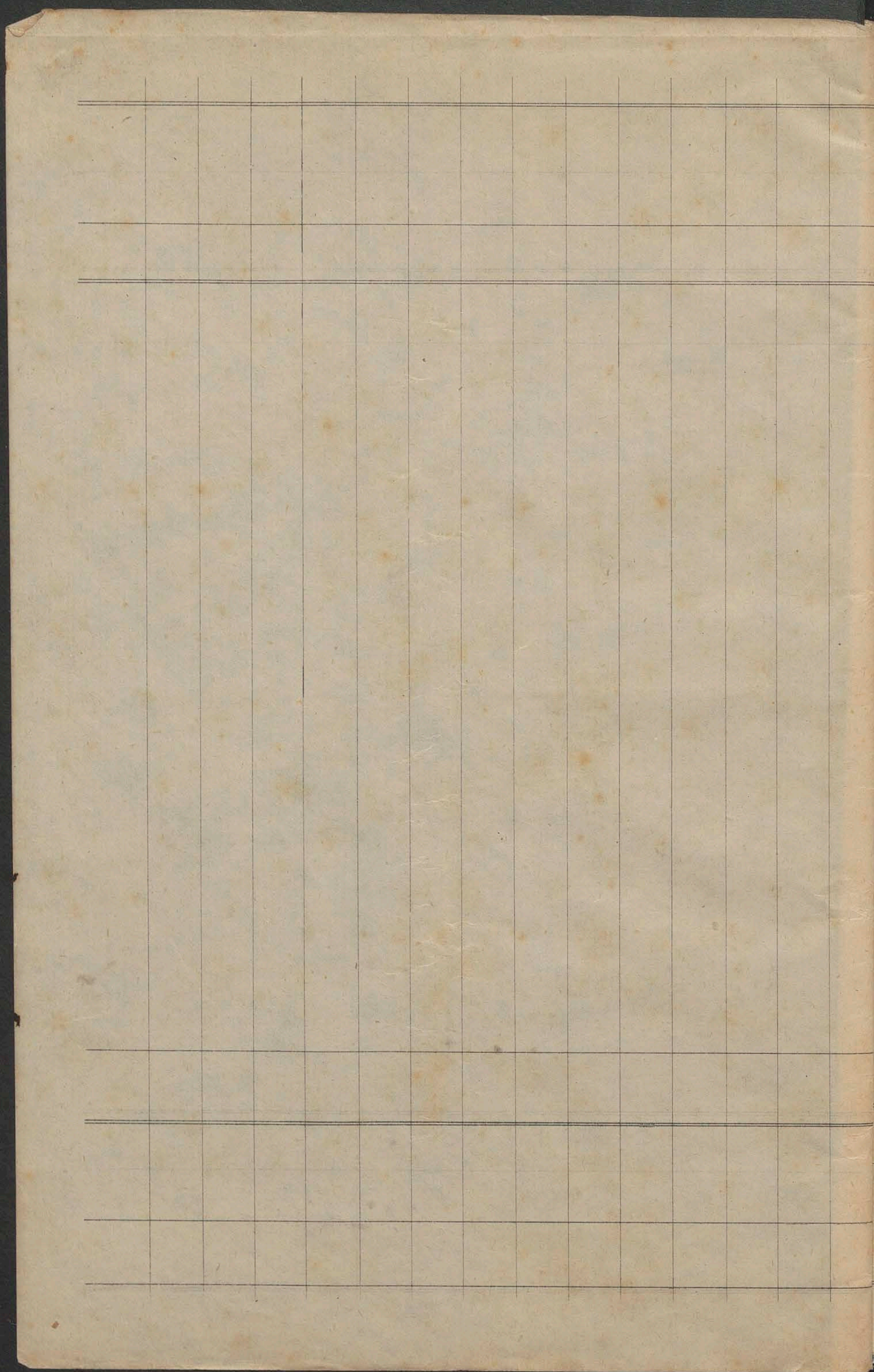
– No nie płacz powiadam ci – Maryśka bo upuścisz placek, a żeby cię pokręciło ty niezgrabo! Wreszcie koło 3ciej popoł. dostali się za schodach ... Kroki i za pomocą starego Cygretki i wszedł do przygotowanego na wrócenie zarezerwowanego pokoju . .

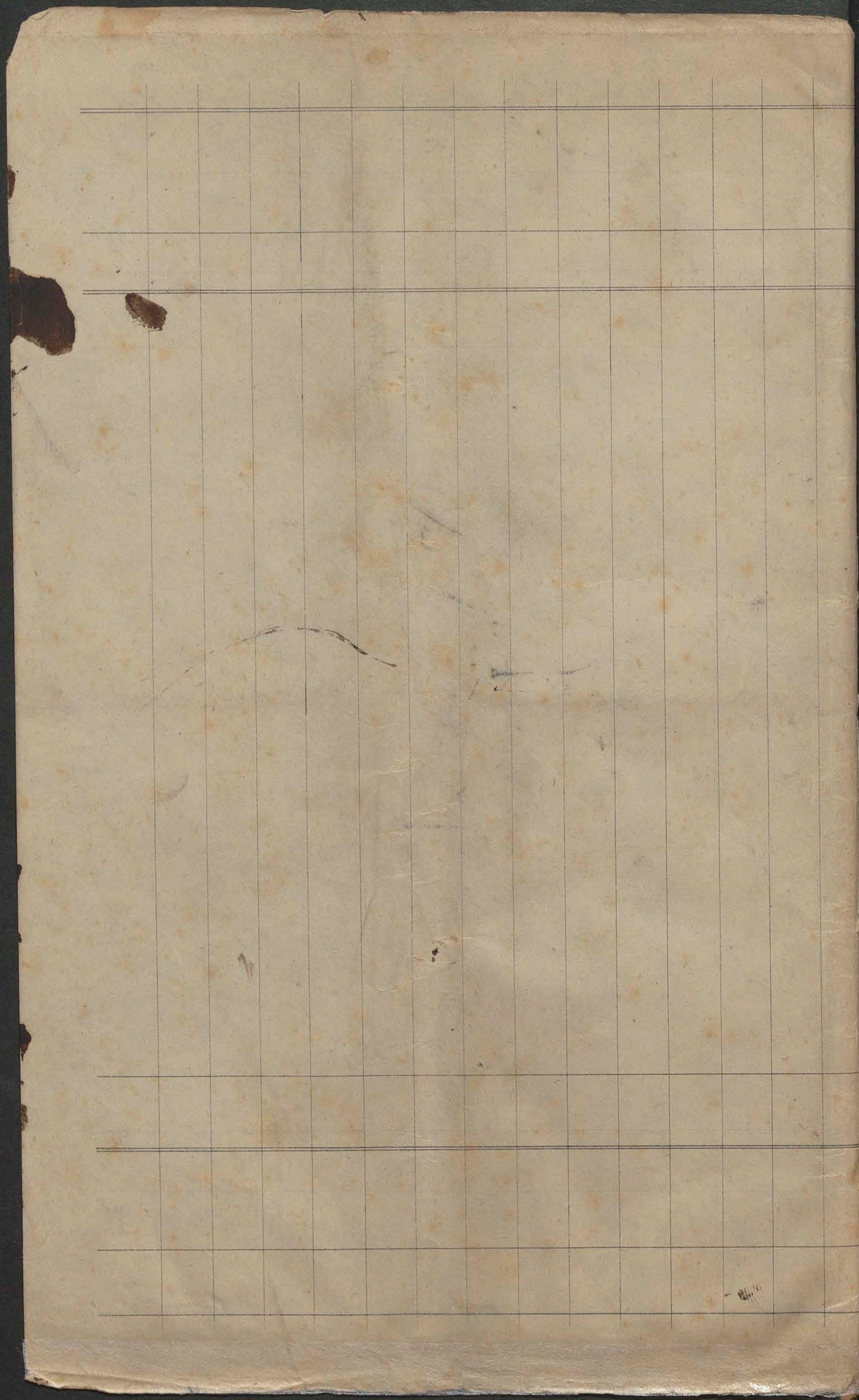
str. 62

Samyjśł ...

Ata.







Opowiadania pana Kaspra Łyka.

II.

Kleparskie swaty. —

Już dzwony u Śgo Floryana wydzwoniły Anioł Pański, kiedy pan Drabinka, wachmistrz od straży pożarnej z towarzyszem swym p. Linewką niecierpliwie przechadzał się po nienadającym się do przyjemnej przechadzki bruku Rynku Kleparskiego, niespokojnie zaglądając w okna pewnego domu niedaleko Kościoła Śgo Floryana położonego. Wreszcie ozwał się do towarzysza:

— Już dosyć późno — albo już wyszła, albo już nie wyjdzie — spróbuję szczęścia. Stójże tutaj, a jakby szła, to gwizdnij. I skierował swe kroki ku temu domowi, w którego okna tak niecierpliwie zaglądał był i w bramie nos w nos zetknął się z z Szymkiem Wesołowskim, swoim ekskolegą szkolnym, a dobrym przyjacielem i Kubusiem Kropackim z którym go-

podobny tęczy stosunek.
– Serwus Drabinko? – jak się masz?
– A! dzień dobry wiercioł!
– Cóż ty tu porabiasz w naszej parafii? rzekł Kubuś.
– Nic dziwnego, rzekł Szymek – przecież Św. Floryan to patron strażaków.
– Gdzież idziecie – może za interesem, to was nie zatrzymuję – rzekł Drabinka pragnąc pożegnać przyjaciół.
– Ja, co do mnie, rzekł Szymek, to się wyprowadzam, – omnia mea mecum porto, – Kapelusz, laska, parę książek pod pachą, to całe moje ruchome mienie.
– A z nieruchomego majątku tylko zegarek, bo nie idzie, dodał Kubuś.
– A kiedyż się ty przeprowadzasz? przecież dziś dawno po pierwszym?
– Właśnie dlatego, że dziś dawno po pierwszym, bo porządny lokator, jak twierdzi moja gospodyni domu, powinien pierwszego czynsz zapłacić, i dlatego mię napędziła. Prześpię się u Jakóba w sąsiedniem zaraz domu.
– Tfu do trzystu parowych sikawek!

Możebyś lepiej poszedł do nas na starinicę, pan Emmnowicz wprawdzie nie pozwala obcych wprowadzać, ale my cię „przeczwarcujemy". Cieszyłbyś się zabawisz, zobaczysz, jak Linewka zagra na harmonii!.. Wy się nie znacie? Pan Linewka... pan Wesołowski - rzekł przedstawiając Drabnika - pan Kropacki: No pójdziesz?
— Dziękuję ci, idę już do Jakóba.
— Słuchajno, jest ta sekutnica w domu?
— Klapalalka niby? jest.
— O do djabła! nic z mojej wizyty!
— Cóż to za wizyta?
— Ano... widzisz... jakoś się Drabinka - to długa historya... no, ale koniec końców nie mam dla ciebie tajemnic: chciałem żenić się z panną Anną, ale matka upatrzyła sobie coś do mnie (djabli wiedzą co) i nie chce. Zabroniła mi się pokazywać u niej; dlatego zaziéram do Anusi tylko wtedy, gdy jest sama ze stryjkiem. —
— A cóż ona chce więcéj od Ciebie? ~~prze~~ — wiesz to dla jej córki dobra partya! rzekł

H

Wesołowski.

— Wiem ja co się święci, rzekł Kubuś, mówił mi ojciec. Chce ją wydać za jakiegoś tam czeladnika z Krowodrzy, bo dostał w sukcesyi dwa domy w Wieliczce i to jej się tak podoba.

— Takie buty! zawołał Drabinka; dobrze ~~że~~ żeś mi powiedział — muszę jutro zaraz pogadać z wujem, żeby on sam pogadał z Kłapalską. Przecież mój ojciec ma także dom i to z gruntem, a jestem jedynak!

— Ba! ale czeladnik ma dwa domy! to u matki więcej znaczy. Jutro mają być formalne już oświadczyny.

— Niech ją!.. mruknął przez zęby Drabinka. Co tu zrobić?.. pomówię na każdy sposób z wujem... on jej sąsiad, prędzej co wskóra jak mój ojciec, który jej nawet nie zna... Co jej tak o tego czeladnika idzie? kiedy i tak Annusia go nie zechce? Ale to

z babami!..
– A zwłaszcza z Kłapałską! rzekł Kubuś, Żebyś wiedział jak sobie postąpiła z Szymkiem!
– No, jakże?
– A właśnie było u mnie kilku kolegów, zaczął opowiadać sam Wesołowski, Jakób, Kłapałski medyk, Durnicki filozof i kilku innych, właśnie Kłapałski opowiadał bardzo ciekawy wypadek, jak jeden cieśla spadł z dachu i musiano mu wyjąć parę żeber i odciąć nogę...
– O! O! i długo na to leżał (w szpitalu)? spytał Drabinka, którego ten wypadek zainteresował, ze względu, że sam mógł się łatwo znaleść w położeniu owego cieśli.
– Tydzień, a ta –
– Tylko tydzień? i już wyszedł?
– Umarł. A ta baba wpada jak bomba i pyta, czy już zapłacę, czy nie? Powiadam, że teraz nie mam pieniędzy, bo mi za lekcyę jeszcze nie zapłacono, ale zaraz jak odbiorę, zapłacę. Proszę ją grzecznie

siadać, podaję jedyny stołek na trzech nogach, który mi ona sama wynajęła pod nazwą „mebla", a ona wciąż krzyczy, czy jej zapłacę, czy nie. Krajalski chciał jej krew puścić, bojąc się, żeby apopleksyi nie dostała. Koniec końców nazwawszy nas hołotą kazała nam się wynieść, żeby już dziś wywiesić mogła kartę, że jest do wynajęcia mieszkanie kawalerskie z „meblami", t.j. owym stołkiem na trzech nogach, stolikiem i łóżkiem.
Ale mam myśl, zrobimy jej za to heca.
– Cóż takiego? jabym ci z ochotą pomógł.
– Na to jej imieniny – rzekł, mrugając tajemniczo okiem, Szymek.
– Wiem o tem, mam iść z ojcem winszować jej – ale co z tego? zapytał Jakób.
Szymek zbliżył się ku niemu i cicho rzekł:
– Nająłem jej muzykę! i odstąpił znów krok w tył, aby śledzić wrażenie słów swych na towarzyszach.
– Żeby jej rano grała? co?
– Ehę, będą grać póki im ce nie da.
– Doskonale! Baba skąpa, to ją to

porządnie zirytuje, dobrze opłacę każdego centa, - ale i ty im chyba coś dać umiałeś?

— Nie - bo ich kapelmistrzem jest - zgadnij kto? - Drumoszewski.

— Nasz ekskolega? ten co razem ze mną zarepetował w czwartej klasie? spytał Jakób.

— Ten sam, ani go poznasz! zaraz ci go pokażę.

To powiedziawszy otwarł Szymek drzwi od szynku pod Kogutem domu pani Kupalskiej w sąsiedztwie się znajdującego i krzyknął: Panie Dyrektorze! Dyrektorze! proszę na chwilę!

Jakoż ucichła nagle muzyka i z szynku wyszedł najprzód długi surdut okrywający do kolan spodenki wąskie jak pochewka na parasol, nad nie ocyprowonemi butami, wszystko to włożone na osobę pana Drumoszewskiego, którego twarzy szczególną ozdobą był wspaniały purpurowy nos.

– Jak się masz artysto! zawołał Wesołowski, patrząc, twoi koledzy chcą cię obaczyć po długiem niewidzeniu.

– Jak się masz dobry Wojtusiu! Nie wiedziałem żeś wyszedł na muzyka, rzekł Jakób witając się z Dmuszewskim. Dawno cię nie widziałem. Cóż się z tobą działo?

– Jak się macie, jak się macie, witał do koła Dmuszewski. Co się ze mną działo? Hm! widzisz, jak mi dano dymisyę w czwartej klasie, którą gruntownie już po drugi raz studyowałem – byłem kadetem na Łobzowie; no, ale jakoś los mi nie sprzyjał, więc poszedłem do seminaryum nauczycielskiego na „preparandę," nawet zostałem zastępcą gospodarza klasy pierwszej, ciągnąłem malców za uszy, szepotałem skórzy, żeby byli porządnymi kredyt obywatelami... ale mi jakoś los nie sprzyjał, dali mi dymisyę, a ja nauczywszy się na preparandzie grać na skrzypcach, zostałem

dyrektorem narodowej Kapeli... czegóż tam znowu? zwrócił się nagle Dmuszewski do grubego, a małego człowieczka wybiegającego z szynku i krzyczącego na głos: „Dyrektorze! Panie Kapelmistrzu!
– Wołają na muzykę, a pan się tu bawisz, rzekł nowy przybysz, proszę pana!
– Mam teraz interes z moimi przyjaciółmi.
– A! to państwo przyjaciele? będą zatem i moimi. Prosię panowie na mój Klarnet. To mówiąc podał protekcyjnie rękę przyszłym swym przyjaciołom, a pragnąc natychmiast z nimi bliższe zawiązać stosunki, wziął pod rękę pana Śmiewkę, który mu się jakoś najlepiej spodobał i rzekł mu do ucha:
– Pan Dmuszewski jest to geniusz muzykalny! Możesz pan być dumnym z jego przyjaźni. Czybyś mi pan nie mógł poży-

czyś pan szóstek?

— Służyłbym chętnie... ale... zdaje mi się — nie wziąłem ze sobą...

— A! to przepraszam, rzekł natchniony geniuszem swego dyrektora i zwrócił się do Jakóba, z zamiarem objaśnienia go o sukcesach pana kapelmistrza, jakie odniósł dając czwartej niedzieli koncert w szynku pod Huzarem, przyczem zapytał Jakóba czyby mu to nie zrobiło różnicy, gdyby... lecz tu pociągnął go ktoś grzecznie z tyłu, a był to jeszcze jeden towarzysz kapeli, wołający z polecenia gospodarza szynku do rozpoczęcia kadryla.

— Słuchajno jeszcze mój Wojtusiu, zrobiłeś to coś przyrzekł?

— Grać przed Kłapalską? ale z ochotą, jak tylko koło 4tej będę wracał z pod Koguta, z całą kapelą. Dobrze żem was spotkał, potrzebuję jeszcze jednego skrzypka do kapeli. Tyś Szymku

Dawniej grywał, możeby pan...
— Idźże do djabła z taką propozycją! Za miesiąc będę miał rygorozum!
— E! co to doktorstwo! nie lepiej to panie bawić się tak jak my, na każdem klepar-skiem weselu, chrzcinach, zaręczynach, urodzinach, imieninach gra się, pije się, a jak się pije! rzekł z zachwytem Dunszewski! Nie ma pan wyobrażenia jak te Tyki piją i poją!
— Pojmuję, po twym nosie.
— A przytem nie źle płacą: przeszłego roku raz za noc dostałem 5 reńskich (pamiętam było to drugiego Stycznia, rozbiła mi tam jeden drużba łeb kuflem) a zeszłej niedzieli dostałem 2 pa-pierki za solo skrzypce i po szóstce za dwa zęby, co mi córka gospodarza wybiła szczotką od podłogi, jak...
Lecz w tej chwili wpadł z szynku lokaj w wspaniałej liberyi, „lokaj od hrabiego" jak go z uszanowaniem towarzysze za-bawy nazywali i porwał za surdut

i zawołał:

— Dyrektorze! gdzieżeś to tam uciekł? Już pary stoją, ja pannom „angażować” kontredansa, a muzyki nie ma!

— Niech się pary ustawią, niech gospodarz od nich pierwsze odbierze, a ja tymczasem nadejdę

— Niech się pan śpieszy, bo „damy” czekają — rzekł wspaniały lokaj i wrócił z uspokajającą wieścią, że muzyka będzie.

— Djabli ich nadali! mruknął Dumor. chwili mi odpocząć nie dadzą, a gramy już od trzeciej popołudniu.

— No, Dyrektorze, nie zatrzymujemy cię, bądź zdrów, i pamiętaj, coś przyrzekł.

— Dobrze, dobrze. Może wstąpicie na sznapsa, mam tu nieograniczony kredyt, wszystkiego dostaniecie na „burg”. Nie? no, to bądźcie zdrowi i szybko zniknął we drzwiach szynku Dyrektor narodowej kapeli.

— Hm! to się pijaczyna zrobił! zauważył Szymek.

– Ha! trudno; choćby nie chciał, to musi pić, to wynika z jego profesyi: gra po weselach, częstują, pojà, lejà w gardło –
– Panie Drabinka, dziewiąta już nie daleko, trzeba dybać na strażnicę.
– Pójdźmy więc, nadaremno pół dnia straciłem i nie widziałem panny Anny.
– Nic sobie z tego nie rób, będę ci jeszcze drużbować na weselu, zobaczysz.
– Oby tak było! Bądźcie więc zdrowi!
– Dobranoc.
– Idźże do mnie na górę, rzekł Jakób do Wesołowskiego, gdy zostali sami, bądź jak u siebie, ja tu tymczasem poczekam na ojca, chciałbym z nim pomówić.
– Do widzenia zatem.
Student Wesołowski wszedł zatem do kamienicy, a Jakób przechadzając się przed domem rozmyślał to nad zbliżającą się maturą, to nad biednym Szymkiem, potem słysząc muzykę z pod Koguta marzył nad przyszłemi uciechami swobodnego życia akademickiego.

— Muszę namówić ojca, żeby wziął mi Wesołowskiego za instruktora... przyda mi się nawet... oho! jedzie stary!
Jakoż od strony Floryańskiej ulicy nadjechał pan Bartłomiej Kropacki powożąc z kozła dorożką, strzelił z bata i stanął przed domem
— Dobry wieczór Kłapcze! ozwał się złażąc z kozła. Czekasz na mnie? Pewnie ci pieniędzy potrzeba? Nie z tego, ciężkie czasy.
— Nie, nie potrzebuję pieniędzy!
— Pierwszy raz to od Ciebie słyszę. Pójdźmy na kieliszek, bo mi nie dobrze w żołądku.
— Dziękuję ojcu, nie pijam wódki
— Nie pije wódki! rzekł kiwając głową zgorszony ojciec. Na co to ludzie schodzą! Dobrze mówił ten ksiądz z ambony, że ludzie... jak on to mówił? głupieją?... maleją?...
— Kartowacieją — podsunął ojcu Jakób.
— Aha! Karbo... Karto, no, no, nie pija wódki! A takie dobre wychowanie dałem

zemuchłopcu! Prawdziwy klepanami z ojca i matki! Powiedz mi Jakóbie, coby na to powiedziała twoja nieboszczka matka, (panie świeć nad jéj duszą) gdyby z grobu powstała? Były to tak przykre dla ojcowskiego serca pana Bartłomieja uwagi, że wszedł na chwilę pod kapotę, wychylił z telegraficzną szybkością kieliszek i wrócił przed swój dom.

– No, pomóż mi konia odprzadz. Co? nie potrafisz? a dawniej, jakeś był tylko jeszcze smarkatym chłopakiem, toś umiał! Oj! uczą was w szkole fizyki, elektryki, kaligrafiki, a jak przyjdzie konia odprzadz to nie umie! Prosze odroż, mi nie umie od szczurki, a szczurkę ma w głowie!

Po tych uwagach wyrażonych pośród odprzęgania konia, wprowadził pan Bartłomiej szkapę do domu i wrócił za chwilę.

– Powiem ojcu nowinę, rzekł Jakób.
– I ja ci powiem nowinę, odpowiedział oj-
ciec spluwając, no, ale mów ty pierwszy.
– I Szapalska nie dała dziś już nocować
Wesołowskiemu w domu, że jej jeszcze nie
zapłacił.
– Zawsze mówiłem, że to baba z rodem ul
z za pieckła. Weź go do siebie przecie.
– Ja też tak zrobiłem, bo wiedziałem, że tata
na to przystanie. zresztą onby mógł się przy-
dać, żeby nie podszczypł matematyki do
matury. Żeby tata zapłacił mu?..
– A no juści, jak trza, to trza! rzekł
pan Bartłomiej. A teraz ja ci powiem:
zrobiłem to, o co mi dawno suszył
głowę – przestaję powozić fiakrem i
od jutro nająłem do siwej parobka. Prze-
staję być fiakrem: dosyć się przez 30 lat
najeździłem; ~~[illegible]~~ jak to
dobrze powiada przysłowie, rzekł kiwając
poważnie głową p. Bartłomiej,: kto za
młodu jeździ, ten na starość piechotą chodzi.

– Tymczasem pójdźmy spać!" I zostawiwszy przed domem dorożkę, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bez konia nie odjedzie przez noc nigdzie, a za duża jest, aby ją mimo stróżów nocnych ukradziono – weszli do domu i wkrótce światła we wszystkich oknach pogasły, bramy pozamykano, cisza zaległa Kleparz słychać było tylko stąpania patrolu lub stróża nocnego, a niekiedy tylko, gdy otworzono drzwi od jakiego szynku, doleciał ucha spóźnionego przechodnia stary głos katarynki... strzęp muzyki lub śpiewu.

Z pod Koguta dolatywał czasem głos muzyki nagle urwał się... wszczęła się jakaś ~~[illegible]~~ wrzawa – potem nagle wyleciał przez szybę od okna kufel, za nim noga od stołka, a wreszcie, już przez drzwi, wypadł na trotoar pan Michał Sikora, a szybkość, z jaką dokonał tego manewru, kazała wnioskować, że nie była to jego własna

chyżość, lecz nadana mu ze świata otaczającego ~~zewnętrznego~~.

– Tfu! hołota! zawołał przywróciwszy się do równowagi i grożąc pięścią ku drewnianemu rynku wyciągnięta. Łotry! Ja wam pokażę! groził pan Skora zataczając się fatalnie. Ależ ciemno... nie widać gościńca... muszę iść już domu... jutro, jutro ja im pokażę, co to znaczy wyrzucić za drzwi Michała Skorę!..
Potem zataczając się zbliżył się do studni stojącej na Kleparskim rynku i zachwyciwszy przypadkiem rękojeść od studni począł pompować gwałtownie wodę, w tem przekonaniu, że dzwoni do bramy.

– Otwieraj do stu djabłów! wołał pan Skora, – Wojtek! Kuba! Bartek!

– A tu kto tak wrzeszczy? ozwał się nagle stróż nocny nad uchem pana Skory. Hej! a kto ty? co ty tu robisz po nocy?

– A toli dzwonię i dzwonię do bramy, a bestya stróż nie otwiera!

– A wiesz ty bratku, że teraz za pijaństwo do Kozy się bierze? he? i wziął za kołnierz pana Sikorę, lecz nagle puścił go i rzekł:
– To ty Michale! a bodajcie! a gdzieżeś się ty tak strąbił?
– A! to wy... wy stryku! Ja... jak się macie...
– E co tobie do tego pijaku, jak ja się mam! Masz szczęście, że cię nie inny przycapił, boby[ś] zaraz powiódł pod „telegraf." Pójdź do domu, to cię odprowadzę.
– Co tam mam gdzie chodzić... tu mój dom, tu będę pa... panem... jak się ożenię z Dra-tewkówną... a co tam...
– Pójdź zaraz do domu, bo cię kropnę!...
– Nie pójdę! wrzasnął wyrywając się Si-~~Kora~~ Michał.
– Cicho... idzie ktoś... schowaj się za studnię... bo jak drugi stróż albo poli-cyant nadejdzie to cię ja nie wykręcę od Kozy. I widząc zbliżającego się na krzyk Michała drugiego stróża nocnego, – usunął

się spiesznie stryj Michała, a Michał tymczasem nie mogąc już napowrót trafić do studni zaszedł do dorożki stojącej przed domem pana ~~Ch~~ Trzpackiego i wlazł do niej z trudnością, sądząc, że trafił wreszcie pod domową strzechę.

—

Nazajutrz z rana w warsztacie pana Dratewki jeszcze koło dziewiątej brakowało przy robocie pana Michała Skory, a pan Dratewka klął na czem świat stoi na niego, co chwila na zegarek spoglądając.

– Pewnie się upił, a tu robota stoi! Ale to już ostatni jego u mnie „blaumontag"! Niech sobie gdzieindziej szuka roboty, u mnie jej już nie znajdzie!

Właśnie wśród tego monologu nadszedł znajomy nasz, pan Drabinka i powstawszy wujka usiadł na stołku i zakłopotany obracał swój kask strażacki w rękach.

— Oho! już ja widzę, o co ci idzie! rzekł pan Dratewka. Nie darmo tak rano przyszedłeś? Cóż tam z twoją żeniaczką? co? pewnie ci o to idzie?

— A bo widzi wujaszek słyszałem, że ciotka chcęgwałtem Anusię zaręczyć z jakimś legietką z Krowodrzy... mógłby wujaszek dlatego spróbować jeszcze, bo to ostatni czas..

— Ha! spróbować można! ale to jak się baba uprze, to jej sam djabeł nie przeprze! Mogę zaraz pójść do niej, bo to dziś jej imieniny... grali jej muzykusy rano z godzinę... pewnie ta nie była z tego kontenta, bo to, pamiętajże, koniuszę takie dzień dobry. Nie wiem, jakim ja tu będę swatem.

Ledwie ostatnich słów domówił, aż tu otwarły się drzwi, a w nich zjawiła się pani Kłapalska.

— Wszelki duch! pomyślał p. Dratewka a głośno rzekł:

– Pan dobrodziej pani sąsiadce! proszę pani siadać! dodał ścierając rękawem kurz ze stołka. Właśnie wybierałem się do pani z powinszowaniem z tym oto poczciwym chłopakiem –

– Upadam do nóżek pani! rzekł pokornie Drabinka.

– Dziękuję, dziękuję – panie Dratewka przyszłam tu w ważnym interesie do pana, panie Dratewko!

– A! słyszysz pani – Jasiu! dodał do Drabinki, nie przeszkadzaj nam!

– Padam do nóg pani, żegnam wujaszka – wyszedł i niespokojnie czekał przed domem na wynik tego tajemniczego interesu.

Gdy się już oddalił, ozwała się pani Kłapalska i zaczęła ab ovo:

– Nie trzeba panu mówić, że kiedy dojdzie córka do lat tych, co moja, lub pańska, to czas o niej pomyśleć, żeby poszły na

swój chléb.
— O czas! czas! przyświadczył pan Dratewka, uważając to przemówienie za wodę na młyn Drabinki. Zwłaszcza jeżeli się trafia człowiek godny, porządny, mający utrzymanie...
— Właśnie, właśnie... Otóż pewien młody, przystojny, porządny człowiek, pokochawszy córkę pańską (tu powstał nagle p. Dratewka) pragnąłby wejść z nią w święte śluby małżeńskie, i prosi ustami mojemi o rękę...
— I któż to jest ten młody, przystojny człowiek? zapytał zaniepokojony pan Dratewka.
— Znasz go pan bardzo dobrze, mój krewniak, pan Michał Sikora.
— Co! co? co? ten pijak zięciem mojej?..
— Bardzo proszę! to mój krewniak!
— Czyś pani sfiksowała z takiemi swataniami, czy co? Słucham panie: młody, porządny.. porządny!? człowiek, kto taki? ten pijak! A fu do licha! ta hołota! milion!...

— Co za hołota? cóż to sobie waćpan myśli? Nie z porządnej familii? ojciec jego nie był majstrem, a brat ekspresem? a siostra jego rodzoniuteńka nie uczy się w seminarzu? Skoro go pan nie chce za zięcia, to i ja nie chcę Drabinki; niech mi się do córki nie zaleca bo z tego nic nie będzie! Patrzcie go! Jakimi! i trzasnąwszy drzwiami, wyszła.
— A do miliona stu par butów i kamaszek z cholewami, jaki mi zięć! klął jeszcze rozirytowany pan Dratewka.
Ledwo z bramy wyszła pani Kłapalska, wbiegł Drabinka do wuja, aby dowiedzieć się co zaszło. Ale przez kwadrans musiał najprzód wysłuchać wymysłów wuja na Kłapalską i Sikorę, aż wreszcie dowiedziawszy się wypadł z rozpaczą jak szalony i pobiegł w miasto.
Kiedy z targu wróciła pani Dratewkowa z córką i [kiedy] pan Dratewka opowiadał im

w alkierzu o poselstwie sąsiadki — zjawił się tymczasem w warsztacie pan Michał Sykora, dobrze jeszcze rozmarzony. Nie przywitał się z nikim, lecz stanął na środku, oglądnął się po warsztacie i wreszcie zawołał:

— Chłopak! czy dałeś ptaszkowi jeść?

— Dałem obu: Makolągwie i czyżowi.

Tu podskoczył pan Sykora ku chłopakowi, wziął go za ucho i krzyknął:

— Chłopak! jak mi jeszcze raz powiesz: czyżowi, to dostaniesz pociągiem! Rozumiesz? hę? Kanarkowi! rozumiesz! kanarkowi!!

— Rozumię! rzekł przelękniony chłopak, dałem jeść kanarkowi.

— No tak, czyż to szewski kanarek! tak.

Tu dobył z kieszeni potarganą czerwoną niegdyś fularową chustkę do nosa, utarł nią z łoskotem nos, a potem pokazał ją chłopakowi i rzekł:

— Chłopak! mam takich chustek sześć!

i z dumą schował ją do kieszeni.

— Gdzież to pan bywał od wczoraj? zapytał go czeladnik.

→ 2.

– Żebyś pan wiedział, co mi się wczoraj trafiło, toby pan otwarł gębę od ucha do ucha, jak ptaszek kiedy pypcia dostanie, rzekł pan Michał siadając na zydlu, albowiem czuł, że mu jeszcze trudno utrzymać się na nogach.
– No cóż? pewnie pan nocował „pod telegrafem?”
– No, toby znów nic tak szczególnego nie było. Ale słuchaj pan. Tańcowaliśmy pod Kogutem, pewien lokaj „od hrabiego ze Szlaku” angażował kontredansa wcale po pańsku... mać że bywa w pańskich towarzystwach. Panie zmawiam kupę... passe gęsiego – tu wstał pan Sikora i pokazywał kontredansa – a w tem wlazł mi ktoś na odcisk! Ja go chlap w gębę. A wszyscy za mnie!.. No! myślę sobie... nie mam tu co robić między grubianami... i poszedłem do domu.. położyłem się spać!
– Ej! co pan bajesz, przecież pana w domu nie było!
– Ale kiedy mówię, że tak, to tak. Choć pan jesteś jeszcze nie prawda. Jak dłuższego

spałem — nie wiem. Wtem budzi mię jakiś turkot — otwieram oczy... patrzę... jestem w fiakrze! i jadę bez cały Kleparz jakby jaki hrabia! Zdziwiony w pierwszej chwili krzyknąłem: gwałtu! a fiakier — ordynarny człowiek — wyciąga mię z budki i nuż batem okładać!

Tu parsknęli wszyscy śmiechem i brali się za boki i kładli ze śmiechu.

— No i czegoż wy się śmiejecie, czy to nie cudowna przygoda!

— Ha! ha! ha! Toś pan wlazł zamiast do domu do Łóżka — do fiakra, co go tu na noc przed domem zostawiają, bo wiedzą, że im nikt nie ukradnie, a bramy szkoda otwierać, i nawrócić trudno w małym podworcu. ha! ha!

— Ale co mi tam pan gada, byłem w domu, spałem wygodnie... a wtem wszedł do warsztatu pan Dratewka, a ujrzawszy Sikorę wyciągnął tylko rękę (pokazując) na drzwi — i nic przemówić nie mógł ze złości.

— Dzień dobry, panie Dratewka, rzekł

poufale p. Sikora.
— Wynoś mi się pan stąd!.. nie masz pan u mnie roboty!...
— Ale panie majster, zastanów się pan...
— Tfu do licha! pijak!... ledwie w sobotę weźmie pieniądze, to przez niedzielę przepije i —
— Bardzo proszę, mam jeszcze dwa centy!
— Precz! do stu djabłów! Jaki mi młody, porządny, przystojny człowiek!
Tu chłopaki wszelką radość okazali, widząc upokorzenie pana Michała Sikory.
— Bo może panu nie wiadomo — zawołał pan Sikora — że ja chcę się ożenić z —
— Fort! fort! bo jak pan zaraz się nie wyniesiesz — to wylecisz oknem!..
— Panie!.. panie... bo panu co powiem!
— Ja ci tu!... rzekł chwytając za pociągiel Dratewka — lecz Sikora nie chcąc do ostateczności doczekać wdział kapelusz na bakier i rzekł groźnie:
— Kiedy tak... to dobrze! i wyszedł.
— A to skaranie Boże! mruczał długo jeszcze potem p. Dratewka. Feralny dzień! i to przy

poniedziałku. Cały tydzień będzie niemożliwy. Zjadłby milion djabłów!... to mi swaty!...

Tymczasem w sąsiedztwie płakała w swoim pokoiku panna Anna, lecz i tam nie mogła się ukryć przed troskliwą matką, która przez drzwi do niej ciągle gadała, od czasu do czasu ważniejsze frazesy krzycząc przez dziurkę od klucza:

— Wybij sobie z głowy tego strażaka! co ci tam po nim. Taki jeden chłop dobry, jak drugi; a im głupszy, tem lepszy... a strażak może jeszcze łatwo głowę albo kark skręcić, albo się w ogniu usmażyć. Dziś przy imieninach mają się Wojtkowie oświadczyć, pamiętaj, żebyś mi ceregieli nie robiła...

— Ale ten Wojtek i brzydszy od Drabinki i głupi, aż strach... a mama...

— To właśnie najlepiej! mój ś. p. mąż (panie świeć nad jego duszą!) był głupi, jak stołowe nogi i dobrze mi z nim było. Robiłam com chciała. Przecież ja twego szczęścia pragnę, Anusiu! Toć nigdy lepszego męża od Wojtka nie

dostaniesz! No! wyjdźże, bo już ich słyszę po schodach! A! nie! to Michałek!

— Cóż ty tu robisz Michałku? nie jesteś to przy robocie? po coś tu przyszedł?

— A powinszować ciotce!

— Dziękuję ci, serce, ale musisz se wybić Dratwkówną z głowy, bo ci jej dać nie chce.

— Toć wiem. Powiedział mi, żebym się wyniósł do djabła, że nie bez okna wyrzuci, jak mu się pokażę.

— Takiemi! Mojego krewniaka on będzie wyrzucać! A niech go za to pokręci! To ci zresztą na dobre wyjdzie. Wiesz co? dałoby ci się zobaczyć co świata, iść na wędrówkę, przetrzeć się w świecie. (Dawniej każdy czeladnik musiał być na „wandrze") n.p. tak do Bochni?

— Hm! ale toby trza co na drogę?

— Już ja cię oporządzę.

— Trza kupić „felajs"...

— To ci kupię.. nie jeden Dratwka szewc na świecie, obejdziesz się przez niego.

Oho! idą Cegiełkowie!

Jakoż dało się słyszeć głośne stukanie butami po schodach, a co chwilę wołanie:

– Mikołajku! Mikołajku! a wreszcie weszła ogromna, czerwona jak burak niewiasta i wrzasła od progu:

– Dzień dobry kumo! Mikołajku! a pódźże!

Za nią wszedł szpakowaty mężczyzna w kapocie, a za tym wysoki i chudy jak tyka od chmielu młodzieniec w jasnych za krótkich spodniach i granatowym fraku, a w rękach trzymał cylinder, widocznie nie wiedząc co z nim zrobić. Był to pan Wojciech Cegiełka.

– Winszuję kumie wszystkiego dobrego... poczęła pani Barbara Cegiełkowa całując panią Kłapalską po każdym słowie. fortuny, ~~pieniędzy~~, pociechy –

– Dobrego roku! pieniędzy – zawtórował winszował pan Mikołaj Cegiełka.

– Szczęścia przedewszystkiem – poprawiła go żona.

– Kobieto! nie przerywaj mi. a zdrowia pani dobrodziejce także

– Pociechy z córki, szepta p. Barbara.

– Kobieto! czyś mi nie ślubowała posłuszeństwa? przerwał żonie pan Mikołaj, a potem znów zwróciwszy się do pani solenizantki, kończył:

– Wszystkiego pomyślności. Synu!

Wojtuś zbliżył się nieruchomy, jakby nie żywy. Matka szturchnęła go w bok i rzekła pocichu: Ukłoń że się! Więc Wojtuś zgiął się wpół jak scyzoryk i rzekł wreszcie: dzień dobry.

– Dzień dobry panie Wojciechu! proszę, siadajcie proszę... siadajcie.

Zaledwo usiedli wszedł pan Bartłomiej Kropacki z synem i powitawszy gospodynię przedstawił jej syna: ~~jako abiturjenta~~

– Mój syn, Jakób.. ab.. abu...

– Abiturjent – przedstawił się sam Jakub.

Pani Kłapalska zwróciła się do Cegretki i zapytała go cicho: co to za godność takiego abiturjenta.

– To będzie coś... zdaje mi się... od kolei... objaśnił ją p. Mikołaj.

– Aha! a może wódeczki? poczęła X. gospodyni domu.

– Nigdy takiem wezwaniem nie odmawiam.

rzekł pan Bartłomiej i wychylił kieliszek.
Gdy reszta piła, wziął pana Bartłomieja na bok
pan Mokotaj i rzekł doń cicho: "Znasz pan
moją żonę? nie? a! to szkoda. Panie! co to
za kobieta! a gęba! to istny młyn! jeszczem
jej nigdy nie przegadał! A! co za kobieta!
Niech pan uważa!
Dalszych wynurzeń kochającego mężczyzny
umknął szczęśliwie pan Bartłomiej z powo-
du wezwania wszystkich do stołu.
Gdy już nieco podjedli i podpili, szturknęła
pani Barbara męża i szepnęła:
– Oświadcz że się teraz.
– Dobrze! kochanko, tylko mi nie prze-
rywaj. Ponoś szanowna solenizantko,
iż rzeknę coś, co nas bardzo obchodzi,
nas... to jest nie tylko mnie, ale i panią!
– Ja to rzeknę zwięźlej – poprawiła pani
Barbara – Wie pani...
– Żono! czy ty będziesz cicho, kiedy ja mówię
czy nie? (a potem cicho rzekł ~~do~~ pan Mokotaj
do p. Bartłomieja) Co to za ogień w tej kobiecie!
i znów zaczął głośno do gospodyni:

Znasz pani pociechę naszą, tego oto chłopaka...

— Który jest taki skromny, jak pani widzi... dodała p. Barbara.

— Jak jeszcze słowo piśniesz, to nie powiem nic! rzekł rozirytowany p. Mikołaj.

— No to mów! mów, o!

— Nie jest on wcale taki głupi, jak się wydaje, tylko trochę małomowny, ale to wada ludzi uczonych... skończył 3 klasy u Ś-tej Barbary... a mądrości wrodzonej odziedziczył po ojcu, t.j. po mnie... bo to —

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni, odezwała się żona przemawiającego nie mogąc wytrzymać cicho. Mąż rzucił na nią groźne spojrzenie i mówił dalej:

— Chłopak panie gospodarny, był jeszcze ot! tylim chłopakiem, a już trzymał gołębie na strychu...

— Tato! tato!... oderwał się Wojtuś, któremu wódeczka trochę usta rozwiązała — a pamięta tata te dwa kobzole, com je złapoł Dratewce?..

Matka szturchnęła go pod stołem.

– Nigdy nie kwapił się do pracy – ciągnął dalej pan Mikołaj. Jak skończył nauki, zaczął chodzić z preclami po rynku…
– Tato! tato! a jak ja to umiałem zachwalać:
„Precle świeże, solowe, makowe,
„Kawalerskie, wieczorowe!”
– Ale jak mu raz psy zjadły z kija precle, i jeszcze mu łydki pogryzły, tak przestał się tem trudnić i sprzedawał najpierw „marony” a potem chodził z szopką po domach…
– Tato! tato! i z gwiazdą!
– Przebierał się za Sgo Mikołaja, turonia, raz nawet był żołnierzem w teatrowie…
– Ale co tam o tem gadać – przerwała mu żona, – przecież go pani zna od kolébki.
– Pozwólże-ż kobieto skończyć!…
– A to miła rodzina – szepnął ojciec Jakób do ucha, a pan Bartłomiej kiwnął głową potwierdzająco.
– Wychowany bogobojnie – wyliczał dalej przymioty syna p. Cegiełka, zawsze

bębni na Boże ciało...

– Tato! tato! a pamięta tata, com to raz księdzu w zakrystyi wypił wino, a... tu przygryzł sobie nagle język Wojtuś szturchnięty przez Matkę ~~nagle~~, lecz nierozumiejąc przyczyny, która ją do tego ~~matkę~~ skłoniła, rzekł głośno:

– No! cóż mię mama szturka!

– Teraz nie trudni się niczem, bo tego nie potrzebuje, abowiem dostał po stryku dwa domy w Wieliczce, ogromne domy –

– Jak Sukiennice, – objaśniła ich wielkość przez plastyczne porównanie pani Barbara.

– Ale do gospodarstwa takiego, potrzebuje dobrej, gospodarnej żony –

– Słowem – dokończyła żona – prosimy o rękę córeczki dla Wojtusia.

– Wiem, że pan Wojciech jest poczciwy, podjęła p. Kłapalska wstając z godnością z za stołu, i dlatego nic przeciwko temu nie mam...

– A gdzież Annsia? spytała p. Barbara

– Słaba troszka, i dlatego nie może wyjść.

Ale to nic nie znaczy, ja to pozostawię!
– Podziękujże, szepnęła synowi p. Barbara.
– Panie Boże zapłać! rzekł obojętnie Wojtuś kłaniając się cylindrem, a Jakób pomyślał w duszy: śliczna ta Annusia, biedny Drabinka!
– No! poczekaj Wojtek! jak ci zagram na basach na weselu! rzekł zadowolony p. Mikołaj, który należał do kapeli pana Dunnowskiego przez zimę, bo zwykle w lecie trudnił się murarstwem. Na przyszłą niedzielę zrobimy zrękowiny i damy na zapowiedzi.
– Nam czas do domu – rzekł wstając p. Bartłomiej – jeszcze raz winszujemy – Pan z Bogiem, i oddalił się z synem.
– Panie Skoro! niech no pan co zaśpiewa na tę uroczystość, rzekł p. Mikołaj.
Pan Skoro który miał sławę przewrotnego wierszopisa na Kleparzu, wypił kieliszek pomyślał chwilę i zaśpiewał:

Pójdę ci w świat na wędrówkę,
I Kraków porzucę
Więcej nigdy już do niego
Może nie powrócę.

Pójdę sobie w świat daleki
Za lasy, za góry,
I już więcej nie powrócę
Do tej ~~x~~ nędznej dziury!
Żegnaj ciotko, żegnaj domie,
Już was ~~nigdy~~ może nie zobaczę,
Choć mi żal was, – nie powrócę –
Chociaż po was płaczę!

– Moje ty poczciwe chłopczysko! płacząc przytuliła siostrzeńca do siebie p. Kłapałka.
(Tu wstawić ustęp ze strony 46 od znaku F aż do takiegoż F znaku na str 48.)

~~[illegible]~~ F Zasmucony Drabinka wybiegłszy z mieszkania wuja – nie wiedząc dokąd lub poco biegnie – pędził ulicami medytując nad smutnym swym losem, gdy nagle w Grodzkiej ulicy przed Sztokmarem wpadł na kogoś wychodzącego z ulicy Szerokiej, tak gwałtownie, że obaj odskoczyli parę kroków w tył.

– Cóż do miljon djabłów!! A! to ty Drabinko? A bodajże piorun trzasł, jakeś mię uderzył! Dzień dobry! Jakże się masz.

– E! źle. – rzekł smutnie Drabinka odwijając

Wesołowskiego.
– Co ci brakuje? Ząb cię boli? mogę ci zaraz wyrwać – rzekł sięgając ręką do kieszeni. Otwórz gębę – no –
– Ale dajże mi pokój – będzie się na nas patrzał.
– To nic – wejdziemy do sieni – pójdź –
– Ale dajże mi pokój z zębem – nie boli mnie żaden.
– Może głowa? Napij się…
– Ale nie!
– No to cóż u djabła? A! może to z powodu twoich zamiarów matrymonialnych? Prawda! mówił mi Kubuś (zrobił dziś tęgą bibę a conto zdania matury) że dziś zaręczyny twojej panny;…
– Nie zaręczyny, ino oświadczyny… Jakby to przyszło miało do skutku, to albo temu Wajthe w górze łeb rozbiję, albo skoczę z Maryackiej wieży…
– Et, co się trapić!

Dosyć! po co te smutki!
Czas się nareszcie rozchmurzyć,
Poranek życia tak krótki,
Trzeba go użyć!

Chodź ze mną Drabinko, — pierwsze mię stać na to, żeby zalać robaka! Pójdź do Kozza.

W tylnym pokoju handlu Kozza zastali starego znajomego Krajałskiego medyka i obaj przyjaciele jęli pocieszać strapionego strażaka.

— Co tam twoje smutki! furda — rzekł Krajałski. My mamy większe! Powiadam ci, jakbyś kiedy chciał zostać korrepetytorem, to przyjdź do mnie, powiedz mi o tem, a ja sam, twój przyjaciel — tu szturknął się w kamizelkę Krajałski, który miał już nieco w czubie oblawszy maturę z Kubusiem — ja twój przyjaciel przywiążę ci kamień u szyi i zepchnę z mostu Podgórskiego do Wisły, żeby ci kłopotów oszczędzić.

Tu znowu palnął pięścią w stół dla dodania grozy swym uwagom, i napił się piwa.

— Masz racyą, rzekł Szymek — ja także mam dwóch bębnów do nauki

po 2 godziny dziennie! Niech djabli wezmą tę pedagogikę! Wolałbym kamienie tłuc przy drodze, niż pakować Tacitus lub grekę osłowi do głowy. Nie uczy się smarkacz, nie uważa w szkole, a potem kto winien? a ju-ści korepetytor. Pod koniec roku papy, mamy narzekają na korepetytora, że źle uczy! Żeby choć płacili regularnie? djabła, pierwszy dawno minął, a tu pensyi nie dają, a jeszcze nie raz zdarzy się, że rodzice wyjadą na wakacye zapomniawszy zapłacić! A tu jeść trzeba!

Wtem obok ozwały się huczne wiwaty a posłyszeli przytem imiona Jakóba i Bar-tłomieja.

— Oho! rzekł Szymek — to oni! i wyszedł do sklepu. Tam pan Bartłomiej pił z kilku fiakrami pełnemi „bombami", a Jakób przy kasie rozmawiał z jakąś pokojówecz-ką, która przyszła z karafką po piwo.

Zobaczywszy Wesołowskiego wychylił pan

Bartłomiej szybko swoją bombę, zaprawił ją i prze-
gnał się z fiakrami i zawołanemy Jakuba przy-
łączył się do Wesołowskiego i towarzyszy.
– Pandoróg! moje uszanowanie. Antoni!
pięć piw dużych! Jak się pan ma, panie
Wesołowski? ~~Ale prawda~~, co panowie ra-
dzicie Kubusiowi?
– W czem?
– No, co ma z sobą zrobić teraz?
– Nie ma jak medycyna! zawołał Krajewski.
– Hm! rzekł niezadowolony p. Bartłomiej.
Ja mówię, że głupstwo medycyna i prawo i
cała nauka. Ale nie ma jak być fiakrem!
Jest to najprzyjemniejszy zawód pod słońcem.
Uroków się przechowa, nie zmarnujesz, tylko
Do największego pani siedzi się panie tyłem!
zawsze jak pan sobie jeździsz. Ja tylko
Mateuszowi przestałem powozić, że już mi
ciężko, ale ty Jakubie, młody...
– Już ja to sobie rozważę. Ale mam
ojcu jeszcze coś powiedzieć –
– Antoni! pięć piw! zawołał p. Bar-
tłomiej widząc próżne szklanki.

– Tylko czterý – rzekł Drabinka – ja mam służbę na strażnicę we [illegible] – i pożegnał się z towarzystwem.

– Pamiętasz, com ci mówił o pedagogice, – krzyknął za nim jeszcze Krajałski... przyjdź do mnie w takim razie... a zresztą nic sobie nie rób ze świata i basta.

– Cóż to za interes masz mi powiedzieć? spytał syna p. Bartłomiej.

– Wieczór zaręczyny u Kłapalskiej; mówił ojciec że musimy pójść?

– A! pójdziemy.

– Mnie się także zdaje, że wypada iść.

– No, widzisz, nabrał rozumu, boś pierwej nie chciał iść.

– Ale koniecznie wypada, żebym poszedł. Tylko – musi mi ojciec na te wieczory [illegible] frak kupić.

– Hm! a czy to konieczne?...

– Jakże mnie, akademikowi iść bez fraka? mnie młodemu nie ujdzie, ojcu, to co innego.

– No, no, może i masz racyę. Ale więcej?
Mam myśl: ma tu jeden kelner od Re-
mana pyszny frak do sprzedania stary,
ale jeszcze cały...
– Otóż masz! pomyślał sobie Jakub, ale
niezrażony mówił dalej:
– E! to nie warto! jak stary, to się prędko
zniszczy, a nowy potrwa dłużej.
– Dobrze chłopcze, żeś oszczędny – zresztą
przyda ci się frak – mam myśl!
Jakub struchlał w obawie różnych
„myśli” jakich zawsze miał wiele p.
Bartłomiej.
– Uważasz synu, możesz się wynająć
tu we fraku ze świecą przy karawanie...
Dostaniesz za jeden spacer na cmentarz
guldena i świecę stearynową?
– Gwałtu! pomyślał Jakub – nie trzeba
się staremu sprzeciwiać, boby nie kupił.
Więc rzekł omijając odpowiedź:
– No to spieszmy się, na niedzielę musi
być gotów – pójdziemy do Filipkiewicza.

Pożegnali więc Szymka i Krajałskiego i wyszli. Gdy byli przed Kościołem, obejrzał się stary, i rzekł do syna.
– Wiesz co Jakubie, ten Szymek to bardzo chłopak! A jaki porządny?
– Prawda. Skądże to ojcu na myśl przyszło?
– Gdy rano dziś wyszedł od ciebie zgubił list – leżał na ziemi, nie wiedziałem co, no więc przeczytałem... Pisał do matki... zbeczałem się jak bóbr... potrzebuje pieniędzy na egzamin... jażci dam, a ty pożycz mu od siebie, bo odemnieby nie wziął... Jak zostanie doktorem, to mi odda...

Jakub pocałował ojca w rękę z wdzięcznością i dumny był, że miał takiego ojca, człowieka prostego... który cały majątek zarobił ciężką fizyczną pracą... i nie skąpił go, aby pomódz człowiekowi prawie obcemu i lepiej pojmował obowiązki swe względem współbliźnich, niż nie jeden wykształcony bogacz.

~~W następną niedzielę już od rana rozlegał się krzykiem dom pani Kłapalskiej. Co chwilę dostała burę kucharka, stróż, a nawet biedna Anusia, dla której niby wszystko to robiła.~~

Ten ustęp aż do znaku F nast. 48 — umieścić na str. 38.

F Nazajutrz odjeżdżał na wędrówkę pan Michał Skora. Przybył na perron z „tełajsem" na plecach, towarzyszyli mu stryj Maciej, ciotka i Wojtuś in gratiam przyszłego kuzynostwa niósł mu torbę.

— A bodaj już raz sobie pojechał — wyszeptał w duszy Wojtuś — już mię ręka od tej przeklętej torby boli.

— A nie zapomniałeś czego Michałku? troskliwie pytała p. Kłapalska.

— Jest wszystko: ser, wódka, łokieć kiełbasy...

Nikt nie przeczuwał, jak brzemienną w następstwa była ta długość kiełbasy!

— No moje dziecko, niech Cię pan Bóg prowadzi — błogosławiła go ciotka na drogę.

— A pamiętaj sobie, porządnie się sprawować, dawał mu nauki na drogę stryj Maciej, nie krzywdź majstra... nie rób fuszerek

nie upijaj się przedewszystkiem, bo to twoja wada.
– Ale Macieju! nie gadajcie chłopięciu o ta-
kich rzeczach!
– Chyba ałtopu, nie chłopięciu! Nie
rób „blaumontagów”, awantur...
– Toć to niewinne jak dziecko... pozgla
znów zaślepiona do swego krewniaka Tatapałka
– Ho! bo znam ja go lepiej od was!
– Einsteigen! zawołał kondruktor i popchnął
Michała ku wagonowi.
– Bądź zdrów Michałku! a pamiętaj o twojej
ciotce!
– No dość tych babskich narzekań! siadaj
Michał do wagonu i basta.
– Bądźcie zdrowi ciotko, stryjku i ty kro-
widerkie ciełątko...
Wsiadł wreszcie do wagonu Michał, a loko-
motywa gwizdnęła.
– Pamiętaj porządnie się sprawować – krzyk-
nął za nim jeszcze Maciej.
– Ale nie zatruwajcie dziecku ostatnich
chwil w Krakowie. Bliższe jego od mnie

a nie kochacie go tyle, co ja.
– Lepiej byście woleli, żebyście jego mniej ko-
chali, a córkę więcej. Nie lepiejby to było...
tu karać się Wojtusiowi naprzód – nie lepiej
byłoby było wydać ją za Drabinkę kiedy się
kochają? A nie zmuszać Annusię, kiedy
nie chce... E! zresztą róbcie, co wam się
podoba, wy mnie będziecie na sumieniu.
Pani Kłapalska nie odrzekła nic, tylko
zaczęła myśleć nad tem, czy przypadkiem nie
ma racyi Maciej? Ale zbliżył się Wojtuś,
i zapomniała wkrótce o słowach jego. F

W następną niedzielę już odrana rozlegał
się krzykiem dom pani Kłapalskiej. Co
chwilę dostali burę albo kucharka, albo
stróż, albo nawet biedna Annusia, dla
której rzekomo działo się to wszystko.
Gdybym był powieściopisarzem, to
miałbym piękną sposobność do opisania
całego stanu duszy panny Anny, opisać
jej rozpacz, ewentualny opór etc. –

— ale jestem tylko kronikarzem opisującym to na co się patrzyło i widziało. Co się wewnątrz człeka dzieje? trudno dojrzeć; a jak się to na zewnątrz objawia? świadczą najlicznięj se mnie nieszczęśliwe małżeństwa klasy średniej: zaślepienie matek lub ojców popycha dzieci niby dla ich szczęścia wbrew ich skłonnościom, wpojona z dzieciństwa uległość dzieci każe im spełnić wolę starszych i odbiera wszelką myśl oporu.

Tak było z Annią. Płacząc decydowała się spełnić wolę matki:

— No nie płacz, nie... będziesz kiedyś mi wdzięczna, żem cię wydała za Wojtka, no — nie płacz że, bo już idą.

Nadeszli już Cegiełkowie Maciej, kilku krewniaków, sąsiadów i zasiedli przy zastawionym stole.

— Bawcie się państwo jak możecie, nie długo nadejdzie muzyka, to sobie młodzi potańcują...

50

– Cóż ta Hanka taka smutna? rzekła cicho do męża Barbara.

– A djabeł tam zna babskie gusta! mruknął pan Mikołaj.

– A cóż ty gamoniu będziesz gadał na kobiety? źle ci to ze mną? co?

– Alboż nie do ciebie mówiłem niewiasto!

– Tato! Tato! a są basy? spytał Wojtuś.

– Są, są, będę ci grać.

– Przyjdzie tu i pan Kropacki, rzekła pani Kłapalska, razem z synem, co go to na akademika „wyzwolili". No! do nas Mamusko!

– Najlepszego! życzyła p. Barbara.

Pan Mikołaj zwrócił się tymczasem do p. Macieja Sokory i rzekł mu do ucha: Siadaj pan przy nas. Przy mojej żonie: zobaczy pan co to za kobieta!

Tu nadeszli panowie Kropaccy, Bartłomiej i Jakub. Powitawszy się zasiedli przy stole, a ojciec rzekł do Jakuba.

– A to rura z tego Wojtka pana młodszego ani się ukłoni!

- Muzyka! muzyka! zawołał Wojtuś!
Rzeczywiście zjawił się pan Dmuszewski ze swą kapelą i umieścili się pod piecem, aby zostawić jak najwięcej miejsca do tańców. Pan Segretka z swoimi basami stanął w szeregu.
- "Właśnie na dzisiejszą uroczystość skomponowałem uroczystego marsza pod tytułem „Koniec świata" rzekł pan Dmuszewski - Kapela! raz - dwa - trzy!
Ledwo parę taktów zagrali - otworzyły się drzwi, a w nich ujrzano - pana Michała Dzikorę, - który uprzejmie zwrócił się do muzyki i rzekł:
- Marsz powitalny? dziękuję panom, dziękuję!
- Michałek! coś ty tu robił?
- A ty skąd tu, ośle? zapytał stryjek Maciej.
- Michałku - gadajże - skądeś się tu wziął?
- No grajcie dalej muzykę, to wam rozpowiem jak to było.
I począł Kleparski poeta opowiadać swoją odyseję:

Gdyby był het daleko, gdzieś aż w Bieżanowie,
Zjadłem już kiełbasy, dobre po połowie.
Do następnej stacji - gdy więc dojechałem,
Nic a nic kiełbasy - przy sobie nie miałem.
Djablo byłem głodny, kazał więc rozsądek
Wyjść sobie z wagonu posilić żołądek.
Więc gdym sobie podjadł - chciałem jechać dalej,
Aż tu te bestyje - jużci odjechali:
„Felajsyjn" i kufry, wszystko djabli wzięli,
A że mnie się jeszcze, głupi ludzie śmieli.

- Pewnieś się hultaju upił - rzekł Maciej.
- A jakżeś się tu dostał?
- Ano... chodziłem tu i owdzie za robotą - nigdzie dostać nie mogłem. Wybrałem się więc z powrotem, ale na drodze spotkałem żandarma, pyta mię o papiery. Mówię mu, że razem z rzeczami pojechały, a on mi nie chciał wierzyć...
- I odszupasował cię do Krakowa?
- Odprowadził mię... z grzeczności tutaj: Ha! Już dziś dobrze trafiłem, bo widzę zabawimy się...

Muzyka! zagrajcie po mojego... znacie mój gust!
— Aha! rzekł jeden z muzykantów. To pana zeszłej niedzieli z pod Koguta wyrzucili?
— Gwałtu rety! Ciebie Michałku? krzyknęła przerażona ciotka.
— Ale co tam ciotka wierzy — on żartuje. Hej rektorze! zaczynaj! Muzyka zagrała i Michałek puścił się w pierwszej parze z jakąś młodą Kleparzanką, lecz nagle stanął — i poskoczył ku pani Kłapałkowej.
— Ciotko! zapomniałem wam powiedzieć... pytał mi się żandarm po drodze, czy nie mam kogo w Bronanowie, albo w Wieliczce; a ja mówię, ciotki Cegiełki z Krakowa, co tu ma dwa domy. Żandarm pyta się wszędzie, czy prawdę mówię, a tam mu mówią, że łżę, bo żaden Cegiełka ani nie mieszka, ani domu nie ma...
— Toście wy mnie tak okłamywali? wrzasnęła pani Kłapałkowa podchodząc ku osłupiałym Cegiełkom. To tak? podchodzi obywatelskie dziecko? co? hołysze?

Pani Barbara na ten raz zapomniała języka w gębie a pan Mikołaj ledwie wycedził —
— No to co? wielgo rzecz?.. to i tak mogą być szczęśliwi... abo to majątek...
— Aha? ta nie idzie o dom — rzekła p. Kłapałka, która wspomniawszy sobie teraz na częste uwagi starego Macieja i żal córki rada była zerwać z Cegretkami, do których jedynie ciągnął ją majątek, którego nawet — jak się teraz pokazało nie było. — Nic z tego! Nie potrzebuję oszustki, co się wkrada w cudze łaski —
— O! my się też z synem prosić nie będziemy, rzekła p. Barbara. Wojtuś! pódź! Mikołajku! zabieraj się! i wyszli wszyscy troje z furyą.
Stary Maciej wziął tę chwilę za stosowną do natarcia na panią Kłapałkę i rzekł:
— Nie róbcie sobie wstydu! wszyscy wiedzą że dziś zaręczyny, a potem pokaże się, że wam tylko szło o majątek... przyjmijcie Drabinkę, i córkę naszczęśliwicie, i

wy nie będziecie pewnie tego żałować...
- Ha! kiedy tak już wszyscy za tym Drabinką jesteście, to niechże tak dzieje się wola Boża!
Maciej wybiegł z domu i znalazł niedaleko Drabinkę kręcącego się koło domu swej ulubionej, którą miał za straconą dla siebie na zawsze.
- Pójdź Antosiu! pójdź, i pociągnął go do domu oszołomionego i nie wiedzącego czy iść, czy się opierać.
~~Lecz~~ Za chwilę był najszczęśliwszym na świecie... po godzinie był zaręczony z Anusią a w ~~te~~ cztery tygodnie jej mężem.

K. B.

Kraków 6/4 1882.

Kleparskie swaty.

Nowella.

Klemens Bąkowski

Bełkowski

Kleparskie swaty.

1.

Już dzwony u Sgo. Floryana wydzwoniły Anioł pański, kiedy pan Jan Drabinka, wachmistrz od straży pożarnej z towarzyszem swoim p. Linewką niecierpliwie przechadzał się po rynku Kleparskim niespokojnie zaglądając w okna zielonego dworku, nie daleko od kościoła sgo Floryana położonego. Wreszcie po dość długiej przechadzce ozwał się do p. Linewki.

– Już dosyć późno. Albo już wyszła, albo nie wyjdzie wcale – spróbuję szczęścia. Stójże tutaj, a jakby szła, to gwiżdżnij. To rzekłszy skierował się ku bramie owego dworku, do którego okien tak niecierpliwie zaglądał, lecz na samym progu zetknął się z p. Szymonem Wesołowskim, ex-kolegą szkolnym i dobrym przyjacielem i p. Jakubem Kropaczkim, z którymi go podobny łączył stosunek.

– Jak się masz Drabinko?!

– A! dobry wieczór!

– Cóż ty tu porabiasz w naszej parafii? zapytał Kubuś.

– Nic dziwnego – przecież śty. Floryan to patron strażaków.

— Ale cię przecież nie tylko cześć ku świętemu Flo-
~~rjanowi~~ patronowi przywiodła? Może masz jaki pilny
interes, to cię nie zatrzymuję?
— O! nie... nic pilnego... a wy dokąd?
— Ja co do mnie, rzekł p. Szymon, to się wypro-
wadzam; omnia mea mecum porto: kape-
lusz, laskę, parę książek pod pachą, to całe
moje ruchome mienie.
— A z nieruchomego majątku, ma tylko zega-
rek, bo nie idzie, dodał p. Jakób.
— Zkądże ci przyszło dziś się wyprowadzać?
przecież dziś nie pierwszy?
— Właśnie dlatego, że dziś nie pierwszy, lecz
po pierwszym, a każdy porządny lokator
według zdania mojej gospodyni, powinien
już dawno czynsz zapłacić, a skutkiem tego...
— Napędziła go z mieszkania — dokończył
p. Jakób.
— Tfu! do trzystu parowych sikawek! A masz
już mieszkanie?
— Jeszcze nie. Tak niespodzianie się to
stało...
— Możebyś poszedł z nami na strażnicę?
Możesz się pysznie tam przespać! Wprawdzie
p. Eminowicz nie pozwala obcych wprowa-
dzać, ale my cię z linewką przeszwarcu-
jemy. Ale wy się nie znacie?

Pan Linewka, wachmistrz od straży pożarnej — rzekł przedstawiając Drabinka, pan Wesołowski, pan Kropacki... No, pójdziesz z nami na strażnicę?
— Dziękuję ci, mój zacny Drabinko, ale pozwól mi jakoś przyrzekł gościnę u siebie.
— Ale słuchajno Szyneczko, rzekł Drabinka biorąc go na bok — jest ta ~~Kłapałska~~ Sikorzyna niby? jest.
— Czy ta schutnica w domu?
— O! do djabła! mi z mojej wizyty!
— Cóż to za wizyta, he? mówiłeś że nie masz żadnego interesu?
— Ot, bo widzisz... jąkał się Drabinka — to długa historya — no, ale nie ma co w bawełnę obwijać — krótko mówiąc, chciałem się żenić z panną Anną, ale matka jej patrzyła sobie coś do mnie (djabli wiedzą co) i nie chce. Zabroniła mi się pokazywać u siebie, i nigdybym nie mógł wyrzec ołtem ni, chyba w kościele, gdyby nie jej stryjek Maciej, co zawsze ze mną trzyma, i pozwala mi zajrzeć do nich, kiedy pani ~~Kłapał~~ Sikorowej ~~skiej~~ nie ma w domu...
— A cóż ona może mieć przeciw tobie? przecież to dla jej córki dobra partya!

rzekł Wesołowski.

— Wiem ja co się święci — urwał się p. Jakób, — mówił mi ojciec, że chcę ją wydać za jakie-goś tam legretkę z Krowodrzy, syna mularza, (teraz w zimie gra na basach, bo roboty nie ma) Łakomi ją majątek, bo właśnie ten le-gretka dostał jakąś wielką sukcesyą, dwa domy w Wieliczce. Jutro imieniny ~~[illegible]~~ Sikorowej ~~[illegible]~~ i przy tej okazyi mają się podobno formalnie oświadczyć o Anusię.

— Takie buty! mruknął p. Drabinka dodając jeszcze do tego kilka energicznych wyrażeń, niewspominając coś o znacznej ilości djabłów i piorunów, co tu robić!... co tu robić?... Muszę pomówić z moim wujem, żeby spróbował nieco sam swatać... sąsiad przecie i ojciec chrzestny Anusi, może co wskóra... Co im ta o tego legret-kę, kiedy i ja mam przecie grunt i cha-łupę po ojcu na Pędzichowie — a Anusia nie zechce legretki — o! nie zechce pewnie...

— Ba! Ale to z babą sprawa, i jaka! mruknął gniewnie Kubuś. To niedawno wszczynna, jak sobie z Szymkiem postąpiła!

— Mówże - jakto było?

— Właśnie było u mnie kilku kolegów — zaczął opowiadać Wesołowski — był Jakób, krajalski medyk, Kurowski filozof i jeszcze kilku; Krajalski opowiadał bardzo ciekawy wypadek, jak jeden cieśla na Floryańskiej ulicy spadł z dachu i musiano mu wyjąć parę żeber i nogę...

— O! O! i długo na to leżał w szpitalu? spytał Drabinka, którego ten wypadek zainteresował, że wygląda, że sam mógł się łatwo znaleść w położeniu owego cieśli.

— Tydzień, a w tem ~~Krajalska~~ Sikorowa...

— Jakto? tylko tydzień, i już wyzdrowiał?

— Ale nie - umarł. Ata wpada jakbomba do pokoju i pyta, czy jej zapłacę, czy nie? Powiadam, że teraz nie mam pieniędzy, bo mi za lekcyę jeszcze nie zapłacono, ale jak tylko odbiorę, zaraz jej zapłacę. Proszę ją grzecznie siadać, podaję jeden z dwóch stołków, na trzech nogach, które ~~mi~~ ona pod nazwą „mebli" wynajmuje, a ta krzyży podparłszy się pod boki: czy

6. jej zapytaną czy nie, a poczerwieniała przytem tak, że krajalski, bojąc się, aby apoplekcyi nie dostała, chciał jej koniecznie krew puścić.— Koniec końców, nazwawszy nas hołotą, kazała nam się wynieść przed nocą, aby już dziś wywiesić mogła kartę, że jest do wynajęcia mieszkanie kawalerskie z „meblami", tj. z owymi dwoma stołkami (jeden o 3 nogach) stolikiem i łóżkiem...

— Panie Drabinka — dziewiąta nie daleko, czas nam na strażnicę — przypominał obe-ziarki pan Sincewka.

— Pójdźmy więc — dawno pół dnia straciłem, i panny Anny nie widziałem...

— Nic sobie z tego nie rób, pocieszał go Frymek, a wkrótce ci będę drużbował!

— Oby tak było! Bądźcie więc zdrowi!

— Dobranoc — dobranoc.

Drabinka szedł z spuszczoną głową ku strażnicy rozmyślając nad środkami zaradczemi przeciwko planom pani ~~Szapalskiej~~ Sikorzynej. Po jego odejściu rzekł

Jakób do towarzysza.

— Wątpię, czy co będzie z marzeń Drabinki; Znam tę ~~Szczapałkę~~ Sikorową — a zresztą, w jej klasie sentymenty najmniejszą wagą na szali matrymonialnej. Idźże synku na górę, i bądź jak u siebie — ja wyjdę na przeciw ojca, bo mam z nim do pomówienia.

Zaledwie zniknął w domu Wesołowski, nadjechała od Floryańskiej bramy bryczka, za której kozłem kierował siwkiem pan Bartłomiej Kropacki, ojciec Kubusia. Strzelił z bata i stanął na miejscu.

— Hola! jak się masz chłopcze! ozwał się złażąc z kozła. Czekałeś na mnie? Pewnie ci pieniędzy potrzeba! Nic z tego, ciężkie czasy.

— Dobry wieczór tacie — nie, pieniędzy nie potrzebuję.

— Pierwszy to raz od ciebie słyszę. Pójdźże na kieliszek, bo mi nie dobrze w żołądku.

— Dziękuję, nie pijam wódki.

— Nie pije wódki! rzekł kiwając głową zgorszony ojciec. Na co to ludzie schodzą!

8. Prawdziwy Kleparzanin z ojca i matki!
A jakie wychowanie dałem temu chłopcu?
Powiedz mi Jakóbie, coby na to powiedziała
ta twoja nieboszczka matka (panie świeć
nad jej duszą!) gdyby z grobu powstała?!
Były to tak przykre dla ojcowskiego serca
pana Bartłomieja uwagi, iż wszedł na
chwilę do sąsiedniego szynku pod kogutem
wypił z telegraficzną szybkością kieliszek
i powrócił do Jakóba.
— No, chłopcze, pomóż mi konia odprzęgnąć
co? nie potrafisz? a dawniej, jak byłeś, ot,
jeszcze takim smarkatym chłopakiem,
to umiałeś! Oj! uczą was w szkole fizyki,
~~ch~~ elektryki, kaligrafiki, a jak przyjdzie
konie odprzęgnąć, to nie umie... owsa nie
umie odróżnić od sieczki, a sieczkę ma
w głowie! oj! te nauki!...
Jakób słuchał cierpliwie tych pesy-
mistycznych zapatrywań rodzica wypo-
wiedzianych w czasie odprzęgania siwka,
wiedząc, że takowe żadnych dla niego nie-
przyjemnych nie pociągną skutków; były
to wszystkie gderania kochającego go ojca,
który wyrzekał głośno na naukę syna,
ale po cichu wielbił go, jak mędrca,

i niespodziewanie tatę o niem objawił opo-
nią przed sąsiadami.
Pan Bartłomiej wprowadził do stajni siwka,
a dorożkę zostawiono jak zwykle przed domem,
aby uniknąć kłopotliwego w małym podwór-
cu nawracania i tuszyć sobie nie bez podstawy,
że sama dorożka bez konia w nocy nie odjé-
dzie, a za wielką jest, aby ją mimo czuwają-
cych stróżów nocnych uprowadzono.
Kiedy szli po schodach do mieszkania, ozwał
się Jakób:
— Powiem ojcu nowinę...
— I ja ci powiem nowinę, ale mów ty pierwej.
— ~~Szapalska~~ Piekrowa wypędziła Wesołowskiego z do-
mu, że jej do dziś dnia nie zapłacił czynszu.
— Zawsze mówiłem, że to baba siedem mil
za piekłą. Zaprosiłeś go do nas przecie?
— Tak jest — proszę ojca — wiedziałem że tata
nie przeczy temu nigdy nie będzie.
Weszli do mieszkania i zastali Wesołow-
skiego zatopionego już w książce.
— Dobry wieczór panu, panie doktorze,
rzekł p. Bartłomiej, który już na pierw-
szym roku medycyny kreował Wesołow-
skiego doktorem. To szelma baba — zaw-
sze mówiłem, ale furda, panie doktorze.
Tu panu będzie lepiej.

10. Wesołowski począł staremu dziękować,
lecz p. Bartłomiej nie dał mu dokończyć
i rzekł:
- Mówiłem ci, Jakubie, że ja mam dla cie-
bie nowinę. Postanowiłem zrobić to, o coś
mi dawno głowę suszył: od jutra przestaję
powozić sam i oddaję mojego siwka pod
komendę tęgiego parobka. Jużem go zgo-
dził, jutro o piątej z rana wstępuje w
służbę. Trafia mi się tu niedaleko tam
domek, może go nabędę i odpocznę sobie
po trzydziestu latach pracy. Jak to dobrze
mówi przysłowie - rzekł zapalając fajkę
p. Bartłomiej i poważnie kiwając głową -
kto za młodu jeździ, ten na starość chodzi
piechotą!
Pogawędzili jeszcze chwilę, poczem stary
odszedł do swego pokoju, a Jakób zajął
się przygotowaniem miejsca spoczynku
dla Szymka.

2.

Pogasły światła we wszystkich oknach,
zamknięto bramy domów, ciemność
i cisza ogarnęły Kleparz i czasami tylko
słychać było miarowe kroki patrolu
lub stąpanie stróżów nocnych. Czasami
tylko, gdy uchylono drzwi od jakiegoś
szynku, buchnął snop światła na

bruk i do ucha spóźnionego przechodnia doleciał głos kataryniki lub śpiewu.
Najgłośniej było w szynku pod Kogutem, niedaleko w sąsiedztwie domu pani ~~Szapatowskiej~~ Sikorowej i mieszkania pana Bartłomieja, a obecnie i Wesołowskiego. Muzyka grała kadryla imponując szczególniej basami i klarnetem.

Nagle urwała się muzyka... wszczęła się jakaś wrzawa, potem nagle wyleciał przez szybę od okna kufel, za nim noga od stołka — a wreszcie otwarły się z trzaskiem drzwi i nagle wyleciał z nich na trotoar pan Michał Sikora, a szybkość, z jaką dokonał tego manewru, kazała wnioskować, że nie była to jego własna chyżość, lecz nadana mu od świata zewnętrznego.

— Tfu! hołota! zawołał powróciwszy do równowagi i grożąc pięścią ku drzwiom szynku wyciągniętą. Łotry! ja im jeszcze pokażę! Poczekajcie! tu zatoczył się fatalnie pan Sikora i mruknął:
— Ale ciemno! brr! ani widać gościńca — ja im pokażę, co to Michał Sikora!

Tędy, czy nie tędy?.. jużci tędy, bo to prawie tu o dwa domy.. tędy.. tędy, mówił zataczając się p. Sikora i utknął na studni na środku rynku stojącej, a znalazłszy przypadkiem jej rękojeść, począł gwałtownie pompować wodę w silnem przekonaniu, że dzwoni do bramy.

— Otwieraj, do stu djabłów! Wojtek! Maciek! otwieraj!

— A tu kto tak wrzeszczy? ozwał się nagle stróż nocny nad uchem pana Sikory. Hej? a kto ty? co tu robisz po nocy?

— A toć dzwonię i dzwonię, a stróż bestya ani myśli otwierać!

— A wiesz ty bratku, że teraz za pijaństwo do kozy się bierze? hę? i wziął za kołnierz pana Sikorę — lecz nagle puścił go i krzyknął:

— To ty Michale! a bodajże! a gdzieżeś się ty tak zrobił?

— Aha! to wy stryku?.. ja.. ja.. jak się macie:..

— E! co tobie pijaku do tego, jak ja się mam! Masz szczęście że cię kto inny nie przycapił, boby zaraz powiódł pod „telegraf". Pójdź do domu, to cię od-

odprowadzę.
— Co ja mam chodzić!.. tu mój dom...
jak się ożenię... tu jestem pa.. panem...
Antosia szyk dziewczyna i basta!
— Pójdź zaraz, bo cię kropnę!.. (Michał.
— Nie pójdę! wrzasnął wyrywając się)
— Cicho!.. ktoś idzie... schowaj się
za studnię, bo jak to drugi stróż, albo
policjant to cię nie wykręcę od kozy!..
Zwidząc nadchodzącego drugiego stró-
ża nocnego usunął się spiesznie stryj
Michała, zostawiając p. Sikorę na łaskę
i niełaskę losu, który też macając na-
A. i Michał nie los
koło i nie mogąc trafić na powrót do
studni natrafił wreszcie na dorożkę
pana Bartłomieja i wlazł do niej w
tem błogiem przekonaniu, że trafił
nareszcie pod domową strzechę.
— A to pijaczyna! medytował obchodząc
dalej swój „rewir" pan Maciej Sikora
stryj zasypiającego w dorożce pana Mi-
chała. Na co to wyjdzie! i gwałtem
chce się z Cholewiówną żenić i buntuje
mi bratową przeciw Drabince, do któ-
rego ani się umył! To mi chłopak!..

Ale ta zaślepiona baba bardziej woli pijanicę Michała, niż porządną Anusię... co się tu upierać przy swojem?...

3.

Nazajutrz z rana w warsztacie pana Cholewy jeszcze koło dziewiątej brakowało przy robocie pana Michała Szkody, a pan Cholewa klął na czem świat stoi, spoglądając co chwila na zegarek.

— Jeszcze go nie ma! a tu robota czeka! pewnie się upił, rzecz jasna! I zwyczajnie przypuszczenia p. Cholewy nie były jak zwykle dalekie od prawdy. Ale to ostatni jego u mnie blaumontag! Niech sobie gdzieindziej szuka roboty! u mnie jej już nie dostanie!

Wśród tego monologu nadszedł pan Drabinka, znajomy nam już stróżak i powiedziawszy wujka usiadł na stołku obracając swój kask w rękach widocznie zakłopotany.

— Oho! już ja widzę o co ci idzie! rzekł pan Cholewa. Nie darmo tak rano przyszedłeś? Coś tam z twoją żoną, co? pewnie ci o to idzie?

— A bo widzi wujaszek, słyszałem, że

że matka chce gwałtem wydać Annusię za
jakiegoś legiętkę z Krowodrzy... możeby
wujek dlatego spróbował jeszcze za mną po-
mówić, bo to ostatni czas...
— Ha! spróbować mogę, ale to jak się ba-
ba uprze, to jej sam djabeł nie przeprze:
bo ona ma w tem za interes, że ci jej dać
nie chcę, to nie wiem... jużci masz prze-
cie jaki taki grosz, no, i chłopak prze-
cie nie od parady!.. Mogę zresztą zaraz
pójść do niej, bo to dziś jej imieniny...
grali jej rano dzień dobry z godzinę, pew-
nie z tego nie była kontenta, bo im coś prze-
cie dać trzeba, a baba skąpa! ho! ho!
Pan Cholewa ubrał się w czamarę i zapina-
jąc mówił dalej:..
— Może jej kto umyślnie przysłał mu-
zykusów, żeby jej wydusić co z kieszeni?
a niechta! No — spróbuję ja tych swatów!
Ledwie ostatnich słów domówił, aż tu o-
twarły się drzwi i w nich ukazała się pani
Katarzyna Sikorowa we własnej osobie,
wcale przyzwoitej zresztą objętości.
— Wszelki duch! pomyślał p. Cholewa, a
głośno rzekł:
— Pan domóg pani sąsiadce! proszę, proszę

16 bardzo — ot, krzesło — proszę. I pan Cholewa dla miłości siostrzeńca zwijał się koło pani Szkoryny, jak by sam był konkurentem, nie tylko Anusi, ale jej mamy.
— Właśnie wybierałem się do pani dobrodziejki z powinszowaniem, z tym oto poczciwym chłopakiem —
— Upadam do nóg pani dobrodziejki!! rzekł pokornie manifestując swą obecność pan Drabinka.
— Dziękuję, dziękuję ... panie Cholewa, ale ja tu przyjechałam w ważnym interesie do pana.
— A! służę, służę pani! Jasiu! rzekł do Drabinki — nie przeszkadzaj nam.
— Padam do nóg pani dobrodziejki — żegnam wujaszka! wyszedł i niespokojnie czekał przed domem na wynik tego interesu, którego w żaden sposób domyśleć się nie mógł.
Po jego wyjściu rozpoczęła pani Szkoryna ab ovo:
— Nie trzeba panu mówić, że kiedy dojdzie córka do lat tych co moja Anusia, lub panienka Antosia, to czas już o niej pomyśleć żeby poszła na swój chleb, żeby..

— O czas! czas! przyświadczył pan Cholewa, uważając to przemówienie za wodę na młyn Drabinki. Zwłaszcza — ciągnął dalej — jeżeli się trafia człowiek godny, porządny, mający utrzymanie...
— Właśnie, właśnie! potakiwała pani Skorzyna z zadowoleniem pana Cholewy. Otóż pewien młody, przystojny porządny człowiek, poznawszy córkę pańską (tu powstał nagle pan Cholewa) pragnąłby wejść z nią w święte śluby małżeńskie i prosi przez moje usta o jej rękę...
— I któż to jest ten młody, przystojny człowiek? zapytał wyniośle zaniepokojony pan Cholewa.
— Zna go pan bardzo dobrze — mój syn, pan Michał Skora.
— Co! co? co? ten pijak zięciem moim?!..
— Bardzo proszę! to mój syn!
— Czy pani zfikszowała z takiemi swatami, czy co? Słucham panie: młody przystojny człowiek, kto? ten pijak?! tfu do licha! hołota! nicpoń!...
— Co za hołota? cóż to sobie zaraz myśli?! Niech pan sobie ~~mojej~~ moim synem gęby nie wyciera!

A cóż sobie mam wymawiać to trzysta!..
Cóż to? nie z porządnej familii, co?
ojciec jego nie był majstrem, a brat eks=
presem? a siostra stryjka dominikanka
nie uczyła się w seminarzu? Nie chce go
pan za zięcia, to ja nie chcę Drabinki;
niech mi się do córki nie zaleca, bo nic
z tego nie będzie, wydam ją za innego, jesz=
cze stokroć lepszego! Patrzcie go! jaki=
mi: i trzasnąwszy drzwiami wyszła.
— A do miliona stu par butów i kama=
szek z cholewami! jaki mi zięć! A bodaj=
cię z takiemi swatami!
Wtem wpadł niecierpliwy Drabinka do=
wiedzieć się, co zaszło. Ale przez kwadrans
musiał wysłuchać niezliczonych sum
djabłów, biesów i wymysłów na całą
rodzinę Skorów F, aż wreszcie dowiedzia=
szy się o rezultacie dyskusyi między
panią Katarzyną, a wujem, wypadł
z rozpaczą Drabinka i jak szalony po=
biegł w miasto.
Kiedy pani Cholewina wróciła z
targu do domu i małżonek opo=
wiadał jej w alkowie o swatach są=
siadki, zjawił się tymczasem w warsztacie

F w tak wielkich cyfrach, jakich chyba tylko astronomowie używają

pan Michał Skora, dobrze jeszcze rozmarzony.
Nie przywitał się z nikim, lecz stanął na
środku, oglądnął się po warsztacie i wre-
szcie zawołał:
— Chłopak, czy dałeś ptaszkowi jeść?
— Dałem obu: gilowi i czyżowi.
Tu poskoczył pan Skora ku chłopakowi,
wziął go za ucho i krzyknął:
— Chłopak! jak mi jeszcze raz powiesz:
czyżowi, to dostaniesz prosto w gębę! Rozu-
miesz? hę? kanarkowi! rozumiesz?
kanarkowi!
— Rozumiem! rzekł płaczliwie chłopak,
dałem jeść kanarkowi!
— No tak. Czyż, to szewski kanarek.
Tu dobył czerwoną w regiełki chustkę do no-
sa, dobrze już potarganą, utarł ~~z~~ nią
z łoskotem nosa, a potem pokazując ją
chłopakowi, rzekł:
— Chłopak! mam takich chustek sześć!
i z dumą schował ją do kieszeni.
— Gdzież to pan bywał od wczoraj? zapy-
tał Skorę drugi czeladnik.
— Żebyś pan wiedział, co mi się wczoraj
trafiło, tobyś pan otwarł gębę od ucha do
ucha, jak ptaszek, kiedy pożywienia dostanie.

20 rzekł p. Mrśliat siadając na rydlu.
— No cóż? pewnie pan nocował w ciemni"
— No, tobym znów nie tak szczególnego nie było. Ale słuchaj pan.
Tańcrybimy pod Kogutem — pewien lokaj, od hrabiego ze Szlaku angażował kontrydansa "wcale po pańsku (znać, że bywa w pańskich towarzystwach): Panie anawant! passe gżarego! naprzód kupą.' Tu wstał pan Śkorra i pokazywał figury kontredansa, a w tem wlazł mi ktoś na odcisk! Ja go chlap w gębę. A wszyscy na mnie!.. No myślę sobie, nie ma tu co więcej robić z grubianami, i pozrettem spać do domu.
— Ej! co pan bajesz! przecież pana w domu nie było!
— Ale kiedy mówię, że tak, to tak. kiep pan jesteś, jeżeli nie prawda. Jak długo spałem? nie wiem. W tem budzi mię jakiś turkot — otwieram oczy — patrzę — siedzę w fiakrze! i jadę bez cały Kleparz, jakby jaki hrabia. Zdziwiony w pierwszej chwili, krzyknąłem: gwałtu! a fiakier, ordynarny człowiek, staje,

wyciąga mię z budki i nuż batem okładać!
Tu parsknęli wszyscy śmiechem biorąc się za boki.
— No i czegóż wy się śmiejecie? czy to nie cudowna przygoda?
— Ha! ha! ha! Toś pan zamiast do domu, wlazł do fiakra, co go tu na noc przed domem zostawiają! ha! ha!
— Ale co mi tam pan gada! spałem wygodnie, miękko — jakeś więc w łóżku...
— W tem wszedł do warsztatu pan Cholewa, a zobaczywszy p. Skorę, oniemiał z początku chwilę z gniewu i tylko wyciągniętą ręką wskazywał na drzwi.
— Dzień dobry panu, panie Cholewa! rzekł spokojnie pan Skora.
Wtedy dopiero odzyskał mowę p. Cholewa i wykrztusił z siebie:
— Precz! Wynoś mi się pan stąd!.. nie masz pan u mnie roboty!..
— Ale panie majster, zastanów się pan...
— Precz! hołoto! pijaku! ledwo w sobotę wczoraj pieniądze, to je przez niedzielę przepije!
— Bardzo proszę! mam jeszcze dwa centy!
— Precz! do stu djabłów! Taki mi składy,

przystojny porządny człowiek! ha!
Tu poczęli chłopaki wielką okazywać radość
z powodu upadku ich [illegible] władcy pościg
głównego i upokorzenia p. Skóry, który
nic się nie raz dał we znaki pociągłem.
— Bo może panu nie wiadomo — zaczął
pan Skóra — że ja chcę się żenić...
— fort! fort! bo jak się pan zaraz nie wy-
wyniesiesz, to wylecisz oknem!
— Panie!... panie!... bo panu co powiem!...
— Ja ci tu!... krzyknął chwytając za pocis-
pał ostateczności tylko widział kapelusz
na bakier i niektóry groźnie:
— kiedy tak... to dobrze! wyszedł.
— A to skaranie Boże! mruczał długo
jeszcze potem p. Cholewa. Ferałny
dzień! i to przy poniedziałku taki zaraz
początek. Cały tydzień będzie nieszczęśliwy!
to mi swaty! niech go!...

4.

Tymczasem w sąsiedztwie płakała w swo-
im pokoiku panna Anna, lecz i tam
nie mogła się ukryć przed troskliwą matką
która przez drzwi ciągle do niej gadała,
od czasu do czasu krzycząc ważniejsze

fasy przez dziurkę od klucza:
— Wybij sobie z głowy tego strażaka! co ci tam po nim! Taki jeden chłop dobry jak drugi, a im głupszy, tem lepszy... a strażak może jeszcze gdzie kark skręcić abo, upiec się w ogniu i nogi połamać... Dziś przy inwentarzach mają się legutkowie oświadczyć, pamiętaj, żebyś mi ceregieli nie robiła...
— Ale ten Wojtek jest brzydki, a taki głupi, piszy strach...
— To właśnie najlepiej. Mój ś.p. mąż, (panie świeć nad jego duszą!) był głupi jak stołowe nogi, a dobrze mi z nim było; robiłam, com chciała. Przecię ja twojego szczęścia pragnę, Anusin! Toć nigdy lepszego męża od Wojtka nie znajdziesz, choćbyś z latarką szukała. No! wyleźże, bo już ich słyszę po schodach! A! to Michałek!
— Jak się masz Michałku, na nic moje starania, Cholera nie chce ci dać córki!
— A toli wiem. powiedział mi, żebym się wyniósł do djabła, że mnie bez okno wyrzuci, jak nie pójdę do djabła, i że...

211.

— A niech go pokręci! jaki szewc dumny! Więc cię wypędził?
— A no, tak niby...
— Et! to ci jeszcze na dobre wyjdzie, Mikołajku. Wiesz co?.. możebyś spróbował iść na wędrówkę? Dawniej każdy czeladnik musiał być na „wandrze”; a teraz wyszło to z mody. Zawszeby dobre było, gdybyś się przetarł w świecie. Możesz zacząć sobie od Bochni... Tarnowa.
— Hm! Ale toby trza co na drogę?..
— Już ja cię oporządzę!
— Trza kupić „fełaj”...
— To ci kupię. Nie jeden Cholewa szewc na świecie — obejdziesz się przez niego. No, ale teraz cicho mi bądź z tą historyą o Cholewównie, bo idą Cyrętkowie.
Zaraz nie omyliła się p. Katarzyna. Dał się słyszeć po schodach głośne stukanie butami, a co chwila wołanie:
— Mikołajku! Mikołajku! i wreszcie otwarły się drzwi, a w nich zjawiła się ogromna i czerwona niewiasta, która też na przywitanie wrzasła na progu:
— Mikołajku! Dzień dobry kumo! Mikołajku! a gdzież!

 75

Wszedł więc Mikołajek, siwy jak śnieg
lecz barczysty i krzepki mężczyzna
w długiej po kostki kapocie, w konfe-
deratce z lakierowanym daszkiem i chustką
kilka razy naokoło szyi okręconą, zaś
zaś cienki i wysoki Wojtuś w jasnych dobrze
krótkich pantalonach, a fizyognomia jego
zgadzała się w zupełności z krótką lecz do-
bitną charakteryzacyą zrobioną przez
Anusię.

— Winszuję kumie wszystkiego dobrego
rzekła pani Barbara Legretkowa cału-
jąc panią Skorową po każdym wyra-
zie... jak się masz Michałku?

— Winszuję zdrowia — rzekł pan Miko-
łaj — całując p. Katarzynę z łoskotem w rękę — do siego
roku...

— Fortuny, pociechy z dzieci — kończyła
pani Barbara.

— A szczęścia przedewszystkiem dokończył
p. Mikołaj.

Podczas tej sceny stał Wojtuś na środ-
ku pokoju mnąc w rękach kapelusz
i poglądając na około z pewnym zdu-
mieniem czy przerażeniem i ~~[illegible]~~
nie wiedząc, co zrobić z swoją osobą.

Więc szturknęła go miotką w bok i szepnęła mu pocichu: Ukłońże się!
Wojtuś zgiął się jak scyzoryk i zdobył się z pociechą rodziców na wyrzeczenie:
— Dzień dobry pani.
— Jak się pan ma panie Wojciechu!
siadajcie państwo proszę... siadajcie!
Ledwo usiedli, usiadł także i pan Bartłomiej z Jakóbem, którego zmusił do tej wizyty kategorycznym rozkazem, że: wypada lokatorowi winszować gospodarzowi, czy gospodyni, choćby taką była, jak pani Skorowa.
Powitawszy ją więc i złożywszy krótkie życzenia przedstawił syna.
— Mój syn ab... abu...
— Abiturjent, dokończył skłaniając się Jakób.
Wszystko skłonili się wszyscy z uszanowaniem przed tą godnością, której nie znając zapytał p. Mokotaj pocichu Mochatła:
— Co to jest ten awanturejjent?
— To będzie coś... zdaje mi się... od kolei, wyjaśnił zagadnięty.
— Zaćmieszy przecie od wódeczki? rozpoczęła pani Katarzyna. —

— Nigdy takiemu wezwaniu nie odmawiam, rzekł p. Mrkotaj wychylając kieliszek. Daj Boże szczęście!
Gdy reszta piła wziął p. Mrkotaj na bok pana Bartłomieja i rzekł doń cicho:
— Znasz pan moją żonę? Nie? poznasz ją pan — poznasz: (tu ścisnął go serdecznie za rękę) Co to za kobieta panie! to ogień! A co za wymowa! Niech pan tylko uważa.
Dalszych wynurzeń kochającego małżonka uniknął p. Krasoacki i poprosił wszystkich do stołu.
— A gdzież panna Anna? zapytała pani Barbara —
— Słaba dziś nieco — leży w swoim pokoiku... ale to nic, to przejdzie prędko.
No! nie róbcie państwo ceremonii!
Gdy już nieco podjedli i podpili, sztuknęła pani Barbara męża i szepnęła:
— No! zacznijże oświadczyny!
— Dobrze kochanko, tylko mi nie przerywaj, — rzekł p. Mrk. i rozpoczął powstając:
— Pozwól szanowna solenizantko, że rzeknę coś, co nas bardzo wszystkich obchodzi... obchodzi bardzo, hm! to jest

 nas, i panią solenizantkę.
— Ja to zwięźlej powiem, zerwała się niecierpliwie pani Barbara. Nie pani...
— Żono... proszę cię... nie przerywaj mi! rzekł groźnie p. Mokotaj, a schyliwszy się do obok siedzącego p. Bartłomieja szepnął mu: Uważa pan, co za ogień w tej kobiecie? a potem ciągnął dalej przemówienie:
— Znasz pani pociechę naszą, tego oto chłopaka —
— Który jest taki skromny, jak pani widzi — dodała pani Barbara
— Jak jeszcze słowo piśniesz, to nic nie powiem! krzyknął zirytowany mąż.
— No to mów, mów, o!
— Nie jest on wcale taki głupi, jak się wydaje, odziedziczył on owszem po ojcu mądrość, a skromność po matce!
Tu Jakób począł się gwałtownie śmiać w chustkę od nosa, a p. Bartłomiej poczerwieniał nadzwyczajnie, hamując całą siłą parsknięcie.
— Skończył Wojtuś trzy klasy u Jej Barbary — prowadził mówca swoją dalej p. Mokotaj, potem odebraliśmy go, bo nam to wystarczyć powinno, skoro ja ani

jednej nie skończyłem i obchodzę się bez tego. Ale nie siedział Jasio w domu, bo chłopak panie gospodarny trzymał gołębie na strychu...

— Tato! tato! oderwał się Wojtuś któremu wódeczka i wspomnienia młodości rozwiązały usta, a pamięta tata te dwa „kobzole", com je złapał organiście od św. Floryana?.. zamilkł.

Matka szturknęła go pod stołem, więc

— Nigdy się nie brał do pracy — perorował niezmieszany ojciec — Jak skończył szkoły, chodził z preclami po rynku...

— Tato! tato! a jak jako urwisem zachwalał:

„Precle świeże solowe, makowe,
„Kawalerskie wieczorowe.

— Ale jak mu raz psy zjadły z kija precle i jeszcze mu łydki pogryzły, tak przestał się tem trudnić i sprzedawał najprzód marony, potem chodził z szopką po domach...

— I z gwiazdą, tato!

— Przebierał się za świętego Mikołaja,

trwonią, raz nawet był żołnierzem w teatrowie jak grali Kościuszkę
— Ale co tam o tem wszystkiem gadać! przerwała żona — przecież go pani Łyskorowa zna od kolebki!
— Powoźże mi żono skończył!!
— A to miła rodzina! szepnął Jakób do ojca, który mu potakująco skinął głową.
— Wychowany bogobojnie — wyliczał dalej przymiloty jedynaka p. Mikołaj, zawsze bębni na Boże ciało…
— Tato! tato! a pamięta tata, jakem raz księdzu w zakrystyi wypił wino? a tu przyciął sobie nagle język Wojtuś szturknięty przez matkę, lecz nie pojmując przyczyny, która ją do tego skłoniła, rzekł głośno:
— No! cóż mnie mama szturka!
— Teraz nie trudni się niczem — kończył p. Mikołaj, bo tego nie potrzebuje, albowiem dostał po stryjku dwa domy w Wrzeszcze, ogromne domy —
— Jak Sukiennice, objaśniła ich

 78

wietkości finer plastyczne porównanie pani Barbara.
— Ale do gospodarstwa takiego potrzeba mu dobrej, gospodarnej żony...
— Mówcie — dokończył żona — prosimy o rękę córeczki dla Wojtusia!
Pani Katarzyna wstała z godnością i rzekła:
— Wiem, że pan Wojciech jest poczciwy i nie mam nic przeciw temu, błogosławię z całego serca.
— Podziękujże! szepnęła p. Barbara do syna, który wybełkotał obojętnie:
— Bóg zapłać!
— Poczekaj Wojtek! rzekł zadowolony z dobrego targu ojciec. Jak ci zagram na basach na weselu, to ci dusza z radości wyskoczy! Pan Mikołaj bowiem porzucił mularkę i został członkiem kapeli grającej na wszystkich chrzcinach, zaręczynach i weselach kleparskich.
— Na przyszłą niedzielę zrobimy uroczystę zaręczyny i damy na zapowiedzi.
— Daj Panie Boże! dodała pani Barbara.

5.

Nazajutrz odjeżdżał na wędrówkę pan Michał Sokora. Przybył na peron z „fetaj-sem" na plecach, towarzyszyli mu stryj Maciej, ciotka, a Wojtuś in gratiam przyszłego powinowactwa niósł mu torbę. Anusia naprawdę potoczyła się do łóżka...

– A bodaj sobie już raz pojechał – myślał Wojtuś, już mnie ręka boli od tej torby!

– A nie zapomniałeś też sobie czego Michałku?

– Jest wszystko: ser, torba wódka, toście kiełbasy...

N. Mł. nie przeczuwał jak brzemienną w następstwa była ta długość kiełbasy!

– No, moje dziecko! niech p. Bóg prowadzi!

– A pamiętaj sobie porządnie się sprawować, dawał mu ojcowskie uwagi na drogę stryj Maciej: nie krzywdź majstra, nie rób fuszerek, a nie upijaj się, bo to twoja wada.

– Ale Macieju, nie gadajcież o tem Antosiowi!

– Chyba Antosiu, bo przecież ma was pod nosem! nie rób blamantagów, awantur...

– Toć to niewinny Antosiak jak dziecko, rzekła oburzona zaślepiona matka.

— Ho, ho! znam ja go lepiej od bratowej!
— Einsteigen! zawołał w tej chwili kon-duktor i popchnął Michała ku wagonom.
— Bądź zdrów Michałku! a pamiętaj o swoich.
— No dość tych babskich narzekań, cóż to? na końce świata jedzie czy co? Siadaj Mi-chał do wagonu i basta!
Wnet zatrzasnęły się drzwiczki wagonu za Michałem, lokomotywa świsnęła i uniosła go... może na długo...
— Ej bratowo, mówił Maciej wracając z kolei — zanadto kochacie Michała, a za-mało Anusi. Co to się było uprzeć o Cholewiównę, — to swoją drogą, a to swoją; było dać córkę Drabince, kiedy się ko-chają... ale co mi tam... to ta będzie już na waszem sumieniu!..
Pani Katarzyna nic nie odrzekła, przy-znając może słuszność szwagrowi... ale już się stało... Segretkom słowo dane!
Drabinka był w rozpaczy. Zamyślony bezwiednie spełniał obowiązki lub wolny od nich chwilowo błądził bez myśli po mieście. Właśnie szedł, a raczej biegł przez ulicę Grodzką, gdy nagle przed Sztokmarem

wpadł na kogoś wychodzącego z szerokiej ulicy.

– Coż do nie boga djabłów!.. A to ty Drabinko? A bodajcie, jakoś mię uderzył! Dzień dobry – jak się masz?

– A! źle! rzekł witając się z Wesołowskim Drabinka.

– Coż ci brakuje? Ząb cię boli? mogę ci zaraz wyrwać – rzekł sięgając do kieszeni. Otwórz gębę – no!

– Ale dajże pokój! ludzie się na nas patrzą!

– To nic – wejdziemy do sieni! pójdź.

– Ale dajże mi pokój z zębem! nie boli mię żaden.

– Może głowa, napij się..

– Ale nie!

– No to cóż do djabła! A! może to z powodu trzech żandarów matrymonialnych! zapomniałem o tem! Mówił mi Kubuś... (zrobił dziś łzy ~~...~~ z powodu zdania ~~p~~ matury)

– Eh! jakbym ja dorwał teraz tego Wojtka!... Jakby to miało przyjść do skutku... to skoczę z Maryackiej wieży!

– Głupstwo! Pojdź ze mną zalać robaka

ka, stać mię jeszcze na to! pójdź do Kosza.

W tylnym pokoju handlu Kosza zastali starego znajomego Krajalskiego medyka, i obaj przyjaciele jęli pocieszać strapionego strażaka.

— Fujda twoje smutki! Powiadam ci, zostań korepetytorem, to dopiero zobaczysz! Jakbyś to kiedy chciał zrobić, to powiedz mi o tem, a ja, ja, twój przyjaciel — (tu szturknął się Krajalski w kamizelkę, który miał już mocno w czubie, oblawszy maturę z Kubusiem) przyrzekę ci kamień do szyi i zepchnę z mostu Podgórskiego do Wisły.

Tu palnął pięścią w stół dla dodania większej grozy swym uwagom i napił się piwa.

— Masz racyę, najzupełniejszą, potwierdził Wesołowski korepetujący od niepamiętnych czasów.

W tem obok dały się słyszeć hucznie wiwaty i poznali po głosie Jakuba i jego rodzica p. Bartłomieja Kropackiego.

Oho! to oni! rzekł Szymek i zajrzał do sklepu. Tam p. Bartłomiej pił z kilkoma fiakrami pełnemi bombami, a Jakób przy kasie rozmawiał z jakąś pokojóweczką, która przyszła z karafką po piwo.

P. Bartłomiej wychylił szybko swoją bombę, skoro zobaczył Wesołowskiego, pożegnał towarzyszy i przywoławszy Jakóba przyłączył się do Wesołowskiego i towarzyszy.

— Panudoniąg! moje uszanowanie! Antosiu! pięć ciwiych! Jak się panowie macie? Co radziąc Kubusiowi?

— W czem?

— No, czem ma zostać? doktorem? księdzem? (czy fiakrem?

— Nie ma, jak medycyna! krzyknął Krajalski!

— Hm! mruknął niezadowolony p. Bartłomiej. Ja mówię, że jemu na nic medycyna i cała reszta nauka. Ale nie masz zawodu pięknniejszego, jak być fiakrem! Krokiem się człowiek z ochotą nie ruszy! Do największego pana siedzi się tyłem!

Ja tylko dlatego przestałem powozić, bo
mi już ciężko, ale ty Jakóbie, młody...
Pan Bartłomiej wyraził jeszcze wiele innych zdrowych zapatrywań w tym kierunku, aż wreszcie nieznajdując poparcia swego zdania spojrzał na zegarek, i uznał za stosowne powrócić do domu. Zapłaciwszy więc olbrzymi rachunek, pożegnał towarzystwo i wyszedł z Jakóbem.
— Słuchajno mój chłopcze: w niedzielę zaręczyny u Fikorowej, prosiła nas więc, odmówić nie wypada - rozumiesz?
Jakób nie miał wcale ochoty patrzeć na zgubną dla Drobnicki uroczystość, ale mając zamiar użyć świeżo zdobytej wolności akademickiej, do której, jak sądził niezbędną rzeczą dla niego było sprawienie sobie fraka na najbliższy bal akademicki - postanowił wyzyskać sytuacyę i rzekł:
— Hm! zapewne że trzeba iść... ale musi mi ojciec kupić frak...
— Hm! a czy to koniecznie?
— Ale koniecznie, mnie młodemu takiej uroczystości lekceważyć nie wypada! Ojciec może się obejść jako starszy...

– No, no, może masz i racyę. Ale wiesz co? Mam myśl: ma tu jeden kolega od Romana pyszny frak do sprzedania. Stary, ale jeszcze cały.
– Otóż masz! pomyślał Jakób, ale niezrażony prowadził dyplomatycznie rzecz dalej:
– E! to nie warto! Jak stary, to się prędko zniszczy, a nowy potrwa dłużej...
– Dobrze chłopcze, żeś oszczędny, zresztą przyda ci się i frak: mam myśl!
Jakób struchlał w obawie nowej „myśli" jakich zawsze miał wiele ojciec
– Uważasz synu – wyjaśnił tę myśl p. Bartłomiej – możesz się wynajmować we fraku ze świecą przy karawanie na pogrzebie – Dostaniesz za jeden spacer na cmentarz guldena i świecę staronową, która też coś warta?
– Gwałtu! pomyślał Jakób, lecz nie chcąc zwlekać sprawy pociągnął tylko pod rękę ojca do Filipkiewicza, gdzie natychmiast zgodzono, zmierzono i na niedzielę rano zamówiono frak na uroczyste zaręczyny. –

6.

W następną niedzielę już od rana rozbrzmiewał krzykiem dom pani Skorowej. Kucharka już dwa razy dostała warzechą, stróż już pięć razy był w mieście po różne przyprawy do [illegible] cytrynowej. Pani Skorowa zaś wodziła w kuchni zaledwie znajdując chwilę czasu do pogadania z Anusią, którego treścią było jej poświęcenie dla córki, niewdzięczność dziecka ku najlepszej matce i t. p. Insynuacye te znosiła w milczeniu Anusia szyjąc z płaczem sukienkę różową i kłując się igłą co chwilę, bo łzy zasłaniały jej oczy.

Gdybym był powieściopisarzem, to miałbym piękną sposobność do opisania stanu jej duszy, rozpacz bez granic, zamierzony opór lub poddanie się... lecz jestem tylko kronikarzem opisującym to na co się patrzyło i tylko to co się własnymi oczami widziało, a co się wewnątrz człeka dzieje? trudno dojrzeć, a jak się na zewnątrz objawia? świadczą same skutki...

Dodam więc tylko spostrzeżenie statystyczne, że najpospolitsze nieszczęśliwe i zupełnie niezgodne małżeństwa trafiają się w klasie średniej, który zapo-

wiadanie nasze dotyczy: zaślepienie ma-
tek lub ojców, popycha dzieci niby dla ich
szczęścia wbrew ich skłonnościom, a wpo-
jona od dzieciństwa uległość dzieci każe
im spełnić wolę rodziców i odbiera wszel-
ką myśl oporu.

Tak było z Anusią: płacząc decydowała
się spełnić wolę matki.

— No, nie płacz, nie, będziesz mi kiedyś
wdzięczna, no, no, moje dziecko kocha-
ne cicho, sza, bo już idą.

— Nadeszli już Łęgretkowie, kilku kumo-
trów i sąsiadów a Maciej i p. Katarzyna
przyjmowali ich gościnnie bawiąc na
początek rozmową.

Wojtuś na tę uroczystość przybył we
fraku granatowym z złotemi guzika-
mi kupionym od „hrabskiego fornala"
z cylindrem z lokajską rozetą.

Anusia milcząc siedziała w kąciku przy
stryju Macieja.

— Co ta Hanka taka smutna? szepnęła
cicho do niej pani Łęgretkowa.

— A! djabeł tam zna babskie gusta!
mruknął p. Mokotaj.

— A cóż ty gościom będziesz gadał na

kobiéty? Źle ci to ze mną, co?
— Ależ nie do ciebie mówiłem niewiasto!
— Tato! tato! a są basy? zapytał Wojtuś.
— Są, są! Będę grać, jak obiecałem.
— Przyjechała i pani Kropaczki z synem, co go to na akademika wyzwolili — rzekła pani Sikorowa. No! do was kumotre!
— Najlepszego! najlepszego! rzekł zapłakująca p. Cegretka. Niemi obeszła koleś naderzli paniowie Kropaczy, powitali się w koło, a p. Bartłomiej rzekł do syna:
— A to rura ten pan młody, ani się nie ukłoni!
— Muzyka! muzyka idzie! zawołał Wojtuś!
Z powszechnem zadowoleniem powitano kapelę, a pan Jakób z zdziwieniem ujrzał na jéj czele pana Dmuszewskiego, byłego kolegę swego z gimnazyum. Poznał Jakóba i p. Dmuszewski i powitał go z prawdziwą serdecznością, jaka przystoi dyrektorowi kapeli.

Nie mając z kim rozmawiać dowiadywał się Jakób o losy p. dyrektora kapeli i dowiedział się, że po zarepetowaniu drugiej gimnazyalnej był na „preparandzie”,

został nawet i zastępcą gospodarza pierwo-
szej klasy, ciągnął malców za uszy i rzepo-
lił skórę, ale potem jakoś mu los nie sprzy-
jał, więc korzystając z gry na skrzypcach
której się ~~przy~~ na preparandzie nauczył zo-
stał dyrektorem obecnej tu narodowej
kapeli.
— Panie dyrektorze! panie kapelmistrzu!
krzyknął mu nagle nad uchem chudy
jegomość w wytartym surducie, z purpuro-
wym nosem (t.j. nie surdut, lecz jegomość).
Może zaczniemy, bo wszyscy czekają na
muzykę?
— Zaraz, zaraz — rzekł Dmuszewski — mam
interes teraz z moim przyjacielem.
— A! to pański przyjaciel?.. będzie więc i
moim! rzekł chudy jegomość i podał
protekcyjnie dłoń Jakóbowi, potem widząc
że pani Katarzyna zbliża się do Dmuszew-
skiego, odciągnął Jakóba na stronę i
rzekł mu do ucha:
— Pański przyjaciel, jestto geniusz mu-
zykalny. Czybyś pan mi nie mógł poży-
czyć pan szóstek?..
— Służyłbym chętnie... ale doprawdy...

nie wziąłem z sobą.
— A! to przepraszam! rzekł wzburzył gniewem p. Dmuszewskiego i stanął przy panu Le-
grecie stroiącym basy w sposób ogłuszający.
Wszyscy stroili się już do tańca — smyczki
posmarowano kalafonią — przyłożono in-
strumenta do ust — cisza zaległa oczekiwania
w izbie — a p. Dmuszewski ozwał się 6 ~~z akompaniamentem~~:
— Właśnie na dzisiejszą uroczystość skompo-
nowałem uwoczystego marsza pod tytułem: Koniec
świata. Kapela! raz! dwa! trzy!
Ozwała się muzyka — lecz zaledwo parę
taktów usłyszano z tej zajmującej kom-
pozycyi — otwarły się z trzaskiem drzwi —
a w nich ujrzano pana Michała Sikorę
który wchodząc, uprzejmie zwrócił się do
muzyki i rzekł:
— Marsz powitalny? dziękuję! dziękuję!
— A ty skąd tu osłe jeden! zagrzmiał z ką-
ta stryj Maciej.
— Michałku, serce moje! zkądżeś się tu
wziął? krzyknęła pani Katarzyna.
— Ano... jakem pojechał — jeść mi się
chciało — wziąłem się więc do kiełbasy

44. Ale żerej nie wiele było, więc na stacyi wy-
siadłem dokupić — a tu pśsi! (tu gwizdnął
p. Michał) kolej — pojechała, a ja zosta-
łem w ~~Wieliczce~~ Brzeźanowie.
— Pewnieś się upił hultaju! krzyknął p. Maciej.
— A jakżeś się tu dostał? pytała matka.
— Chodziłem tu i owdzie za robotą, ale
nigdzie dostać nie mogłem. Wybrałem
się więc z powrotem do Krakowa, ale na
drodze spotyka mnie żandarm, pyta mnie
o papiery. Mówię mu, że razem z krze-
słami pojechały koleją, ale mi nie
chciał wierzyć...
— To czemu pasował cię do Krakowa?
— Odprowadził mnie... z grzeczności!
No, i dobrze trafiłem, do się (widzę) zabawiny...
ale mamo! mam mamie coś powie-
dzieć — tu wziął p. Katarzynę na bok.
Pytał mię żandarm, czy znam kogo w
Brzeźanowie, coby za mną poświadczył.
Mówię mu, że w Brzeźanowie, nie, ale
w Wieliczce ma Cegretka z Krakowa dwa
domy, to może tam ktoś jest z Kra-
kowa, co mnie zna. Żandarm pytał
się w urzędzie, czy prawdę mówię, ale

mu powiedziałi, że ją łżą, bo żaden legiet-ka nie ma domu w Wrzelowie...
— Toście wy mię oktamali! krzyknęła nagle pani Sokorowa podchodząc ku legietkowi. To tak? podchodzić obywatelskie dziecko? co? hołysie jedne!
Pani Barbara zapomniała na ten raz języka w gębie, p. Mokotaj stał z basami i smyczkiem nie wiedząc co powiedzieć. Wszyscy goście do koła stali zdumieni, a Jakób poczuł nieś jakąś nadzieję, że może nie wybiła ostatnia godzina nadziei dla Drabinki.
— To takie dwa domy, co? krzyczała dalej Sokorowa — hę!
— No to cóż, wielga rzecz?.. wycedziła p. Barbara, to i tak mogą być szczęśliwi!...
— Albo to majątek szczęście? dodał filozoficznie p. Mokotaj.
— Aha? ta nie idzie o dom — rzekła p. Katarzyna, której teraz na myśl przyszły wyrzuty Macieja i Anusi i rada była zerwać z legietkami — do których

ciągnął ją jedyny majątek, a tego teraz brakło wabiska.
— Nie z tego! nie potrzebuję oszusta, co się wkrada w cudze łaski!
— O! my się ta z synem prosić nie będziemy — rzekła pani Barbara — Wojtuś! pódź! Mikołajku! zabieraj się! Mikołajku!
i wyszli wszyscy trzaskając drzwiami.
Stary Maciej uważał tę chwilę za najsposobniejszą do natarcia na bratową i rzekł:
— Nie róbcie sobie wstydu, Katarzyno — wszyscy powiedzą, że wam szło o majątek tylko, przyjmijcie Drabinkę (on ta też ma jaką taką chałupinę na Będzinowie) narzeczonego córki i jego i od razu niech będą zaręczyni, kiedy jest muzyka i goście czekają...
— Kiedy to jakoś tak nagle... co powiedzą ludzie?
— Ah! niech sobie gadają!
— Ha! niech się dzieje wola Boża, kiedy tak mówicie!...
Ini Jakób dostyszał i wybiegł z domu

przerywając, że Drabinkę znajdzie nie-
daleko. Jakoż nie zawiódł się: znalazł
go zadumanego przed domem p. Cholewy;
wziął go pod rękę i siłą wprowadził do
mieszkania pani Katarzyny — Maciej
włożył w jego rękę rączkę Anusi i posta-
wił przed panią Katarzyną, która wznio-
sła dłonie nad zdumioną i uszczęśli-
wioną parą, błogosławiąc.

Pan Maciej przeprosił następnie pana
Cholewę w imieniu bratowej i na zarę-
czynach nie brakło rodziny pana Dra-
binki. Hulano do białego rana, a nad samem
ranem rzekł p. Bartłomiej do Jakóba:

— Wiesz co synu — mam myśl!

— No, cóż takiego? spytał syn z obawą.

— Antosia Cholewówna, to wszak dziew-
czyna. Możebyś się z nią ożenił?

— Ho! ho! zapóźno! zanadto kręci się
tam pan Ignacy Kozik... rzekł Jakób
wywijając się ojcu.

Wreszcie słońce zabłysło w oknach i
goście poczęli się rozchodzić.

48.

Muzykę wynagrodzono tak hojnie, że jak wyznał pan Dunaszewski, nie dostał tyle nawet drugiego stycznia zeszłego roku, (na wspaniałem weselu) kiedy mu oprócz wynagrodzenia za grę, zapłacono przecz ztr. za rozbicie głowy kuflem przez drużbę, a po 10 centów, za każdy ząb wybity mu przez pannę młodą sierotkę od podłogi...

W czterech tygodnie potem obchodzono (Starający twórczyli przy napalonej w kościele) wesele pana Drabinki, drużbował pan Wesołowski, ekskoleżka a już doktor medycyny od tygodnia (z pomocą pana Bartłomieja) i Jakób.

Pan ~~Cholewa~~ Maciej był starostą a pani Cholewina starościną, szykowna Antosia druchną z inną prześliczną klepanonką. Pan Mrehat nie był na weselu ponieważ przed ślubem tak sobie dogodził doglądając płynnej strony uczty, że się dopiero na drugi dzień dowiedział, że już wesele skończone, i że Annusia odjechała z Drabinką na swoje gospodarstwo. Niech będą szczęśliwi.

Jakóba swatał ojciec już kilka razy, ale ten nie pragnie dotychczas zmiany swego kawalerskiego stanu, oddając się nauce prawa i administracyi.

Kraków 6/11 1882.

K. B.

v 1882

88

Bettoldozeut.

„Der Betteldozent."

Gdzieś koło 1882 roku gdy operetka „der Bettelstudent" była w modzie, napisaliśmy z Józefem Jakubowskim libretto operetki pod tytułem „Der Betteldozent", jako satyrę na stosunki uniwersyteckie, nie mającą nigdy być wykonaną, lecz nuconą dla zabawy kolegów z pamięci. Tekst gdzieś zaginął, a niektóre lepsze kuplety do dziś żyją w ustach kolegów – o ile sobie przypominam, notuję tu niektóre.

Treść była taka, że profesor jeden ma 7 córek na wydaniu, a kandydaci na docentów ubiegają się o nie, aby zyskać protekcyę na katedrę. Rzecz dzieje się za czasów... Kazimierza W. 90
3

/.

Jedna z pierwszych scen ma zaznajomić z osobami — więc na dziedzińcu kollegium Almae ucz-niów ~~i studentów~~ ~~profesorów~~ czeka na rozpoczęcie uroczystości uniwersyteckiej: powitania ~~powrotu~~ Staszewskiego, który jeździł na jubileusz uniwersytetu w Edynburgu i na właśnie powróci z relacyą. W togach wśród bereł i pedeli otaczają profesorowie, a chór śpiewa (z Pięknej Heleny:)

Oto są profesorowie!
Głos ludu wszędzie wypowie
Jak każdy z nich się zowie!

Przechodzą więc profesorowie i każdy ustanawiając się śpiewa kuplet, np.

c/.

90

Prof. K.

Melodia z Giroflé Lecoqua

. . . .

Ja już dawno chciałem
na katedrę wleźć,
lecz mi w tem dopomógł
dopiero mój teść

. . . .

. . . .

I już dobrze było
Lecz jął szeptać ktoś,
aby mędrcem być
trza napisać coś! . . .
A więc nowa bieda,
gdyż sołce się raz
chciałem coś uklecić,
a tu ani raz —
Ale że sprytny byłem,
skąd mogłem to wybrałem
Lecz kos nie spytał, ~~nie~~ nie,
Bo pewien krytych djabłów
schepał mnie.

Melodya z Boccacia

Prof. H.

Jam jest sławny kanonista
Dobry Polak, męże cni,
Dawniej byłem centralista
Lecz za bardzo dawnych dni
Dziś po polsku mam wykłady,
Ganię dawnych rządów wady
Bóg tak chce, tak być ma
A co dawniej — o tem sza!

Dziś minister rodak w rządzie
Już do diabli poszedł Bach,
Polski język w szkole, sądzie,
Minął przed Niemcami strach —
Więc po polsku mam wykłady
Ganię dawnych rządów wady
etc.

Melodya z Awanturnika

Prof L.

Tam już professorzy, dawnych rzymskich praw
Wykładać nie mogą dla nawału spraw,
Tutaj komitecik, komisyjka tam,
Owdzie zgromadzenie kwestujących dam
A kto, jak ja, szczęście opiek ma,
Temu do ich sprawowania wiele czasu trza!

Prof F.

Melodya z Indyga

Ej któż nie zna mnie starego?
Kto Ksawerka nie zna mego?
A Maurycy jego brat,
W prawie jeszcze większy chwat,
Paragrafy, artykuły
Już w kolebkach im się śniły
Każdy dobrze świadom praw,
Karnych i cywilnych spraw!

Docent Rosenblat
(Melodya toastu z Trawiaty)

Mój papa w tem mieście
wielki adwokat,
On z radcem, z adjunktem
z każdym za pan brat.
Mój szwagier w Podgórzu
Auch ein Advocat,
Ten chłopów obdziera,
To dopiero chwat!

A brat Hirsch, choć młody
Schon ein Concipient,
Ten też ma Kepelle —
Będzie trzeci Kręt!

Straszzelbski:
(Melodya z Dzwonów z Corneville:
Pomimo pozycji tu i tam,
Taki piękny kontusz mam,
Karabelę złotem lśni
A na czapie pióro drży!
etc.

Inna scena przed drzwiami lekko,
rynem studenci spacerują paląc
papierosy, z głębi przez otwarte drzwi
słychać wykład ks. Pelczara:

Melodya z Drzewowo Korzeniowskiego — ks. Pelczar:

Jaśko z Czarnkowa,
Piotr z Pacanowa,
Mordko z Chrzanowa
Za dawnych dni —
Jan z Sandomierza
Tomasz ze Zgierza
Icek z Kazimierza
Mężowie ci —
Że już nie wspomnę
Imiona ogromne
Lub niezapomne
Z dawniejszych lat:
Jak Jan z Tarnowa
Pietrek z Piotrkowa
Szymko z Brzezowa
Brat jego brat —

Jan z Limanowy
Wojtek z Kosztowej
Szymon z Głogowej
W Konsolancji goście
Lub Piotr z Sieniawy
Stach ze Żabawy
Marek z Bychawy —

Chór

Przebóg już dość!!
Mistrzów cytuje
Życie nam truje!

Girtler

(Wykładam prawo niemieckie
przeplatając brutalnemi
i głupiemi napaściami
na kościół — co się wielce
podobało!

Kuplet tegoż:
(Na nutę z Fatinicy, generał)

93

Wrzenią w mnie klerykały
I gotowy gromo dami:
Ks. biskupów jest rzucać
Wżak ani mądrzej przyjdę nam
Lecz jak na te kancjałki
Głowy dalej nie nauki
Że na wrogów za opaty
Tylko krzyki tylko baty
Na biskupy te pyszałki
Można krzyki ale pałki!

i. t. d.

nie pamiętam

Na zebraniu profesorskim
przyłyma skasowała owczesny
Badeni i uprawia na
nutę Gott erhalte!

J.

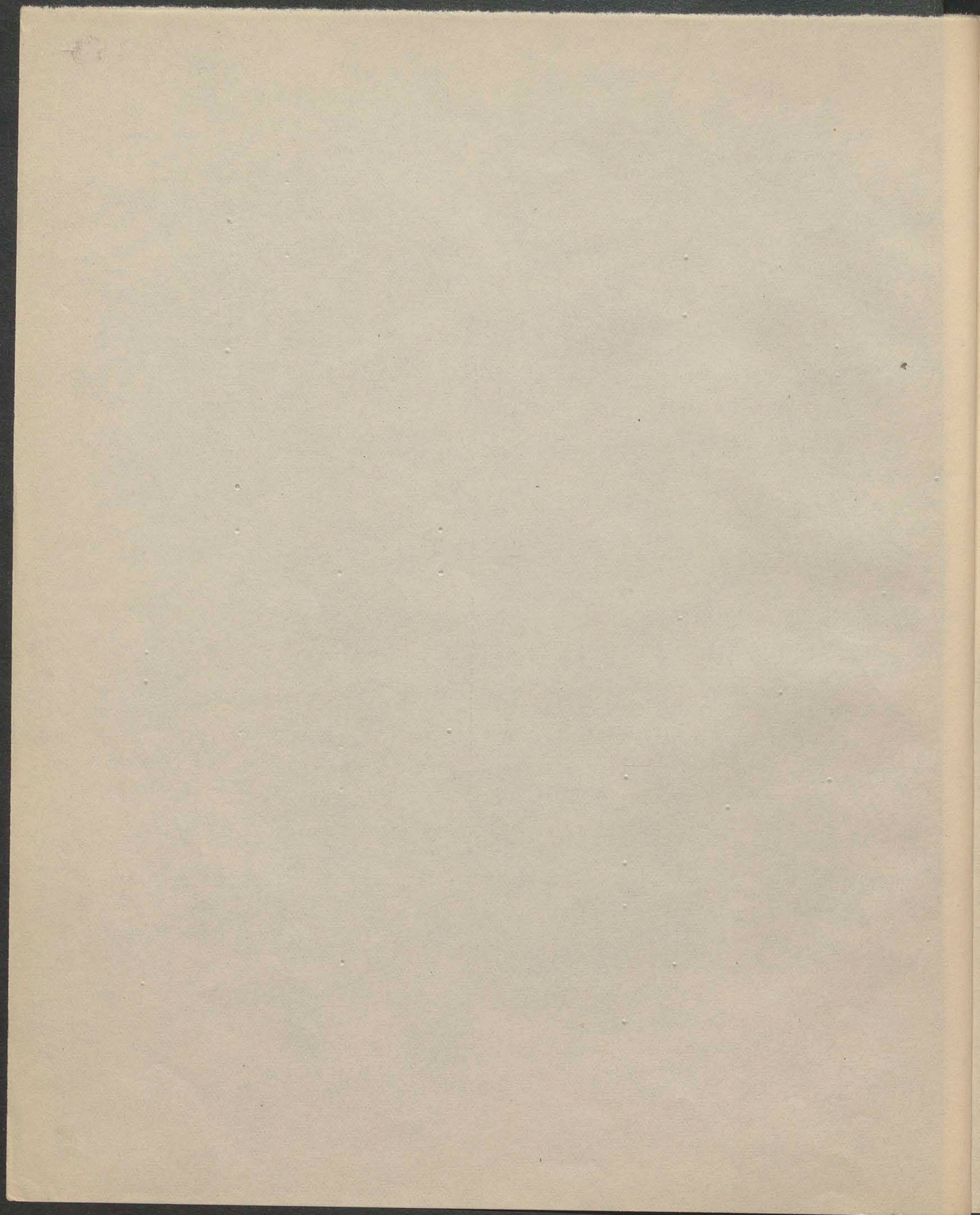
Król Kazimierz z swego grodu
W swojej łasce przysłał mnie,
Pozdrowienie [illegible] narody
Przez me usta wam tu śle.
Chór: Bo z Piastowskim tronem i [illegible]
Jest na wieki Polski los!

Byli i inni profesorowie
z kupletami ale zapom-
niałem.

[illegible]

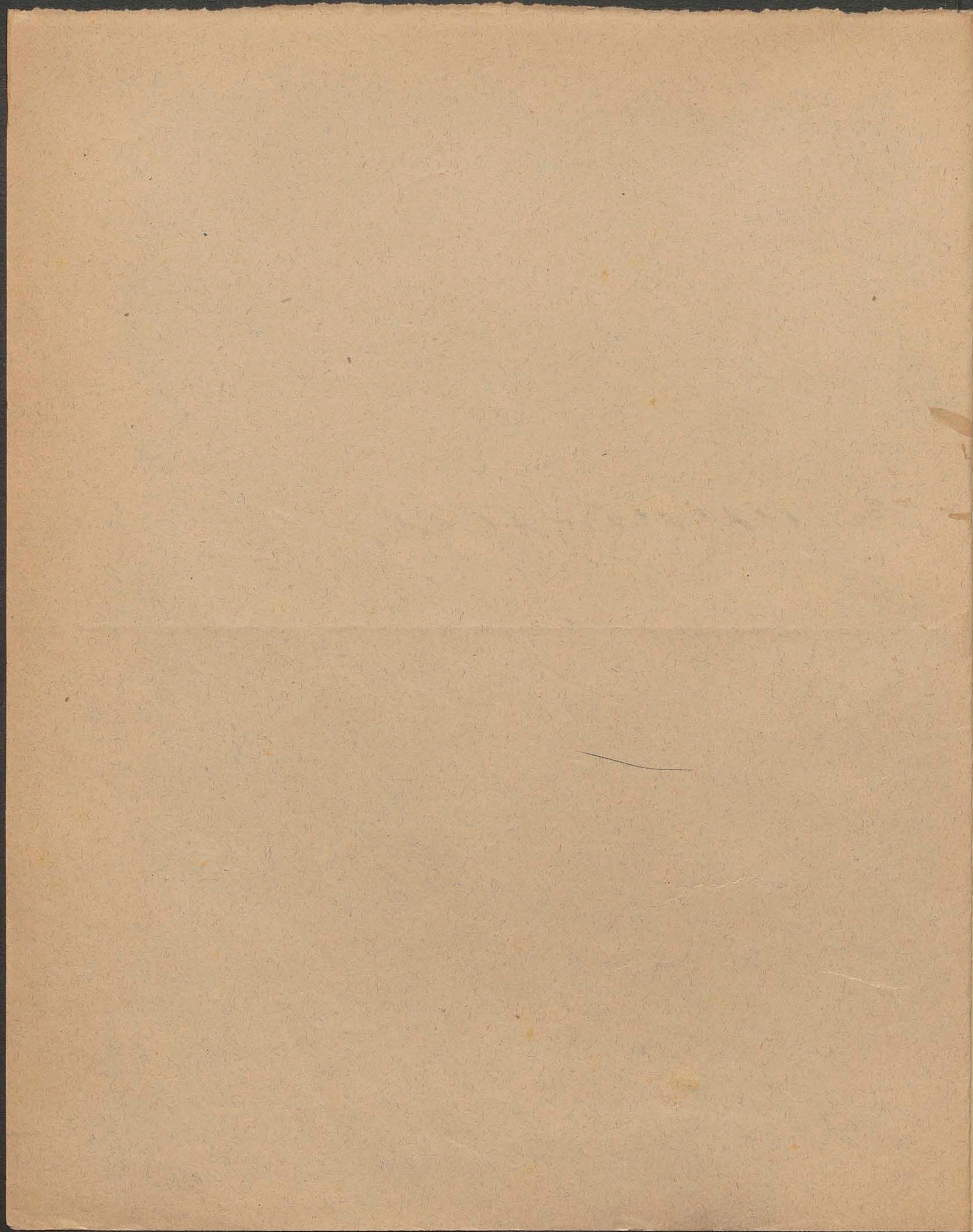
Grotter I strofa

Jam G. w świecie znany
Almae matris profesor
Dla mnie równe wszystkie stany
Demokracji jestem wzór
Ostro śmiało jak należy
Głoszę z katedry młodzieży
Że co dobrego tylko znamy
~~Tylko~~ księżom zawdzięczamy
Że na księży na opaty
Tylko knuty albo baty
Na biskupy że pyszałki
Mało knuty – ale pałki!



Studenckie
zebranie
literackie
1877–1878. i 1879.

[illegible signature]



BAL.

1886

Osoby

Staś

Wanda, jego żona,

~~Jej Matka,~~

Jaś, jej ~~syna~~, brat ~~Wandy~~

Jadzia, jego żona.

Matka Wandy i Jasia

Salon – matka drzemie w fotelu, na szezlongu śpi Wanda a na kanapie Staś.

<u>Staś</u>

(ziewając ogląda się:) Siedmiu braci śpiących... która godzina? ~~trzecia~~ ~~czwarta~~. Śpijmy więc wszyscy dalej! (kładzie się)

<u>Wanda</u>

(ziewa głośno) Śpisz Stasiu?

<u>Staś</u>

Uhu.

<u>Wanda</u>

Mama także śpi... (kładzie się napowrót na szezlong ziewając.)

Matka

(ziewa) O! o! (ogląda się) i drzemie śpiąc... (zapada w drzemkę)

Staś

Nie wytrzymam dłużej. (wstaje i idzie do okna) Pogoda, że psa nie wypędzić... (chodzi po pokoju) A to nudy! nudy!

Wanda

Że też Jasiowie nie przyjechali!

Staś

A! wiecie! Boże Narodzenie! Święto familijne! siedzą na łonie rodziny, jak my — no, i pewnie tak samo się nudzą!

/.

Wanda

(idzie do okna) Deszcz z śniegiem ... ~~ciemno~~ noc się robi...

Staś

Chwała Bogu – pójdziemy nie długo na prawdę spać... Że też Jaś nie przyjechał!...

Wanda

A pisał, że będą na święta... może które z nich zasłabło!

Staś

At! cóżby tam zaraz mieli słabnąć! Pewnie ciotka Zosia nie chciała przerywać ~~sobie~~ samotności... nie chce świadków niedobrych miesięcy!

Wanda

Przecież i marzę się jeszcze nie

skończyły...

Staś

A już zatupesz, że jesteś sama z mężem? co?

[3] Wanda

A ty, że jesteś sam z żoną, co?

Staś

Widzisz... ja bardzo lubię sam na sam... bardzo! ale to bardzo! (Wanda śmieje się) Ale dziś — pomyśl: wystaliśmy, graliśmy, jedliśmy, ~~spa-liśmy~~, gawędziliśmy — spaliśmy cały program dzienny wyczerpany, z domem Królem się nie znasz na taką przygodę — no więc, więc... jedyny ratunek to jakiś gość.

Wanda:

Jest mama...

Staś

No, no – bardzo to miły gość, ale, jak widzisz, nie pomaga do zabawy... śpi. Niech śpi, ma rację, święto familijne, niech śpi cała familija. Sądzę że Jasiowie także – śpią.

Wanda:

Doprawdy, musimy ich zapytać, czy też Boże Narodzenie przespali.

Staś.

Ale spali, spali.

Wanda

Któż to wie!

Staś.

Ale sądzę, że spali! Trzeba

zaświecić, bo ten mrok to doprawdy dobija! (odkręca światło elektryczne)

Wanda.

A! Doprawdy, że zaraz weselej! Zaświecę wszystkie lampki — o! tak — jasność, to jakaś atmosfera wesołości, zabawy, koncertu, balu, tańca.

Staś.

Prawda! Trzeba było pierwej zaświecić! Obudziliśmy siwą, starą mamę!

Matka

Ooh! zdrzemnęłam się!

Staś

Tak, trochę.

Wanda

Cichutenko.

Matka

Dzieci ciemny, krótki – do prawdy
że przy świetle teraz weselej –

Wanda (sama)

Właśnie odkryliśmy tę prawdę.
Staś nudził niezmiernie...

Staś

A Wandzia ziewała bez końca
światło nas orzeźwiło

Wanda

Czyż nie ~~mówiłam~~ mrabam
mamo stwierdzić, że ta jasność
to atmosfera balu...
wieczorna a świetlana

Staś

Atmosfera jest, tylko balu
nie ma – muzyki –

Wanda

Niech mama zagra – zrobimy bal!

Staś

We dwoje?

Wanda

A fantazya od czego? Wyobraź sobie rój w salonie. Panowie we frakach, panie w toaletach balowych. —

Staś

Dekoltowane.

Wanda

Gwar — flirt — wzdychanie — oczkowanie — wachlowanie — ~~[illegible]~~ Arawier klaska — muzyka zagrywa — mamo, do fortepianu!

Matka

Dobrze, dobrze —

Wanda

Na początek oczywiście

polonez — mamo, poloneza! — stary jegomość w kontuszu podaje ramię pani domu, za nim jakiś ~~stary~~ szek z orderem, potem ~~p..~~ już pary, jak Bóg dał, (matka gra poloneza)... (drzwi się otwierają wchodzą pary polonezem)

Staś

A więc i my stajemy w szereg (prowadzi Wandę w polonezie po salonie)

Wanda

W prawo —

Staś

W lewo — (pary znikają za kulisy)

Wanda

A teraz znowu klaska (klaska) muzyka przechodzi z poloneza do walca — mamo walca! (z za kulis wkraczają pary (balowe)

Staś

Staruszkowie odprowadzają damy na kanapy a młodzież pusz-cza się namiętnie w wir....

(tańczy dwa walca z Wandą)

Wanda

Ach! Nie ma jak walc! (ce-remonialnie) Dziękuję panu — jestem już zmęczona...

Staś

(ceremonialnie podaje jej rękę) Mam nadzieję, że Pani pozwoli potem jeszcze jedną turę?

Wanda

Żałuję — lecz jestem już anga-żowaną (udaje że się wachluje wachlarzem)

Staś

Może zatem mogę prosić o

pierwszego ~~kadryla~~? mazura?

Wanda

Zdaje mi się, że tak, ~~nie~~ ~~to~~ do drugiego jestem angażowana, pierwszym mogę dysponować...

Staś

Cieszę się niezmiernie ~~Wanda~~

~~Staś~~ ~~[illegible]~~ Wanda

Właśnie nadchodzi mój danser dopominający się o tego walca. Mamo i walca! (Daje się objąć Stasiowi – tańczą chwilę walca)

Staś

(odprowadzając ją na kanapę) Może Pani pozwoli lemoniady? coś chłodzącego?

Wanda

Proszę kieliszek szampana.

Staś

(nalewa z karafki wody do szklanki i podaje na tacy Wandzie) Służę pani!

Wanda

(dotknawszy ustami) Dziękuję panu! Nadzwyczajnie bal się udał!

Staś

Prześlicznie pani! Co za frekwencya! Ile prześlicznych dam! Co za ożywienie! I dobry zadatek karnawału!

Wanda

Czy Pan uważał, jak pani Iksowa nadskakuje pani Ypsylonowej?

Staś.

To nie pierwszy raz — ale jak pani Flirtowska dziś smutna! Zapewne odmowa jakiś brak...

Wanda

Chciałby Pan pośrednio brak ke-gos?

Staś

O. jak Pani domyślna!

Wanda

A jak się panu podoba ta wysoka brunetka ... tam ... w fiołkowej to-alecie?

Staś tajemniczo

Tam na prawo? przy tym grubym panu?

Wanda

Ależ nie - na lewo -

Staś

A przy tej obrzydliwej - pardon - chciałem powiedzieć niezręcznej damie ~~w ...~~ z włosami na rudo pomalowanymi?

Wanda

Pan jesteś złośliwy. To jest ma-

turalna fryzura!

Staś

A tak! nadnaturalna...

Wanda

Ale pan omija moje pytanie?

Staś

Wszakże przyznałem, że fryzura nadnaturalna!

Wanda

Ale pytałam, czy się panu ta brunetka podoba?

Staś

O! pani! któraż mogłaby się podobać patrząc na panią!

Wanda

Ach! panie!

Staś

O! pani!

Wanda

Ach! ~~pamiętnie tak~~ Tatri jesteście
~~Czy pan to na prawdę mówi~~?
prawić fałszywe komplementy!..
Któremuż wszystkich (życie) można?

Staś

Mnie, mnie pani!

Wanda

Ach! ten nieznośny danser
idzie do mnie po turę polki...
~~prawy~~ doprawdy, że na balu
nigdy swobodnej konwersacji
prowadzić nie można! Mamo!
polkę. [(Daje się objąć Stasio-
wi i tańczy turę polki) Dzię-
kuję... (niech pan powachla
wachlarza mojego... zdaje mi
się, że w tamtym pokoju zostawi-
łam... Nareszcie pośród siebie...
Wracam do rozpoczętej rozmowy

[Z za kulis wybiegają znowu pary balowe. [

więc pani się ta brunetka nie podoba?

Staś

Nie pani! nigdy! Nie lubię brunetek w ogóle, a choćbym Kandykalowne lubić, to patrząc na cudne blond włosy pani...

Wanda

Panie!

Staś

O tak! nie przerywaj Pani! Pani jesteś jedyną, jedyną, do której wracał się mój wzrok, do której uciekają z dawna me myśli i uczucia —

Wanda

O! panie!

Staś

Do której tęskni ~~serce~~ i bez któ-

108

nej tyje nie potrafi! O pani! gdybym mógł mieć nadzieję – odrobinkę nadziei! Wanda

Matka (Niech pan z mamą porówi...)

Niech Pan, niech pan, ja wam błogosławię dzieci!

Staś

Mazur! wszystkie pary! Proszę angażować damy! Rond! pierwsza para, druga, trzecia, dwunasta, dwudziesta pierwsza...

Wanda

Mamo! Mazur!
(pary z za kulis wpływają znowu)

Staś (tańcząc)

Pierwsze cztery pary! z życiem panowie! para za parą! kółeczko! ~~wybierać~~! vis-a-vis – zmiana dam! Ho!

Łubiec! Wybierać!

(wchodzą Jaś i Jadwisia
we futrach)

Jaś. Drwaniny, wobany, szczypiny, nikt nie wychodzi — Jadwisia zagłuszyły nas na muzyka i tupanie w klepie —

Staś

Wybierać! (chwyta Jadwisię
i tańczy — Wanda pociąga
Jasia do mazura)

Staś

Z życiem panowie! (tańczą
mazura)

Jaś

Zwariowali!

Staś

Dziś, dziś, dziś, hołubiec!

Jaś

Uf! Bogu dzięki Bogu! Wandziu!
rozkopiu się we futrze!

Wandzia

Niech futro zdejmie panicz!

Staś

Rond! Z lewo — w prawo —
wszystkie pary — gołąbicie

Jaś

Na miejsca! na miejsca!
(wyrywa się Wandzi i pada
na fotel zmęczony)

Staś

Następne cztery pary!
piąta, szósta, siódma, ósma!
Para za parą! (J. Hołubiec
wybierać!)

Wanda

Chwała Bogu wreszcie przyjechali! (Zoś i Zadzia wchodzą z matką)

Staś

Będzie kadryl na prawdę!

Wanda

Czemu tak późno?

Zoś

Pociąg spóźniliśmy! ~~jak zwykle~~, ~~Ale we święta~~ odjechał nam przed nosem!

Zadzia

Aleśmy się wynudzili i strach!

Zoś

Musieliśmy czekać na następny pociąg a tymczasem, Boże! co za nudy!

Staś

Spaliście?

Iza

Naturalnie, ~~popołudniu~~ co robić na cały czas!

Staś

A co, nie mówiłem, że spali? Święto familijne! My tak samo – na wczesne, przyszła nam dobra myśl urządzić bal.

Ladzia

Bal? To wybornie!

Wanda

Już był polonez, walc, polka, mazur – teraz kadryl a ~~potem~~ wieczerza!

pauza / następnie kotylion
kadryl II III etc

Staś (do Jadzi)

Mogę panią prosić do kadryla?

Wanda

Niewierny! już mnie zmienia!
Angażuje inną, a dopiero
mnie się oświadczał!

Staś

Tańczyliśmy razem za wiele – toby
zbyt w oko wpadało publiczności (podaje
rękę Jadzi)

Jaś (do Wandy)

Mogę mieć to szczęście?

Wanda

Miło mi będzie!

Staś

Proszę stawać pary vis-a-vis!

Wanda

Mamo! Kadryla! (zaczynają

(Matka gra kadryla — tańcząc — zasłona spada.)

(przy z za kulis zaludniają scenę)

Koniec

Balcon

Elegancki salon

Na prawo **Matka** drzemie w fotelu przy forte-pianie, na lewo **Staś** na szezlongu – w głębi **Wanda** drzemie na kanapie opuściwszy rękę z książką.

Staś

O jak dziś miło w kochanej rodzinie!
O jak rozkosznie czas nam wszystkim płynie!
Żonka intrygą romansu zajęta
Snem zwyciężona, zamknęła oczęta,
Mama w fotelu drzemiąc się kołysze...
A więc szanujmy poobiednią ciszę,
We wszystkiem jedność, miłość nas jednoczy
Niech więc Morfeusz i mnie zamknie oczy!

Wanda (budząc się)

Śpi Staś?

Staś

Naśladuję ciebie...

Wanda

A mama nas dwoje!

/.

(chwila ciszy.)

Staś

Nie - nie! nie wytrzymam dłużej,
Kanapa, cisza, sen, spokój mię nuży!
Przebrzydłe nudy!
(idzie do okna i wyziera)
Coto za pogoda!
Na Boże Narodzenie odwilż, błoto, woda!
Kapie i kapie, smutno, ciemno w koło,
I ma tu komu być w domu wesoło!
Gdybyż choć goście przyjechali byli!

Wanda

Taki Jasiowie zawód nam zrobili...

Staś (z ironią)

Święto rodzinne... domowe rozkosze!...
Ot i rodzina cała drzemie proszę!

Wanda (spoglądając za okno).

Deszcz z śniegiem pluska, ściemnia się
na dworze...

Staś

A! Mroźna Bogu! W nocy spaść się może,
/.

Lecz dzień przespać – smutna ostateczność!

Wanda

A nawet dodam: w oczach dam – niegrzeczność.

Staś

No, no, cóż znowu, nie moja w tem wina:
Niespodziana samotność oto jest przyczyna,
Gdyby się goście nam nie obiecali,
Tobyśmy sami do nich pojechali
Razem weselej, przy ogniu kominka
Opłatek... tego... gwiazdka,.. tego tam... choinka...
No i te tam... różne jakieś przyjemności,
~~Jak to tam bywa~~...
Cygara.. tego... pogadanka gości...

Wanda

Czy tylko Jadzia lub Jaś nie chorują?

Staś

Któż tam chorobę zaraz wspomnuje!
Młode małżeństwo z okrutnej miłości
Nie chce przerywać tej samotności...
Jadźka zazdrosną zapewne być musi,
A Jaś się boi dąsów swej Jagusi.

Wanda

A od naszego wesela czy więcej
Panie małżonku minęło miesięcy?
A już ci nudno przy twojej żonusi,
Której tyrady gderań dziś raj słuchać musi.

Staś

Wando, Wandziuniu, Kochana Wandeczko
Nie rób się zaraz obrażoną owieczką!
Wiesz że nie tak był sens mojej mowy,
Zresztą — gdy żądasz, odwołanie gotowy.
(Ziewa) O! o! cóż powieść, czy cię wzrusza?
Czy wyszła Numa za Pompiliusza?

Wanda

Ledwo czytać zaczęłam — zrobiło się ciemno —

Staś.

Ciekawość moja, zatem jest daremna!
A zatem konieczny pracę rozpoczęto:
Niechaj przeżyjmy familijne święto!
(Kładzie się na szezlongu)

Akt I

Pokój zastawiony stolikami do kart i bufetem w głębi przez otwarte drzwi widać salon oświecony.

Scena I

Zosia, i Julcia w strojach balowych, Henryk śpi z boku na kanapie.

Zosia

Prędzej, prędzej, już goście niezadługo schodzić się zaczną — czyś już gotowa?

Julia

Zupełnie. Ale co to tak mruczy czy sapie?

Zosia

Tu z tego kąta — co to jest

Julia

To pewnie Filuś!

Zosia

Nie to nasz kochany braciszek śpi sobie spokojnie na minutę przed balem! Heniu! Heniu!

Henryk (rozespany)

Dajcie mi spokój!

Julia.

Bij się bogo! wstawaj! gości lada chwila nadejdą

Henryk

Wielka historja. Jeszcze chwilę się przedrzemię.

Julia.

Ależ to już za wiele! Zróbże to dla nas Heniu i ubieraj się zaraz. ~~Zosiu~~ Ktoś dzwoni! O Boże!

Scena II

Ojciec wpada (za nim muzykanci)

Tędy – tu do salonu, po lewej stronie ustawcie pulpity. ~~Ale...~~

I muzykant

A piwo gdzie?

Ojciec

Pod oknem, za firanką.

~~I muzykant.~~

~~...~~

(muzykanci wchodzą do salonu)

Ojciec

Zosiu, Juleczku – idźcie do mamy poprawić jej suknię...

Zosia

Ale bo proszę ojca Henio..."

Ojciec

Prędko, prędko, idźcie do mamy

I muzykant wraca

Proszę pana, tam pod oknem za firanką to się jeszcze druga butelka piwa zmieści...

Ojciec

Dobrze, dobrze – zaraz tam przyjdę – ~~no~~ (słychać dzwonek) (do córek) No prędzej idźcie ubrać mamę bo już ktoś nadchodzi – (wyprowadza córki do drzwi na prawo) A to bieda z tymi balami, człek nie wie gdzie ma swą głowę – znowu ktoś dzwoni a kobiety jeszcze jak wszystko nie gotowe! (wychodzi)

Scena III.

Henryk (sam)

(ziewa) A-a! a to szalone nudy! (rozgląda się). A! to bal dziwny! Przynajmniej człowiek się rozrusza jak sobie zagra

./.

małego preferansa albo wiścika – szkoda, że tyle z tem kłopotu. Od rana przepędzali mię od z jednego pokoju do drugiego i nigdzie nie dali mi spokojnie podrzemać. O! (słychać głosy) Już ktoś jest –

Scena IV.

Zosia i Henryk

Zosia. Henia! Henia! już są goście – umykaj do swego pokoju i ubieraj się.

Henryk

Już idę, idę – wszystko będzie na czas – jak oni mię nudzą! (odchodzi)

Zosia

Niepoprawny! Zawsze nam musi kłopotu przysporzyć!

Scena V

Ojciec z paniami Brzeską i Starską

(W czasie tej sceny i następnych w dali w salonie przechodzących gości w strojach balowych)

Ojciec.

Ta sala balowa dla nas starych

Bzicki. Wchodzimy już dziś, bo się to pali Potani-
co — a my musimy czekać, nim się partyjka
złoży.

Starski. Pamiętam, było to w roku.. przedzie-
siątym piątym — szóstym — nie, piątym,
nie, dobrze mówię, szóstym, przedziesiątym
szóstym... a może i piątym? No — dość
że było to wtedy, kiedy przegrałem 50 fran-
ków do pana Sorel — ach! ~~przypominam~~
~~sobie~~, w przedziesiątym szóstym, cze-
kaliśmy ~~na~~ partnera do dziesiątej. Czeka-
my — nie do jedenastej — czekamy — czas
strasznie się wlecze —

Oficer No! więc skróćmy go kieliszkiem
kremu koniaku na początek —

Starski. Ha! ha! wpadłeś pan doskonale!
Przypomina mi to pewną anegdotkę
o pewnym biskupie — nie, prałacie —
czy może i biskupie?

Bzicki. Niech będzie i biskupie — dość że
o duchownej osobie —

Starski (pije) Dziękuję! do pana.
Bzicki Najlepszego!

Scena VI.

Ciż i Iks

Ojciec. Otóż jest partyjka gotowa! Kochany panie Iks!
Bzicki. Przybywasz w samą porę!
Starski. Siadajmy – to mi przypomina jedno zdarzenie, które miał mój ojciec w swojej młodości – chociaż pozwalał mój dziadek –
Iks. Pik daje karty.
Starski. Albo może i ojciec..
Bzicki. Mniejsza o to: który z pańskiej familji. Dajesz pan karty.



Patrz wujciu! jaki twoja osoba dziwny
cień wydaje



Jakubie! oddałeś listy na pocztę a tam
był jeden bez adresu. —
Tak jest, ale ja myślałem, że Wny pan nie
życzy sobie, aby kto wiedział, do kogo list
ten był adresowany. —

Odrysovane z „Poslepu“ (?)





studiosus



Detto

120

O dawnych redutach

Kilka słów o dawnych redutach

W końcu XVIII w. jedynymi publicznymi balami były reduty. Przedsiębiorcy mieli dość znaczny dochód z tych wstępów na reduty i ubiegali się o „przywilej" na nie. Mieli go Żelechowscy na ul. Szewskiej, potem Kluszewski w pałacu Spiskim i w teatrze przez siebie później zbudowanym na rogu ul. Jagiellońskiej i późniejszego placu Gwardji Narodowej (Szczepańskiego.)

Po zajęciu Krakowa w r. 1796 przez Austryę namiestnictwo miało wiele do roboty wydając specyalne przepisy o redutach, tańcach, porządku etc (Vide

w mojej pracy o Teatrze Krakow.
do r. 1815).

Za Wolnego Miasta reduty
były urządzane bardzo przez
wyższo-mieszczańskie i niższo-
szlacheckie towarzystwo. Kronika
opisów redut z tych czasów
w Gazecie Krakowskiej.

Za moich czasów tj. w epoce
zdawania matury 1879 i w latach
następnych były reduty w upadku.
Odbywały się w karnawale co nie-
dziele za wstępem 1 złr. w sali
wcale ładnej na I piętrze koło
sali teatralnej, mającej obok
2 mniejsze salki jedna na bufet
przeznaczona druga także dla gości
nie tańczących. Większa mieszana
gawiedź na galeryi. Zaczynało się
o godz. 10 — o godz. 12 bywało dla

gratisowe 122

gości sobotowych miłe przedstawienia:
w teatrze jakiejś jednoaktówki przez
najsłabsze siły aktorskie granej
np. Żyd w beczce – Awantura przy
ul. Floryańskiej – nie każdy wie
co chcesz itp. Publiczność waliła
ochoczo do sali na dowolne miejsca
które zajmowali z radością ci, co
nigdy w niej nie siedzieli, a szczegól-
ny gorsze też odwiedzali „jaskółkę”
tj. galerję. Zachowywano się głośno,
niewymuszenie wesoło a po przedstawie-
niu jedni szli do domu, drudzy
wracali na salę taneczną wodzić
tany, gdzie z damami były tylko
osoby z półświatka, jeżeli jaka
osoba reńska z „Towarzystwa” odważyła
się iść, to otaczali ją z zapałem
i co prędzej potem odprowadzali
do domu. Redutę opadały czasem

/–

niej. W r. 1887 chciał Gliński przedsiębiorca teatralny coś nowego dla podwyższenia poziomu redut. Jako ówczesny przyjaciel teatralny z Janem Jakubowskim i Wład. Machnickim utworzyliśmy z sekretarzem teatru Sachorowskim i Glińskim program wspólnej reduty, w której mieli wspólnie tańczyć aktorzy i aktorki przebrani, — ale nie wywarło to efektu, więc znowu zaprowadziliśmy festyn arabski, na który napisałem ad hoc dodatkową tu „Gazetę arabską".

O godz. 12. w nocy 4 mężczyzn wniosło w lektyce słynną z piękności Józię L. która rozrzucała w tłumie „Gazetę Arabską" potem poszła w tany.

Nie dało się już ściągnąć porządnej publiczności i reduty zeszły „na psa” – przychodziły tylko damy „z półświatka”, paru oficerów i zdeklasowanych „lebemanów”, nieco akademików i młodych ludzi w kapeluszach, paletotach i kaloszach, pokręciło się trochę po sali – zrazu paru gorszych aktorów i aktorek przebranych za hiszpanów, murzynów, żydów, krakowianki, górali i t.p. – tylko kilkanaście żądnych tańca par hulało zawzięcie do rana. Swoboda w słowie i geście była nieskrępowana – młodzież chłopięca pierwszy raz wszedłszy tam czerwieniała jak buraki...

Na każdej reducie był oficer dyżurny i komisarz policji

/.

Nie było to bogatej zbytnio mło-
dzieży więc bufet był skromny:
piwo, herbata, wódka, precle, cu-
kierki, ciastka i parę butelek
sikania.

Na Kleparzu w hotelu Krowo-
skim (dziś Bank polski) na rogu była piękna
ale zupełnie zrujnowana
eleptyczna empirowa sala
taneczna, gdzie dzierżawca
hotelu (żyd) dawał w karna-
wale bale podoficerów i służby
dworskiej, zwane Flora-bale.
Zeszły one na ostatni możliwy
stopień zabawy sprowadzone.

O 12-tej w nocy goście weselni
przychodzili z reduty jeszcze na
dokończenie szerokiej zaba-
wy na Flora-balu (wstęp był
tylko 50 ct. tj. pół guldena)

Dnia 16 Stycznia 1887 o godzinie 12tej w nocy
według Kalendarza jaki komu najwygodniejszy.

GAZETA ARABSKA

Numer pierwszy i ostatni

wyszedł dziś i nie wyjdzie już nigdy.

NA REDUTĘ.

Słowo wstępne.

Na redutę, miły bracie,
Tam zabawa czeka na cię!
Słodkie tany przy muzyce
I rozkoszne tam dziewice,
Takie miłe, takie wdzięczne
I w przyjęciu takie zręczne
A wesołe młode trzpiotki,
Jak wiewiórki te szczebiotki
Pełne wdzięku i swobody.

Na redutę orle młody!
Na tę biedną czasu dobę
Wśród powszechnych kieszeń pustek
Znajdziesz przecie parę szóstek
Na bilecik, garderobę,
Na posiłek i napitek —
Nie bądź butny i rozrzutny,
Wśród kolegów i kobietek,
Lecz oszczędny i oględny;
Miłe-ć będą takie gody
I nie rzucisz grosz do wody.

Patrz! do pełnéj, jasnéj sali
Tłum młodzieży już się wali:
Kawalerzy i żonaci,
Sądownicy, adwokaci,
I lekarze i baciarze,
I studenci, oficerzy,
Wszystko na redutę bieży!
Tłumy masek ciągną wkoło
A swobodnie, a wesoło,
Całéj ziemi widzisz stroje:
Tu rycerskie błyszczą zbroje,
Tam znów widzisz krymskie burki
I bekieszki i lisiurki,
Tam węgierskie czarne wąsy,
Daléj Hiszpan idzie w pląsy;
Tam żyd tańczy w swym chałacie
Przy nim chłopek w skromnéj szacie,
I duchowny w swym habicie
Tu osładza sobie życie.

A dziewczęta przy ich boku
Nie pociągną-ż twego wzroku!
Ciche szepty, głośne śmiechy,
Ciągłe żarty i uśmiechy,
I swobodna, szczera mowa,
I serdeczne, proste słowa,
Ach! bo tylko szczęścia tyle
Co te nocne dadzą chwile,
Bo o świcie — krwawe życie.

Patrz na ową miłą parkę:
On ma krótką marynarkę
Bródkę małą, lecz spiczastą,
Znać go musi całe miasto —
Ona płocha, niby słucha
Lecz chce „pompnąć“ trochę zucha,
W bufetowe zwraca progi
A mecenas — na to w nogi!

Pan komisarz stoi z boku
Dobro redut ma na oku,
Z szpadą w dłoni baczy pilny
By wojskowy i cywilny
Uszanował godność balu
I nie zrobił gdzie skandalu.

Wśród zabawy czas ucieka,
Do snu ciąży już powieka —
A gdy ranek kur ogłosi,
Każda panna chłopca prosi,
Aby nie iść do dom saméj,
Bo się różnie zdarza w drodze,
Grożą sidła ach! niebodze
Nim do domu dojdzie bramy!

Na redutę, orle młody!
Użyj przecie twéj swobody,
A gdy starość barki schyli,
Dosyć będzie w owéj chwili
Przy kominie, przy rodzinie
Z żoną z boku i w szlafroku
Tańczyć na małżonki nutę...
Teraz bracie — na redutę!

Co słychać w Arabii?

(Telegramy arabskiego biura korespondencyjnego).

Mekka 16 stycznia. Szeik ul Islam wyda wkrótce manifest przeciw liberalizmowi.

Bassora 16 b. m. Dziwią się tu powszechnie, że reduty w Krakowie mają takie ładne maski.

Abe 16 b. m. Promenada bardzo ożywiona. Giaurów widać niewiele. Spacerują huryski z namiotu El-Platy, za opłatą centa na minutę.

El-Lod 16 b. m. Bardzo tu ślisko. — Niewierni w wielkiej liczbie przybywają bez obawy w i w r ó c e n i a się.

Medina 16 b. m. Powszechnie tu mówią o wojnie — z kobietami. Ale spodziewają się, że pokój będzie utrzymany, gdyż stosunki z wszystkimi mężami są najprzyjaźniejsze.

Teheran 16 b. m. Szach nie postrzelił żadnego pełnomocnika.

El-Arich 16 b. m. Ojciec Zadżumionych umarł.

Babel Mandeb 16 b. m. Widać prawdziwe okręty pływające sobie po morzu.

Suez 16 b. m. W tym roku otwarcie kanałów i wielka krajowa wystawa — śledzi.

Morze Czerwone 16 b. m. Znaleziono utopionego żyda — bez maski.

Zdania arabskie:

Gadatliwy człowiek działa na słuchacza taksamo, jak turkot koła młyńskiego.

Gadatliwość starca podobną jest do uroczego strumyka, przy którym się nawet usypia.

Tylko szczebioczący buziaczek ładnego dziewczęcia, szczególnie gdy coś rozsądnego wypowiada, znajduje zawsze chętnych i gorliwych słuchaczy; szczebiot bowiem taki dźwięczy, jak... muzyka.

Co to jest? — Co to jest?

Zagadka.

Oj pęknę ze złości,
W środku mięso,
Z wierzchu kości.
Nie łam sobie główki tem,
W karnawale jesteś z niem.

(Za odgadnięcie powyższej zagadki przed godziną 2, naznaczono jako nagrodę bardzo ładny tomik poezyj).

Ostatnie wiadomości.

Teheran 16 b. m. (pocztą do granicy). Gazeta Arabska nie została skonfiskowaną. Reduta znów 23 b. m. Będzie na niej Cumberland, odgadywacz myśli.

W całéj Arabii oburzenie, że w Krakowie Orkiestra wojskowa gra tak dobrze walca z „*Barona Cygańskiego*,“ jak gdyby umieli czytać z nut. Zaś Tylko za swój bufet dostać ma order krokodyla — i tyla.

Krąży tu pogłoska, jakoby lwowska Operetka miała w tym roku przybyć znów do Krakowa, ale z nowemi chórzystkami i nowym repertoarem, lecz — bez tenora.

To nieprawda, że w Teheranie obciął tenor recenzentowi palce u ręki — chyba język.

Powiadają, że u Hawełki brak piwa, a w Wiedniu wody.

Wszyscy proszą, by „Gazeta Arabska“ wychodziła stale, gdy tak niska prenumerata, bo za darmo, a gdy będzie więcéj prenumeratorów, to za rok będzie można jeszcze zniżyć i dać w dodatku kopę orzechów laskowych.

W drukarni „CZASU“ w Krakowie. — Nakładem Dyrekcyi Teatru Krakowskiego.

Dodatek: Gazetka arabska.

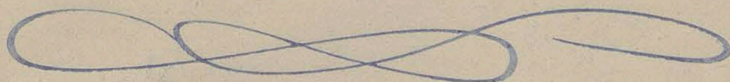
Tu już nie było żadnej etykiety
bez swoboda bez żenady...

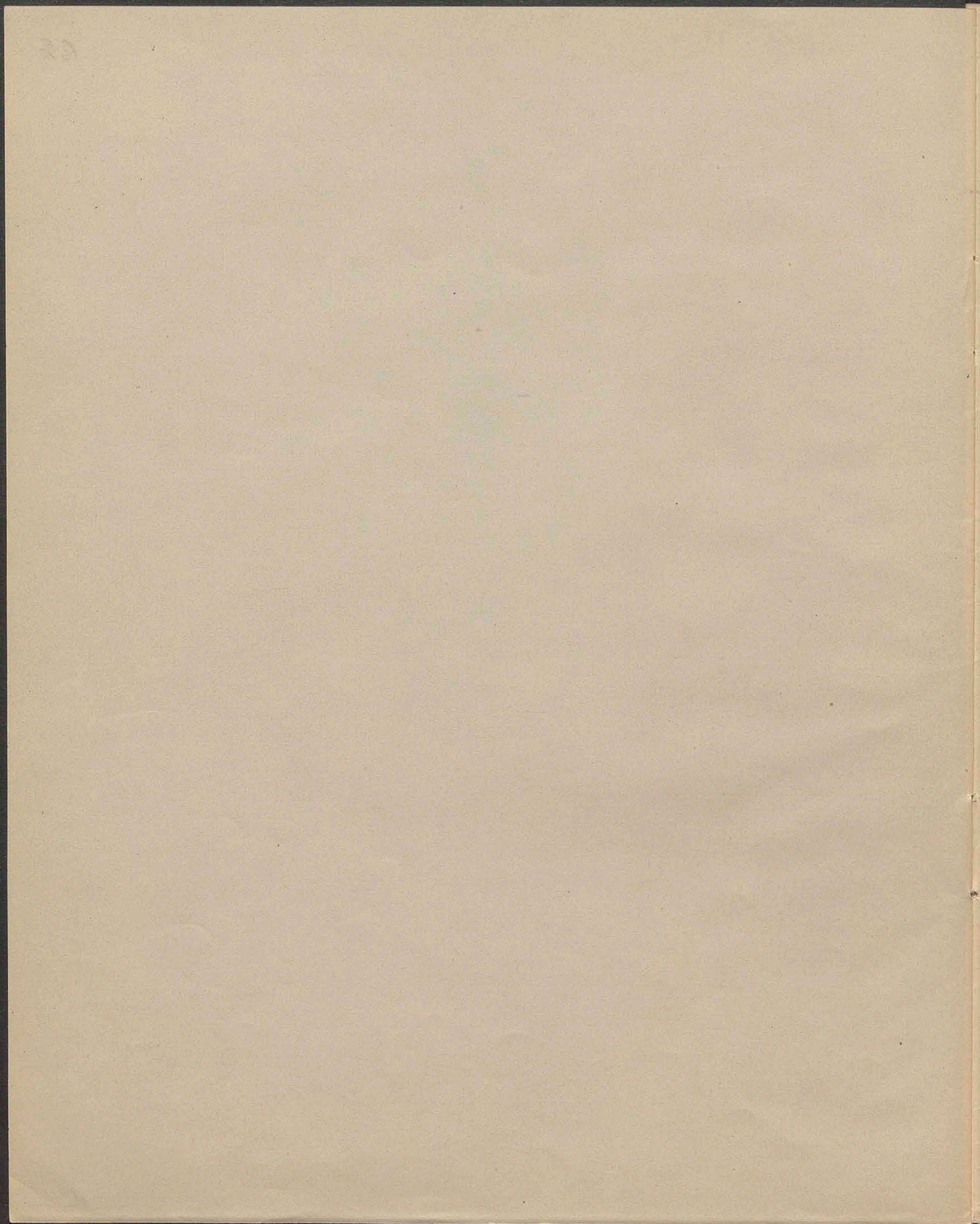
Dobry aktor krakowski Albert Ekier (komik) był renomowanym nauczycielem tańców, cała młodzież krak. była jego uczniami tanecznymi, wszyscy go znali, lubili, ciągle gonił od domu do domu na lekcje a w domu również lek. udzielał, w czem pomagała mu żona.

Czasem przychodził Ekier „podlany" na Flora bal, a głos ogólny wzywał go do prowadzenia tańców. Komenderował więc kadryla osobną grupą i proponował mazur,

swawolujące figury w kadzyłu, wśród śmiechów i krzyku, przy okropnej muzyce.

Nad ranem wracały rozpalone, lub wyblakłe, znużone, figury ciężkim krokiem ku domowi, aby odespać doznane wrażenia...

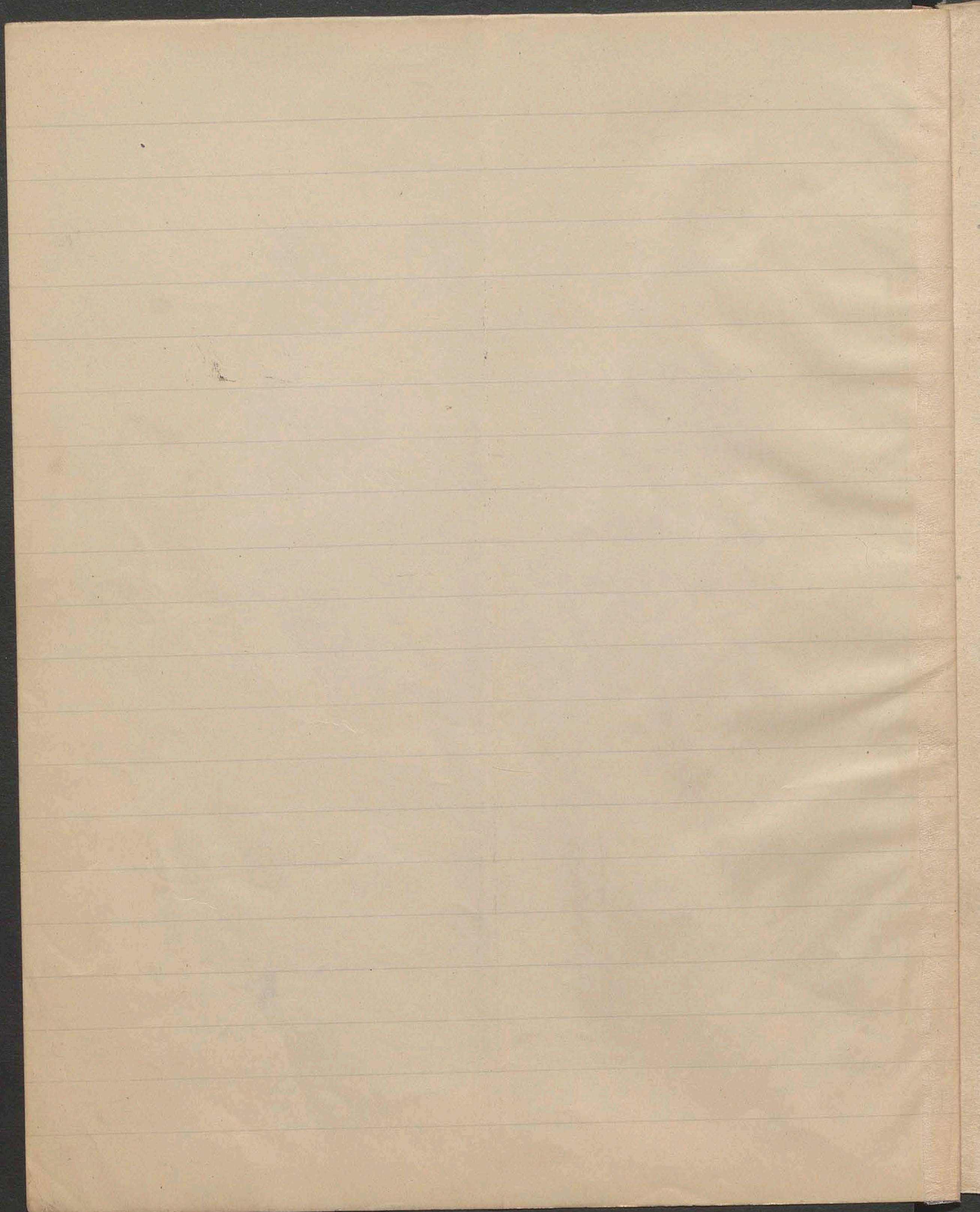




132a

Projekt
zu
Libretto.
Akt I. II. III.
1897





Przyjaciele

Opera w 3 aktach

Słowa Klemensa Bąkowskiego

1897.

N.B. Jestto projekt – w miarę potrzeby muzyki zmieni się ilość głosek, rytm lub rym wierszy i wygładzi je. Aby [illegible]

nie [illegible] z powodu [illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Osoby:

Andrzej Cellari, mieszczanin krak. ...	Bas
Barbara } jego córka ...	Sopran
Helena } ~~jego~~ ...	Mezzosopran
Sokół, szlachcic z okolic Krakowa ...	Tenor
Bogusławski, jego przyjaciel ...	Baryton
Anna, matka Bogusławskiego ...	Alt

Prokonsul (burmistrz) Krakowa

Podstarości.

Strażnik.

Żołnierz.

Żebrak.

Radcy, mieszczanie, mieszczanki, sędziowie, żołnierze luźni, strażnicy, służba.

Rzecz dzieje się w r. 1614, akt I i III w Krakowie, akt II na wsi w okolicy

Akt I.

Plac, w głębi kościół (Stej Barbary)

Sokół

(do Bogusławskiego wskazując na kościół)

Tu w tej świątyni
Codziennie z rana
Spieszy na modły
Ma ukochana.
Tu zamodlona,
Gdym zobaczyłem,
Dziwnym urokiem
Serce straciłem
A teraz ona
Dla mnie stracona, stracona.
Kadzideł dymy
Szły pod sklepienie

Z odgłosem dzwonów
Chór wznosi pieśnie,
U stóp ołtarza
Ona klęczała,
W cichej modlitwie
Tonęła cała,
A serce we mnie
Biło tajemnie, tajemnie.
Dziwne uczucie
Duszą zawładło,
Przed mojem okiem
Wszystko przepadło
Ją tylko jedną
W dali widziałem
I zapatrzony
Ją pokochałem,
Lecz serce we mnie
Bije daremnie, daremnie!
Cicha postaci
Pełna uroku
Widniejesz ciągle
W mej myśli, oku,

Widzę cię w modłach
Tam przed ołtarzem,
O niej wciąż myślę,
O niej wciąż marzę
Lecz teraz ona,
Dla mnie stracona, stracona!

Bogusławski

Wstydź się bracie
Twej słabości,
Znajdziesz jeszcze,
Dość miłości!
Ta mieszczanka
Gładkolica
Woli klasztor
Niż szlachcica!
Niechaj idzie
Na pacierze,
Serce innej
Daj w ofierze

/.

Dość szlachcianek
Znajdziesz wszędzie
Większy honor
Dla cię będzie.

Sokół

Serce się rozdraga
Do takich rad
Za nią oddałbym
Ja cały świat!

Duet

Sokół

Bo dziwny urok
Objął myśl mą
Jej tylko pragnę
Bo kocham ją,
Nie mogę pojąć
Jak mogę żyć
Gdy ona moją
Nie może być!

Bagust

To dziwny urok
Objął myśl twą,
Jej tylko pragnie
I tylko ją!
Puść ją w niepamięć
I przestań śnić,
Gdy ona twoją
Nie może być!

Sokół

Zapomnieć o niéj!
Co za rada sroga,
Gdy ją utracam
Tą pamięć jéj drogą!
I mimo chęci
Zostanie w pamięci
Serce milczeć nie zdoła
Gdy o miłość woła!

Bóg

Gdy się wyrzec nie chcesz jéj,
Innéj drogi szukać chciéj,
Kiedy nie chce – wręcz ~~ją~~ sam weź
Porwij gwałtem het na wieś,
Tam ją nazwiesz żoną twą,
Dla mieszczanki honor to;
Pocóż tracić drogo słów,
Ja pomogę – czy chcesz? mów!

/.

Sokół

Co mówisz? porwać?!
Wbrew jej woli!

Bóg

Do słodkiej niewoli.

Sokół

Żartujesz bracie!
Być to nie może!
Gwałt jej zadawać?
Kochance? o Boże!

Bóg

Co za serce bije w tobie
Co za serce bez śmiałości?
Gdy chcesz szczęście znaleźć sobie
Sam uciekasz od miłości!
Porzuć troski i zwątpienia,
Męską dłonią kieruj losem,

/.

Rzuć miłości tej wspomnienia,
Lub za serca idź odgłosem,
Porzuć miłość niewzajemną,
Albo okaż wolę męską,
Porwij dziewkę upornicę,
I z tej sprawy wyjdź zwycięsko!

Sokół

Czyś szalony?
To gwałt przecie!

Bóg

Mało gwałtu na tym świecie?

Sokół

Ludzie chodzą,
Więc przeszkodzą!

Bóg

At mieszczuchy,
Trwożne duchy!

/

Nim spostrzegą,
Nim się zbiegną,
Nim naradzą,
Nim broń dadzą,
To my sami
Z pachołkami
Ją porwiemy,
Powieziemy,
Puścim konie
W pęd przez błonie,
Tu skręcimy,
Tam zwrócimy —
Pościg pieszy
Miejskiej rzeszy
Nie dogoni
Naszych koni!

Sokół

Ludne miasto do koła,
Śmieją się ludzie wszędzie,

Gdy o pomoc zawoła,
Wnet cały tłum tu będzie...

Bóg.

Nic to nie znaczy,
Ludzi kilku mam,
Pachołków kilku
Masz ty także sam.
Gdy brzękną złotem,
Zaraz pomoc mam,
Miejskie próżniaki,
Liczne żołdaki,
Za złotych parę
Usłużą nam!

Sokół

Lecz ona – co powie ona?

Bóg

Posłuszną winna być żona!

/.

Sokół

Słusznie mówisz! rzecz skończona.
Wzrót manowców umysł mój
W niepewności błąkał się,
Szukał próżno nowych dróg
Serce obłąkało mnie!
Dziś znów widzę życia cel,
Boś nadzieję w ~~duszę~~ wlał,
Tyś ożywił serce me
I odwagę czynu dał!
Czuję w sobie duszy hart,
Znikły ślady zwątpień, burz,
Ona musi moją być,
Dawna słabość znikła już!

z [illegible]

Więc przyjacielu
Pomagaj mnie,
W chwilach nie wielu
Tu schodzą się,
Wnet dzwon kościoła
Tu wiernych zwoła,

Ona przybędzie tu,
A więc do dzieła co tchu!

Duet

Święto do dzieła
Bierzmy się dziś,
Zbierajmy ludzi
Torze w dłoń!
Kareca czeka
U miasta bram,
Nim się spostrzegną
Będziem z nią tam!
Święto do dzieła,
Oręże w dłoń
Święto do dzieła
Potem na koń!

(Odchodzą, dzwonek kościelny, mieszczanie i mieszczanki idą z różnych stron do kościoła, w końcu Barbara i Helena)

Chór mieszany:

Do świątyni dzwoneczek wzywa,
Chwałę Boga z wiary śpiewa,
Głos rozpływa się do koła
I na modły wiernych woła.
Spieszmy zatem chwalić Pana,
Upadnijmy na kolana,
Idźmy, idźmy do kościoła
Kiedy odgłos dzwonów woła,
Spieszmy wszyscy chwalić Pana
Upadnijmy na kolana!
(przechodnie wchodzą do kościoła)

Barbara

Heleno przyspiesz kroku,
Spostrzegłam go na boku!

Helena

Ktoż to był taki? mów!

Barbara

Wiesz dobrze — szkoda słów!

-/-

Helena

Czyż jego postać przykra oku,
Że stronisz tak jego widoku?
Wszak młodzian pięknej to urody!
Przyjemny, szlachetny, i młody!

Barbara

Więc weź go ~~sobie~~ proszę sobie!
Odstąpię chętnie zaraz tobie.
Nie będę mieć urazy żadnej!
No, weź go sobie – gdy tak ładny!

Helena

Żartujesz – ja mocno wierzę,
Że on cię kocha tak szczerze!

Barbara

Przestań raz przecie, proszę!
Inne zamiary w duszy noszę.
(z boku wchodzi Sokół)

/.

Sokoł

Ach pani! poczwól słów kilka!
Racz krok zatrzymać...

Helena (do Barbary)

To tylko chwilka!

Barbara (do Sokoła)

Zda mi się sposób niewłaściwy!...

Sokoł

Każdą sposobność chwyta nieszczęśliwy
Aby probować, czy bolu nie zmniejszy,
Czy nie uzyska wyrok łagodniejszy!
Cofnij twój wyrok! niech słowa łaskawsze
Nie odbierają nadziei na zawsze!
Ja myśli od cię oderwać nie mogę,
Obraz twój wiecznie zastępuje drogę,
Na jawie, we śnie, dniami i nocami
Widok twój ciągle stoi przed oczami!
Jak słońce z nieba, tak on dla mnie świeci
I myśl ma ciągle do ciebie wciąż leci!

/.

Barbara

Pożegnam Waszmość! wybacz zacny panie!

Sokół

Wyrzec się Ciebie ja nie jestem w stanie!

Barbara

Nie przystoi mi słuchać takiej mowy!

Sokół

Wybacz o pani! skończę paru słowy!
Wiem co chcesz mówić!
Twój zamiar mi znany!
Lecz racz rozważyć, nim czyn dokonany
Na który na cię zakłam kajdany,
Nim cię oddali na zawsze od świata,
Rodzica serce nim zakrwawi strata,
Nim własnym chęciom w drodze stanie krata!
Młodego serca gorące marzenia
Czas nieraz potem, doświadczenie zmienia!

Barbara

Wysłuchałam słów twoich panie,
Widząc słów tych dobre chęci,

/.

Otwartością płacę za nie:
Wypuść panie mię z pamięci!
Chcesz zapomnieć o mnie panie,
Pójdziem każde w swoją drogę.
O słów moich nie myśl zmianie —
Słuchaj dłużej cię nie mogę.

Razem

Barbara:
Chcesz zapomnieć o mnie panie,
Pójdziem każde w swoją drogę
O słów moich nie myśl zmianie
Słuchać dłużej cię nie mogę

Helena:
Chcesz zapomnieć o niej panie
Każde pójdzie w swoją drogę
O słów jej nie pomyśl zmianie,
Słuchać dłużej cię nie mogę

Sokół:
Mam zapomnieć twej miłości,
Chcesz na inną wstąpić drogę!
Cofnij słowa bez litości
Przestać kochać ja nie mogę

Barbara

Gdy mię matka opuściła,
Kończąc życia swego lata,
Gdym przewroty jej stracita,
Nic nie wiąże mię do świata!
Moja matko tyś tam w niebie,
Ja chcę zbliżyć się do Ciebie!
Będę bliżej Ciebie, Boga,
Modląc się z zakonu progu.
Ona w niebie tam przebywa,
Chwałę Pana w chórze śpiewa,
Niech się głos mój w chór ten splącze,
Niech się z matką tak połączę
(odchodzi do kościoła)

Helena (idąc za nią)

Nie słucha pociechy mojéj,
Nie słucha moich słów,
Lecz czas jéj boleść ukoi,
Wróci do świata znów.
Próżno młodzieniec prosi,
Mnie samej jego żal,

i.

Nadzieję niechaj nosi,
W przyszłości patrzy dal....
(wchodzi z Barb do koniota)

Sokół

Ach prośby nie słucha mojej
Nie słucha moich słów,
Lecz czas jej boleść ukoi,
Wróci do świata znów!
Miłością żal twój ukoję,
Nawet wbrew woli twéj,
Szczęścia otworzę podwoje,
Dla siebie i dla niéj!

Bogusławski

(wchodząc z 4 żołnierzami łucznymi)

Nie medytuj panie bracie,
Szybko teraz działać macie.

/.

Sokoł

Lecz czci dotknąć jej nie mogę,
W dom mój wejdzie jako żona,
Samej brać nie można w drogę,
Gdzież zamoczki nawrzczona?
Gdy ślub da mi nad nią władzę,
Gdy ją oddą mi na wieki,
Pod mą strzechę ją wprowadzę,
Wprzód potrzeba jej opieki!
Więc dom zacny wyszukajmy,
Tam zamożka nawrzczona,
Towarzyszkę jej dodajmy,
Cześć zachować musi żona!

Bogusławski

Więc z towarzyszką
Ją zabierzemy,
Do mej rodziny
Ją zawieziemy
J.

Zręczną rzecz całą
Catkiem dojrzała:
Obok w ulicy
Są najemnicy,
Ludzie czekają,
I konie mają,
Powóz wygodny,
I zaprzęg godny,
Za jedną chwilę
Ujedziem milę,
Rzecz więc skończona
I ułożona
(wskazując na żołnierzy),
Ci ludzie oto pomogą nam!

Żołnierz I

Spuść się na nas zacny panie,
Wszakże mocny jestem drab,
Spełnię każde przykazanie,
Jak chcesz porwę dziesięć bab!

/.

Wojna dla mnie nie nowina,
Dosyć znaków ma mój łeb,
Biłem Turka, Tataryna,
Łba nadstawiać to mój chleb!

Kwartet

Czterech żołnierzy.

Licz na naszą pomoc panie,
Animuszu nie brak nam,
Spełnim każde przykazanie,
Wszak przy boku szablę mam!
Łeb nadstawić nie nowina,
Wszak nie jeden na nim ślad,
Znają Węgry, Ukraina,
Że do boju idę rad.
By dopomódz dobrej sprawie,
Gotowiśmy guza wziąć,
Brzęknij tylko nam Taskowie,
I spokojnym panie bądź!

/.

Sekstet

Sokół Bogusławski:	Czterej żołnierze:
(pianissimo)	
Niespodzianie	Żamy panie
Niech się stanie	Tak się stanie
Jak karałem sam,	Jak karałeś sam:
Zróbcie dobrze,	Bądź spokojny,
Płacę szczodrze,	Ale hojny
Dam sto złotych wam.	Daj sto złotych nam.
Więc już pręcie	Rozumiemy
Dobrze wiecie	Ispełnimy
Jaki rozkaz mój;	Zgrabnie rozkaz twój:
Niespodzianie	Niespodzianie
Porwać panie,	Porwiem panie
Każdy w miejscu stój!	Ty cierpliwie stój!
Otoczycie,	Otoczymy,
Nie puścicie,	Nie puścimy,
Uniknie powóz nasz,	Uniknie powóz wasz,

Zróbię dobrze
Dodam szczodrze
Tutaj kieszę macz!

Ale za to
Śpiesz z zapłatą
Pełną kieszę dasz!

I żołnierz

Lecz ta sprawka,
To zabawka
Co ją darzi kat
Rzecz kosztowna,
Ryzykowna
Zmykać potem w świat!
Żołnierzyków
Pomocników ×
Musim jeszcze brać,
Za tę pracę
Jeszcze płacę,
Jeszcze trzeba dać!

./.

Bogusław

Wydrwiwacie,
Naciągacie,
Ale pal was kat!
Macie płacę,
Za tę pracę
Potem zmykać w świat!

Sokół

Rozbójniki,
Nikczemniki,
Aż wstręt bierze mnie,
Kość rzucona,
Rzecz skończona,
Trudno cofać się!

(daje pieniądze żołnierzom)

(Żołnierz I daje znak za kulisy, wchodzi jeszcze kilku włóczęgów, szeptają między sobą i z żołnierzami i wśród następnego chóru rozstawiają się przed kościołem, niektórzy klękają i żegnają się, jeden kradnie Sokołowi chustkę z kieszeni)

Chór

Zacny panie
Tak się stanie
Jak kazałeś sam,

My już wiemy
I zrobimy
Jak kazałeś nam!
Niespodzianie
Powstaniepanie
W koło znajdziesz nas,
Otoczymy,
Mur zrobimy,
Nikt nie dotknie was.
Lecz ta sprawka,
To zabawka,
Co ją karci kat,
Więc wnet z drogi
Za pas nogi
Drapniem potem w świat!
Więc wnet z drogi,
Za pas nogi
Drapniem potem w świat!

/.

Chór mieszany

w kościele z organami

(Słowa Mickiewicza.)

Pokłon przeczystej dziewicy,
Nad niebiosa Twoje skronie
Gwiazdami Twój wieniec płonie
Jehowie na prawicy.
Niech dzień Tobie święcą wierni
Śród Twego błyśnij kościoła
Oto na ziemię zniżone czoła
Oto śród ciemnej bojaźnią czerni
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ twej chwale
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie
Śród Twego błyśnij kościoła —
Spuść Anielskie wejrzenie!

Sokół (wśród chóru)

Pokłon tam biją dziewicy

I pokornie chylę skronie
A moją myśl z grzechu tonie!
(Stoi zamyślony)

Bogusławski (wśród chóru)

Teraz uważać! Wkrótce wyjdą wierni
Opuszczą progi kościoła.
Znaku czekajcie – bacznie do koła
Gdy one wyjdą w pośrodku czerni
Niech każdy krzyczy i woła:
Uciekła żona zuchwale
„Na mękę swego rodziców zmartwienie!
(Do Sokoła)
Baczność – idą z kościoła –
Wnet spełni się twe marzenie!
(Wśród ostatnich słów chóru i Bogusławskiego wychodzą ludzie z kościoła – wśród nich Barbara
).

i Helena, pomocnicy Sokoła wciskają się między nie a wychodzących z kościoła, Bogusławski bierze za rękę Helenę Sokół Barbarę)

Sokół   Bogusławski

To moja żona!
Chórem do kareocy (?)

Barbara
Co to ma znaczyć

Helena
To gwałt! pomocy!

Chór (pomocników Sokoła)
Uciekła żona zuchwale!
Na męża swego, rodziców zmartwienie!
(wzrók tych słów Sokół i Bogu.
)

starki wyprowadzają Bar-
barę i Helenę na prawo za
kulisy – ich pomocnicy od-
pychają ciekawych przybli-
żających się ludzi

Helena Barbara

Pomocy, pomocy!

Tłum

Porwać chcą
Dziewkę tą!

Żołnierz I

To nasza rzecz,
Wiara idzie precz!

Tłum

Słyszycie wołanie?!

/.

Żołnierz I

Ot babskie wzdraganie!

Tłum

To jawne porwanie!

Żołnierze

To jego żona zabiera ją,
Mąż może przecie brać żonę swą!
Czego się pchacie? idźcie precz,
To obca sprawa, nie wasza rzecz!

Tłum

Strażników wołajcie!

Żołnierz I

Ale przej czekajcie!

/.

Chór tłumu wychodzącego z kościoła i chór pomocników Sokoła:

Chór tłumu

To podejrzana jakaś sprawa,
Czy nie zbójecka to wyprawa?
Tu jakieś obce groźne twarze,
Potrzeba zawiadomić straże.

Chór pomocników Sokoła

To gładko poszła cała sprawa,
Skończona już nasza wyprawa,
Tu w koło podejrzliwe twarze,
Zmykajmy nim nadejdą straże

(rozchodzą się chyłkiem)

Tłum

Hej straż! hej straż!
Z pomoc co tchu!
Hej straż!

/.

Strażnik wchodzi

Co to za krzyk? co to za gwar?
Kto woła tu?

Chór

Na ratusz rychło bież
Alarmuj wzdłuż i wszerz,
Niech straże wezmą broń
I wsiędą wnet na koń
Gwałt wielki w białym dniu,
Porwano dziewki tu!

Strażnik

Sprawdzę co tam!
(odchodzi)

Chór

To podejrzana jakaś rzecz
Z mknęli i żołnierze precz
/.

Czyż jednak wiedział kto,
Że tu ktoś knuje co?
Tak prędko stało się —
Kto oni? Któż to wie!
Któż wiedział co?
Nikt ani śnił,
Mężem się zwał
To podstęp był!
Brat żonę miał,
Mężem się zwał,
Zabierał ją
Mąż prawo miał.
Któż wiedział co?
Nikt ani śnił
Że zdrada to
I podstęp był!

/.

Prokonsul

(burmistrz) wchodzi ze strażnicą kancei

Na alarm bić
Ze wszystkich stron
Ze wszystkich wież
Niech zabrzmi dzwon
Ze składów broń
Natychmiast brać
I przynieść tu
Ludowi dać (strażnicy odchodzą)

Chór

Dalej na koń
Dajcie nam broń
Pogoń wnet stać
Konie nam dać
Dalej na koń
Dajcie nam broń!

–/–

Cellari wbiega

Co słyszę, Czy to być może!
Gdzie moja córka? O Boże!
Czyliż to prawda? mi tęskycie?
Nie mam mej córki?
Po cóż mi życie!
Jakiż okrutny mię losy!
Grom rzućcie niebiosy!
Boże, jam spracowany, stary,
Ja przyjmę wszystkie kary
Zabierz mi życie,
Zabierz mi sławę,
Lecz ocal dziecię
Niewinne, prawe!
Na cóż mi życie moje?
W grobie troski ukoję,
Moja pociecha

/

Jedna, jedyna,
Przepadła droga
Moja dziecina!
Na cóż mi życie moje?
W grobie troskę ukoję
Życia nie cenię
Poświęcam Tobie,
Lecz ukojenie
Niech znajdę w grobie
Litościwą rękę
Wyciągnij swą,
Skróć moją mękę
Spuść Boże grom!

<u>Jedni z chóru</u>

Starzec nieszczęśliwy....

<u>Drudzy z chóru</u>

Bóg mu Łaskawy....
(Księża wychodzą z kościoła – chór księży)

Cellari

Lecz ona żyje! gdzie ona, gdzie?
Pomocy trzeba, wygląda mnie!
Strasznem zmysły - szalonym był,
Mnie życia trzeba - mnie trzeba sił!
(do chóru)
I wy stoicie jako głaz,
I wy przy boku nosicie broń,
Cała gromada jest tu was
Każdy posiada przecie dłoń
I was nie oblał wstydu cień?
Rumieniec nie padł ~~wam~~ na twarz [wam]?
Zbrodni dopuście w jasny dzień
Porwania u kościoła bram?

Chór

Któż wiedział co?
Nikt ani śnił,
/.

Mężem się zwał
To podstęp był!
Brał żonę mąż
Mężem się zwał,
Zabierał ją
Bo prawo miał!
Któż wiedział co?
Nikt ani śnił
Że zdrada to
I podstęp był!

Cellari

Nie traćmy słów,
Rzecz nagli nas
Dość już tych mów
Gdy działać czas!
Potrzeba dać
Strażnikom znać

/.

Postać tu, tam,
Do murawa bram,
Pogoń wnet stać
Konie w lot dać

Chór

Dalej na koń
Dajcie nam broń,
Pogoń wnet stać,
Konie nam dać!
Ze składów broń
Natychmiast brać
Sprowadzić konie
I broń nam dać!

Prokonsul

Co za zbrodnia nieutyczana
Wnet mię dosięła straszna rzecz

Cellari

Znikła córa ukochana!

./.

Prokonsul

Podeptana miasta cześć!

Chór

Gwałt hańiebny!

Cellari

Niepojęty!

Prokonsul

Wśrodku miasta!

Cellari

Straszny los!

Prokonsul

Rozbój świąty! Złoto przeklęty!
Taka zbrodnia!

Cellari

Co za cios!

wchodzą **Strażnicy** i rozdają lu-
dowi szable, halabardy, rusznice

Chór

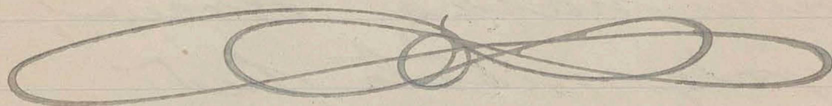
(wśród bicia dzwonów)

Za miasta ~~tego~~ i swą cześć
Poświęcim naszą krew,
Za krzywdę miasta, lud
Swe życie gotów nieść!
Kto broni swojej czci
Nie pożałuje krwi
Więc wszyscy bierzmy broń
W kim honor tylko tkwi.
W obronie miasta czci
Nie zadrży nasza dłoń,
W kim honor tylko tkwi
Niech bierze w rękę broń

Bierzmy broń,
Oręż w dłoń
Bierzmy broń!

+

Kortyna spada – Koniec
I° aktu



Intermezzo

(bezpośrednio przed kortyną wychodzą dwaj doboszę a po wybębnieniu woźny roz: wija pargamin z pieczęcią:)

Woźny (strażnik)

Królewskim pozwem
Wobec wszem
Wiadomo czynim
Pismem tem:
Iż w mieście oto tem
Niejaki Sokoł pan
Spełniwszy gwałtu czyn
Szlachecki splamił stan!
Więc kto się o nim dowie,
Niech władzy wnet to powie,
Na ratuszu lub w grodzie w Krakowie
By na gwałtownika ślad
Władze mogły wpaść,
A kto go spotka
Ma nań areszt kłaść!

(Kortyna się podnosi, zaczyna się akt II.) ./.

Akt II

Pokój w dworze szlacheckim, na prawo, lewo i w głębi drzwi, starodzwieckie meble

Barbara do Sołoby

Precz z moich ócz!
Ja nienawidzę Cię!
Oszczędzaj słów,
Bo nie przebłagasz mnie!
Nie słucham próśb,
Daremna mowa twa,
Nie lękam gróźb
Bezsilna przemoc twa!
Za cały świat
Nie powiem: tak,
I przy ołtarzu odepchnę Cię
I głośno powiem: nie, nie, nie!

/.

Sokół
(na stronie)
Nowa przeszkoda!
(do Barbary)
Posłuchaj mię droga!

Helena
Zostaw nas już waść,
Przestań z uszy kłaść,
Wzruszenie, trwoga,
Przebyta droga
Zmęczyły nas,
Odpocząć czas.

Sokół (do Barbary)	razem	Sokół (na stronie)
Lepiej sprawę zwlecz,		To ciężka rzecz
Łatwiejsza będzie rzecz,		Znów sprawę zwlecz!
Weź do namysłu czas		Potrzeba dać jej czas
Ojciec odnajdzie nas		Nim ślub połączy nas

Barbara
Wzruszenie, trwoga,
Przebyta droga.

Zmęczyły nas.
Odpocząć czas.

<u>Sokół</u> (na stronie)

Spuściła z tonu, dobry znak,
Powoli duszko powiesz: tak!

<u>Helena i Barbara</u>

Zwlekajmy ciągle jakiś czas,
Ojciec raz może znajdzie nas!

razem

<u>Sokół</u>

Wnet jutro gody!
W spokojną noc
Niechaj Cię strzeże
Aniołów moc.
Niechaj sen dotknie
Twojego czoła
Anioł niech strzeże
Mojego anioła!
Ścielę się do Twych stóp —
Idę do księdza zamówić ślub!

/. (odchodzi)

Barbara

Widzę Cię ojcze duszy ocrymą,
Jak troska ciąży Ci!
Twego drocięgia, nie ma, ach nie ma,
Samotny ronisz łzy.
Oczujż teraz osamotnienie
Jak ono gnębi Cię!
Lecz to oblatuje twoje cierpienie
Nie pójdę w zakon, nie!
Niech czas tej próby Bóg ci ukróci,
Pocieszy i raczy Cię,
Bo twoja córka, wróci ach! wróci,
Bóg nie opuści mnie.
(Wchodzą Anna z Bogusławskim)

Anna

(do syna)

Co słyszę synu?
Ona tu wbrew woli?
A tyś pomocą
Sprawcą jej doli?

(do Barbary)

O dziecię moje
Biedne strapione
Otrzyj twe oczy
Łzą zamroczone!

(do syna)

Ty na kolana
Proś przebaczenia
Ty na kolana
Za przewinienia
Za lekkomyślny
Przeproś ją czyn,
Ja z tobą błagam
O odpust win.

Kwartet:

/.

Barbara
(do Anny)

O niespodzianka
Dla mnie ta zmiana
Podzięki uslysz głos
O zacna pani
Podzięki w dani
Że stodziuś tak mój los
O niespodzianka
Dla mnie ta zmiana
Podzięki uslysz głos!

Bogusławski
(klęka przed Barbarą)

Szczęśliwa zmiana,
Ja na kolana
Błagania wznoszę głos:
O zacna pani
Serca mi rani
Że mię pobłąkał los!
Szczęśliwa zmiana,
Ja na kolana,
Błagania wznoszę głos

Helena
(do Anny)

Co to za zmiana
Tak niespodziana,
Zawitał lepszy los.
O zacna pani
Podzięki w dani
Że słodszy nam tak los
Co to za zmiana
Tak niespodziana
Zawitał lepszy los!

Anna
(do Barbary)

Córko, kochana
Bądź ubłagana,
Przeprosin usłysz głos!
Serce mię boli
Dla twojej doli
Że syna zbłąkał los!
Córko kochana,
Bądź ubłagana
Błagania usłysz głos!

Anna

Nie smuć się więcej
Twój smutku dosć,
Bądź tu jak w domu,
Tak miły gość.

Barbara

O pani droga zważ,
Płacze tam ojciec nasz
A droga daleka,
A ojciec tam czeka,
Więc konie dać nam każ!

Anna
(do syna)

Zaprzęgać każ.

(Bogusławski klaska w dłoni, wchodzi służący, daje mu gestem rozkazy, służący odchodzi)

/.

Anna (do Bogusł.)

By cię przebłagać za ten czyn
Odwiedzi cię nasz syn.
Spokojną zatem bądź,
Tymczasem sobie siądź,
Odpocząć teraz czas
Gdy w drogę ruszyć masz (siadają)
Ty synu lutnię weź
I zanuć jakąś pieśń.

Bogusławski (z lutnią)

Było raz przyjaciół dwoch,
Jeden ich ożywiał duch,
Jeden zakochany był,
Z całej duszy, z całych sił.
Lecz wybrana jakby głaz
Choć on błaga raz po raz
Więc przyjaciel litość miał
I druhowi pomódz chciał...

/.

Lecz wpadł wkrótce w żalu toń,
Że pomocną podał dłoń:
Kiedy poznał postać jej,
Sam utopił serce w niej!

Anna Barbara Helena na stronie:
Sam utopił serce w niej?

Bogusławski

Jak naprawić, co dał los?
Jak sumienia zgłuszyć głos?

Barbara (na str.)

Także dziwnie rządzi los!
Z serca płynie jego głos...

Bogusławski

Czy podeptać szczęście mam,
Od nadziei mieć bram?

Skończyć marnie życie swe?
(Służący wchodzi)
Bogusławski (rzucając listuszę do Barb.)
Konie już czekają Cię!

Barbara Anna Helena i Bogusławski

Kwartet
Pożegnanie
. . . .

Wychodzą drzwiami w głębi, ostatni
Bogusławski zatrzymując się:
Lecz jeśli on spostrzeże wczas?
Dobrze ludzi, dopędzi nas?...
Bocznemi drogi powiozę je
Dłużej z nią będę, nie znajdzie mnie!
(odchodzi za poprzednimi)

/.

Sokół

(wchodzi bocznemi drzwiami)

Gdy serce rozpłomienia
Popełnić łatwo błąd
I w chwili uniesienia
Zapomnisz każdy wzgląd.
Lecz prawda naga,
Zimna rozwaga
Rozważmy potem da sąd!
Próżne moje cierpienia
I próżny dotąd trud,
Ona zdania nie zmienia
I zimną jest jak lód.
Nie słucha prośby,
Nie lęka groźby,
~~Zimna jest~~
Dalej ja od niej jak wprzód)

(siada zamyślony, w muzyce motyw ze sceny porwania w akcie I.)

Wchodzą drzwiami w głębi: Podstarości
Żebrak – strażnicy.)

Żebrak (wskazując Sokoła)

To on! poznaję go!
To on! on porwał ją!

Podstarości
(rozwijając papier)
Królewskim pozwem
Wobec wszem,
Wiadomo czynim
Pismem tem:
Iż za wiolencji czyn
Zapozywamy waść;
Każemy sądom swym
Na waszeć areszt kłaść! } z chórem strażników

Sokół

Bezprawie to
Co znaczy, co?

/.

Dopóki sąd nie skaże mię,
Nie mogę być więzionym nie!
Znasz starszości prawa dictum:
Captivabimus solum nisi victum!

Podstarości

Wyjątek: flagrans delictum!
Lecz in flagranti
Wolno areszt kłaść,
Dziewcze w twej mocy,
Dotąd więzień waść!
Taki rozkaz mam

Chór

Taki rozkaz nasz

Sokół

Cóż uczynić mam?

Chór

Sąd osądzi tam.

Sokół

Ach ja nie wiem sam!

W tę scenę [illegible] wprowadzić trzeba (Cellarego)

Podstarości

Złagódź wing swą,
Powiedz gdzieś skrył ją?
Nie ma jej tu
Gdzież ona gdzież?
Powiedz nam wnet,
Wszak o tem wiesz. } Chór

Sokół

Co on mi gada
Jej nie ma powiada?
(otwiera drzwi na lewo i prawo)
Pustka do kata —
Ni śladu z niej!
Nic nie pojmuję
Głowy nie czuję —

Chór

Nie ma jej tu
Gdzież ona gdzież?
Powiedz nam wnet,
Wszak o tem wiesz!

J.

Sokół

Nic nie pojmuję,
Głowy nie czuję,
Ni śladu z niej,
Nic ma jej.

Chór

Więc dalej stąd
Chodźmy przed sąd
Taki rozkaz mam
Sąd osądzi tam
Więc dalej stąd
Pójdźmy przed sąd
i.t.d.

Sokół

Za płochy błąd
Mam iść przed sąd
Co i mnie czeka tam,
Zawiniłem sam
Lecz gdzie ona gdzie
W głowie mąci się
i.t.d.

Chór

Odłóż panie bracie broń
Siadaj z nami wnet na koń,

Dalej stąd
Chodź na sąd
Taki rozkaz nasz
Głowę waszeć dasz!

(Strażnicy otaczają Sokoła)

Kortyna spada

Akt III

Izba radna w ratuszu krak:



IZBA RADNA W RATUSZU KRAKOWSKIM ZBURZONYM W [illegible]

(Na prawo przy stole sędziowie, rajcy, Prokonsul, Starosta, podstarości — w głębi świadkowie — na lewo strażnicy, w środku Cellari, nieco na lewo Sokół)

Cellari:

Szlachetni, cni sędziowie!
Podnoszę skargi głos:
Spojrzyjcie: na mej głowie
Od zmartwień zbielał włos.
Zaledwo opłakałem
Żony mej drogiej zgon,
Znowu straty doznałem,
Córkę mi porwał on!
Szlachetni sędziowie
Dowodów mi nie brak:
Dość świadków to powie,
Przysięgnie, powie: tak!

/

Chór świadków

Tak powiemy,
Przysięgniemy!

Cellari:

Odpowiedz otwarcie
Czy serce twoje głaz,
Powiedz gdzie moje dziecię
Ostatni pytam raz.
Już wszystko wybaczę
Nie żądam kary twej,
Wolnym stać wyjdziesz
Powiedzże tylko chciej!

Chór sędziów

Nie żąda kary twej
Powiedzże tylko chciej!

/.

Sokoł

Prawdę wyrzekłem
Przysięgnę jeśli chcesz,
Ona uciekła,
Wierz, nie wierz!
Sam nie wiem jak
Znikła jak dym
Przysięgnę tak
Wierz słowom mym.

Cellari

Niechaj więc sprawa
Swój koniec ma,
Jak każą prawa
Niech głowę da!

Świadkowie

Niech głowę da!

Sędziowie

Tak każe ustawa,
To przepis jest prawa,
Za dziewki porwanie
Pod miecz się dostanie!

Sokoł — Chór

Ja sam się lituję,
Odcierpię surowo,
Z tym ojcem współczuję
Zapłacę mą głową!

Tak każe ustawa
To przepis jest prawa
Za dziewki porwanie
Pod miecz się dostanie

Strażnik (wbiega)

Od biegu brak mi tchu
Porwana panna — idzie tu!
(W czasie tych słów wprowadza
Bagusławski Barbarę i Helenę, te witają się z Cellarim)

./.

Chór

Słyszycie — powraca ona,
Patrycjusze! wraca stracona!

Barbara

Mój ojcze drogi!

Cellari

O jak dziecię ten błogi!

Sokół

Jakiemuż wraca drogi?

Chór

Powraca w ojca progi!

Barbara

Witaj mój ojcze, ojcze kochany
Zapomnij rychło cierpień twych!

Cellari

Witaj mi dziecię, skarbie kochany
Przyciśnij się do piersi mych!

Sobót

Co on tu robi? skądż nią przychodzi,
Och podejrzenie we mnie się rodzi!

Bogusławski:

Strzegłeś panie tę ~~córkę~~ dziecię twoje
Lecz tylko krótki czas,
Bo odzyskujesz tu dziecię swoje
O panie pobłogosław nas!

Barbara / Bogusławski

O panie pobłogosław nas!

Kawaler zacny ten / Szanowny ojcze nasz,
Opieką okrył mnie, / Wysłuchać prośby racz,

/

A jeśli wola twa | Gdy serca łączą się
Małżonkiem zostać chce. | Ty nie odmawiaj nie!

Sokół: | **Cellari:**

Niegodny zdrajca to, | Odmówny rzeczy zbieg,
Przyjaciel niby mój, | Nagrodę wreszcie los,
I w obec mnie, w oczach mych | Po tylu troskach mych
On błogosławi ich! | Tak miły dziecka głos!

Cellari
(do sądu)
Ja skargę cofam mą!

Sędziowie
Więc wolnym jest z chwilą tą!
(Strażnicy odchodzą)

(Podczas gdy Cellari z córkami rozmawia – sędziowie i świadkowie rozchodzą się i szepcą między sobą, tymczasem:)

Bogusławski
(do Sobotki na stronie)
Zdrajcą mię mienisz —
Gdzie dowód winy?

Sobót

Świadczą twe czyny.

Bog

Pozory złudne są!

Sobót

Uciekłeś z nią,
Żenisz się z nią!

Bog.

Och mylisz się!
Chciałem ocalić cię!
Gdy się strażnicy zbliżyli,
Wyniosłem ją z tej chwili
Chciałem tem ojca przebłagać,
Do uwolnienia ci pomagać.

Sokół

Pięknie z pomocy zyskałem!

Bogusł

O twojem szczęściu myślałem.
Wszak sam zwlekałeś
I sam nie chciałeś,
By z gwałtu przed ołtarz szła!
Myślałem sobie
Że znajdę tobie
Taką, co będzie z chęcią szła!
Mój przyjacielu
Od lat tak wielu
Słuchałeś zawsze moich rad
Więc radę bratnią
Przyjmij ostatnią
Posłuchaj rady, i jak brat:
Helena kocha cię
Więc z nią ty ożeń się!
/.

Sokół

Co za pomysły masz!

Bóg

Przyjaźni związek nasz
W rodzinny zmieni się.

Sokół

(patrząc na Helenę zachwycająco)
Piękna dziewczyna...

Bóg

Osłodzi ci życie.

Sokół

Zacna rodzina...

Bóg

Kocha cię skrycie.

Sokół

Rzecz poddam rozwadze...

Bog

Posłuchaj, jak radzę!

Sokoł

Zbyt nagła przygoda...

Bog

(ściskając rękę Sokoła)

Więc zgoda

(prowadzi go do Cellarego i Heleny)

Mój przyjaciel zacny panie
Porywczości ptasze swej,
Wypowiedzieć nie jest w stanie
Jak z przygody wyszedł tej:
Bo twej córy drugiej postać
Rychło tak owładła nim,
Że cię błaga by mógł zostać
Chociaż drugim zięciem twym!

Razem

~~Sekstet~~

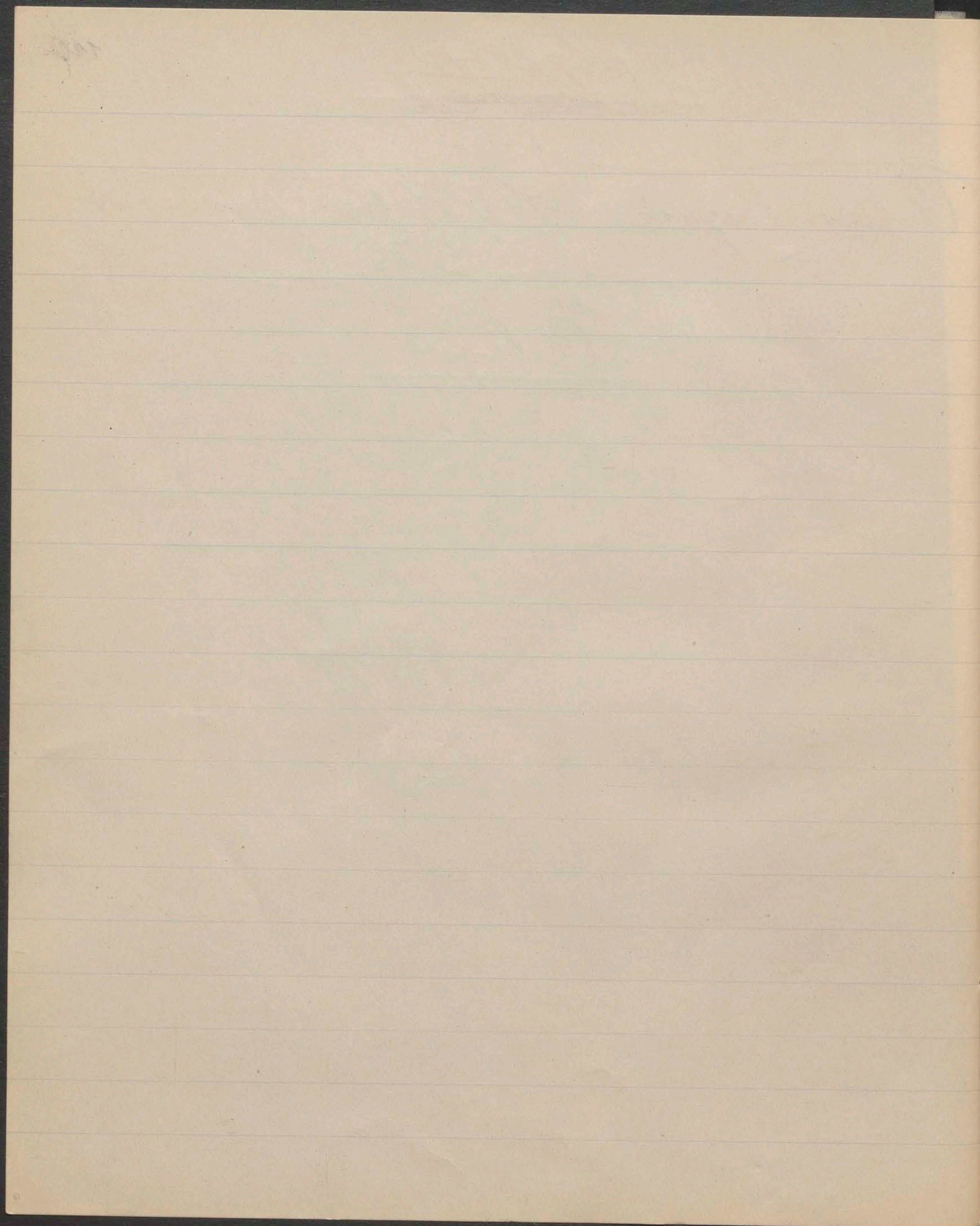
Cellari, Bogusł. Sobót Helena Barbara

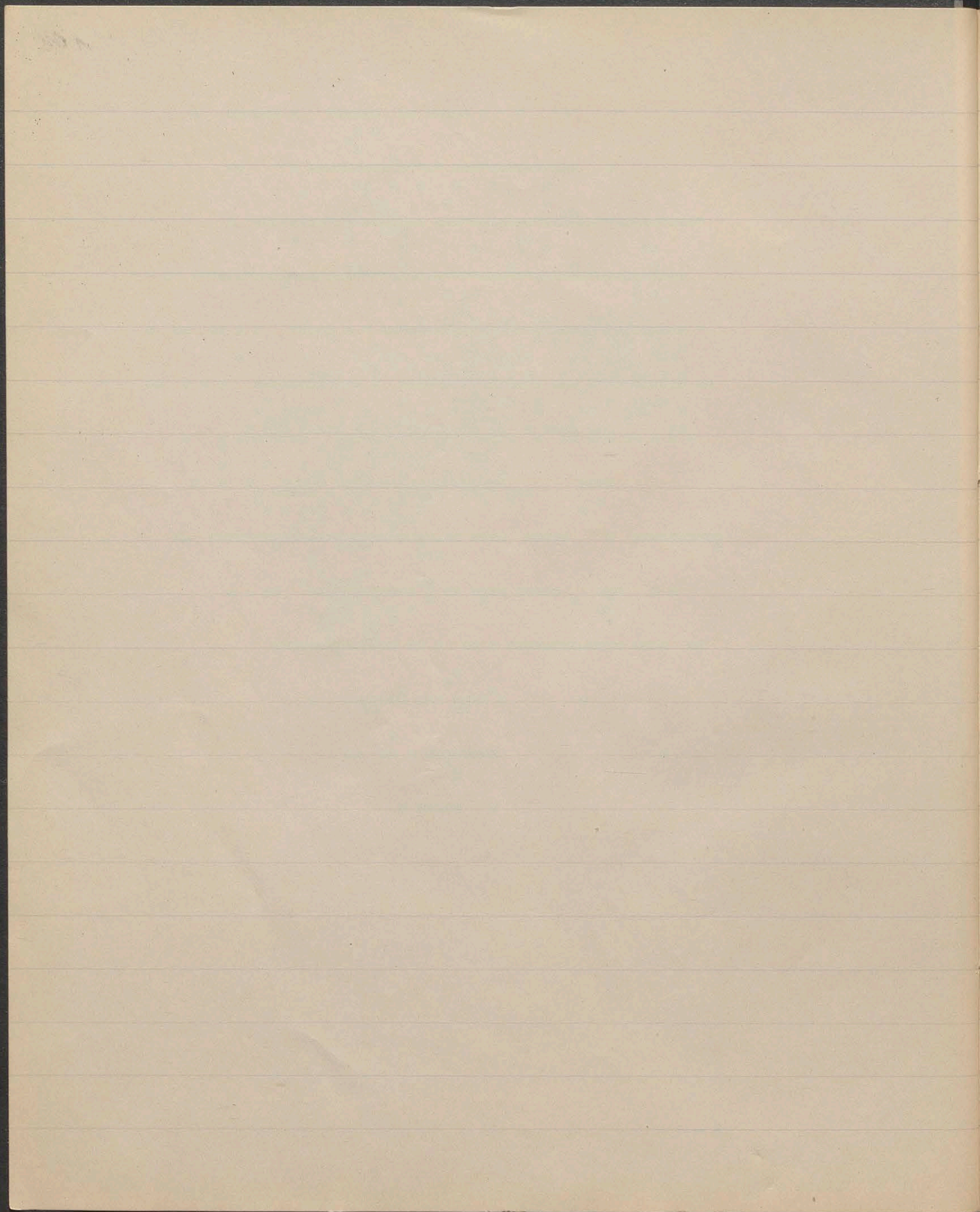
Chór

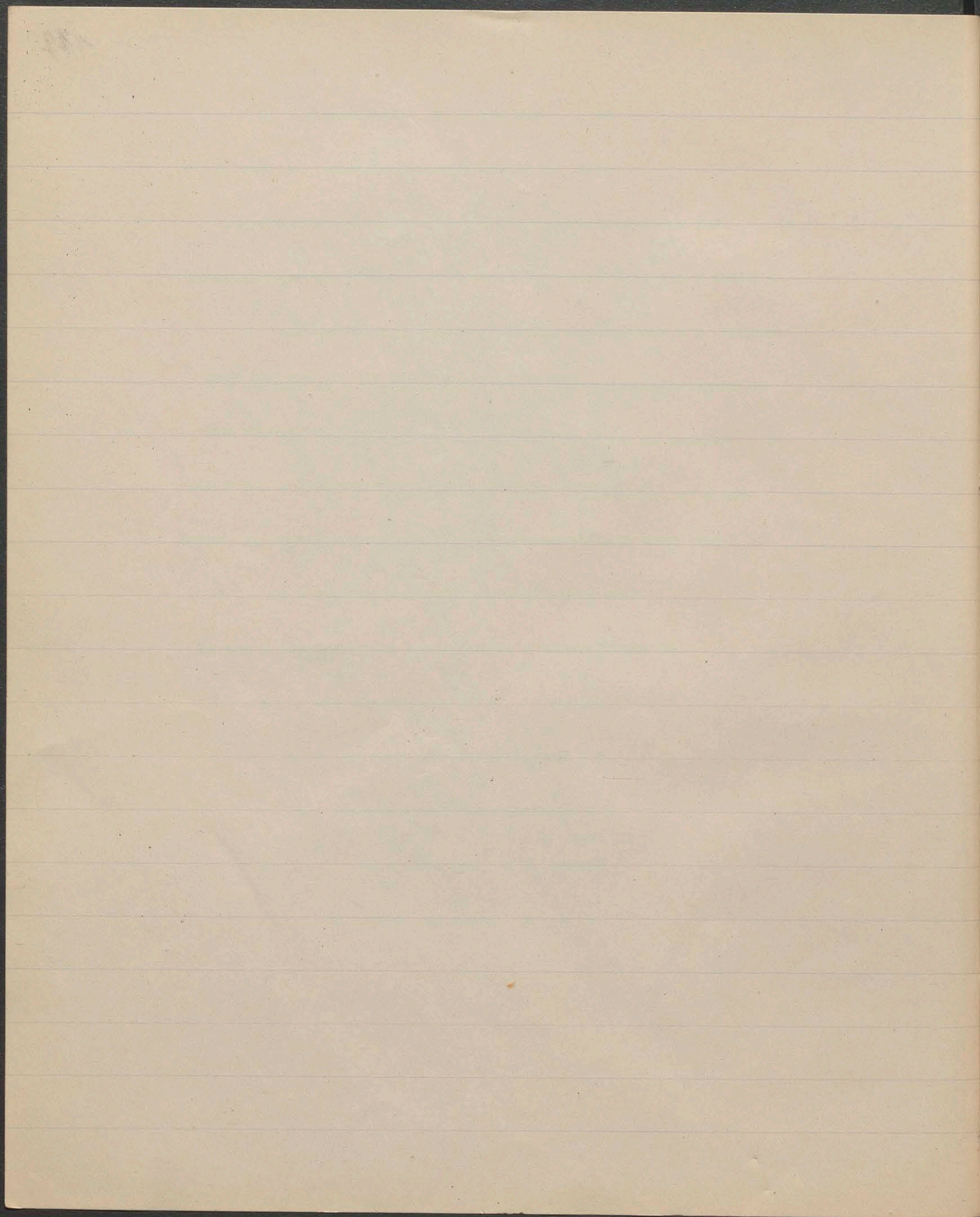
Zasłona spada

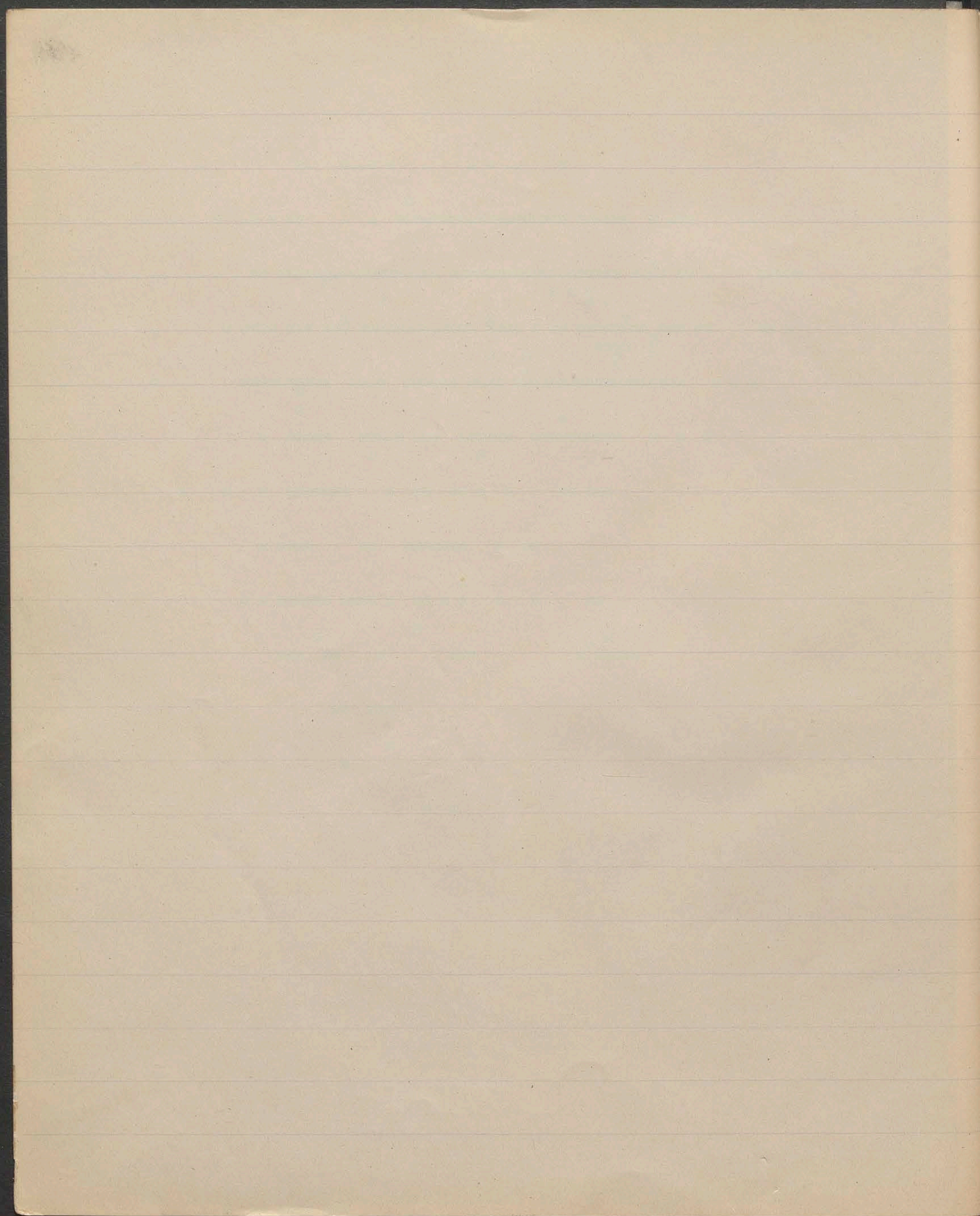
Koniec

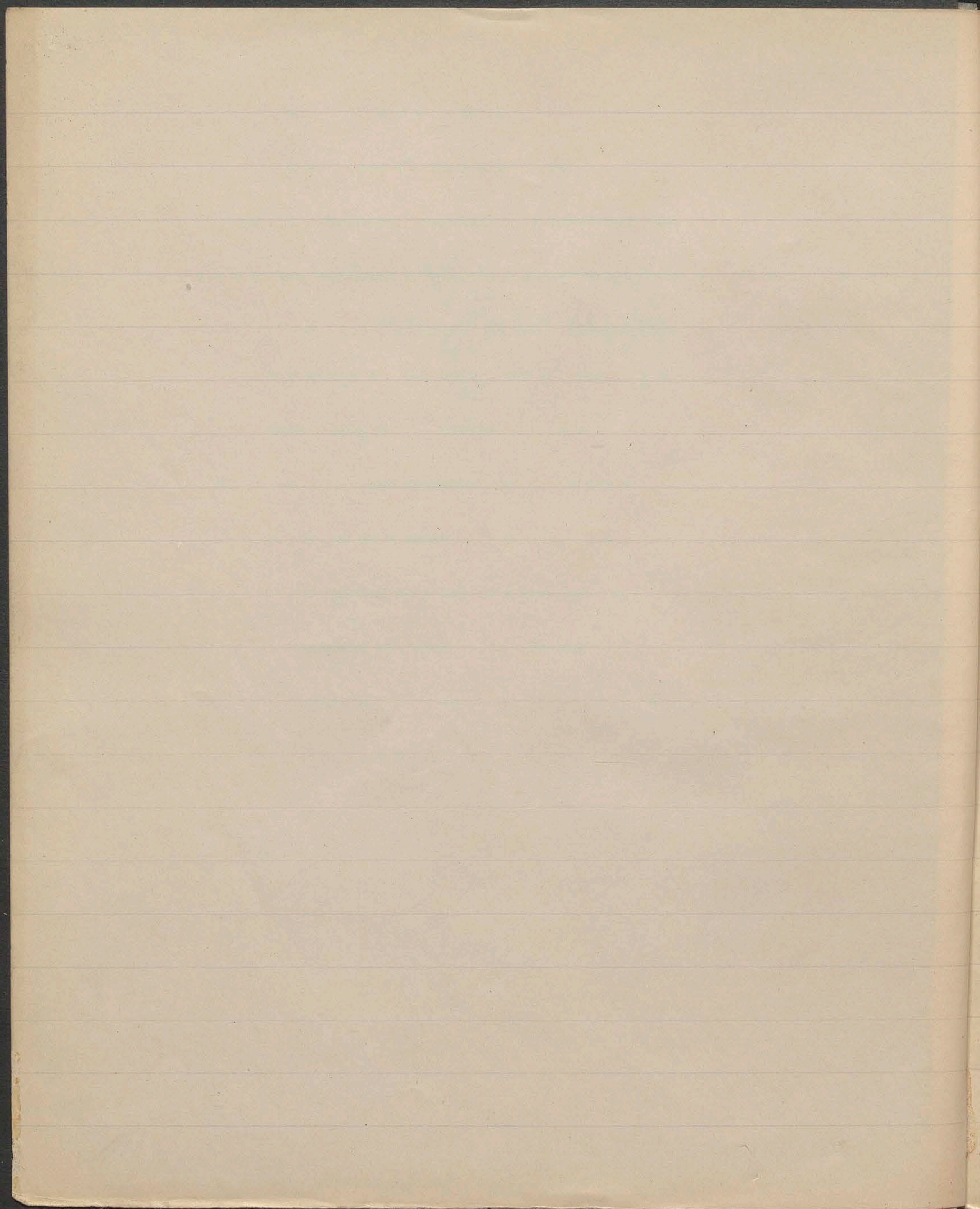
7/12 1897

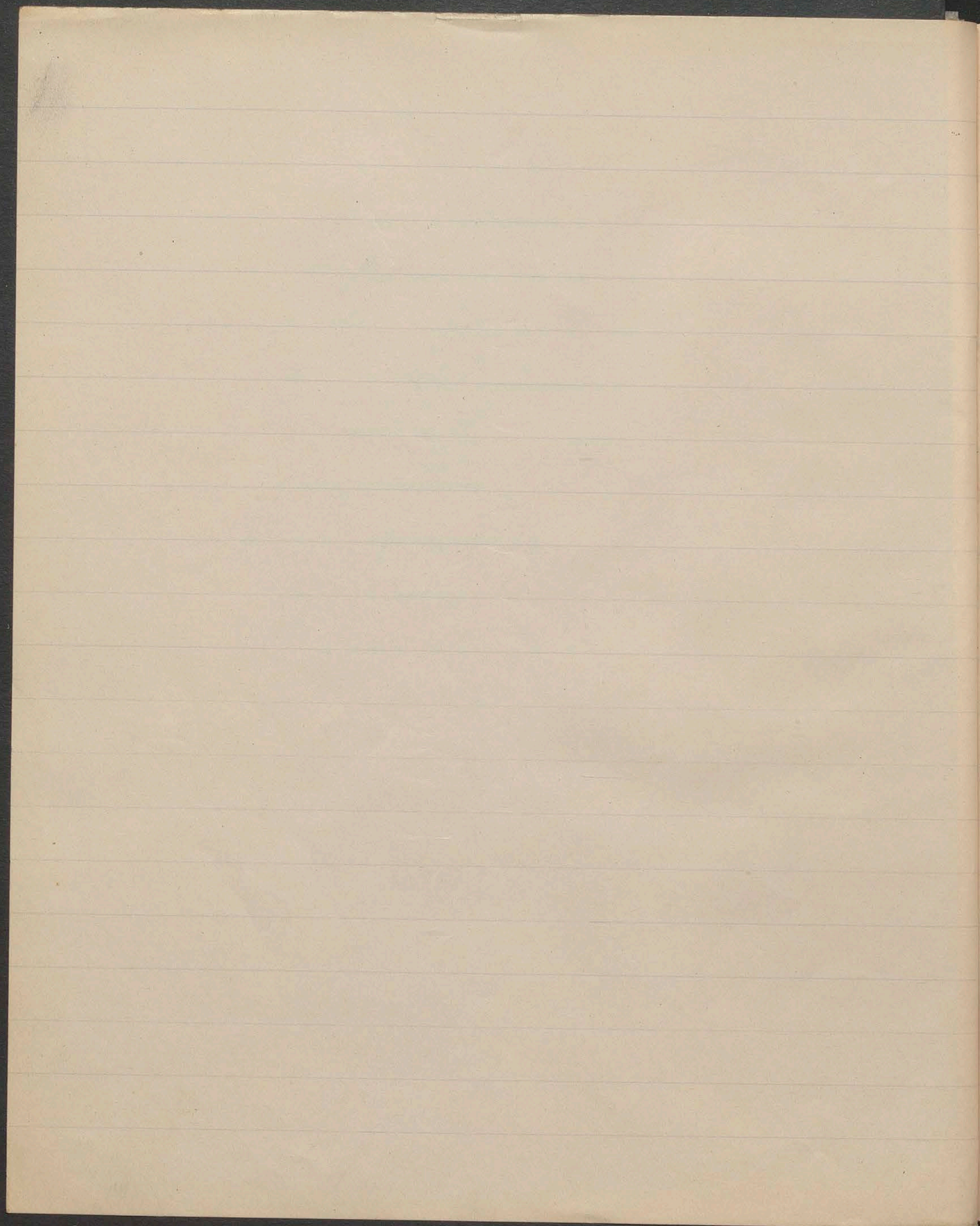


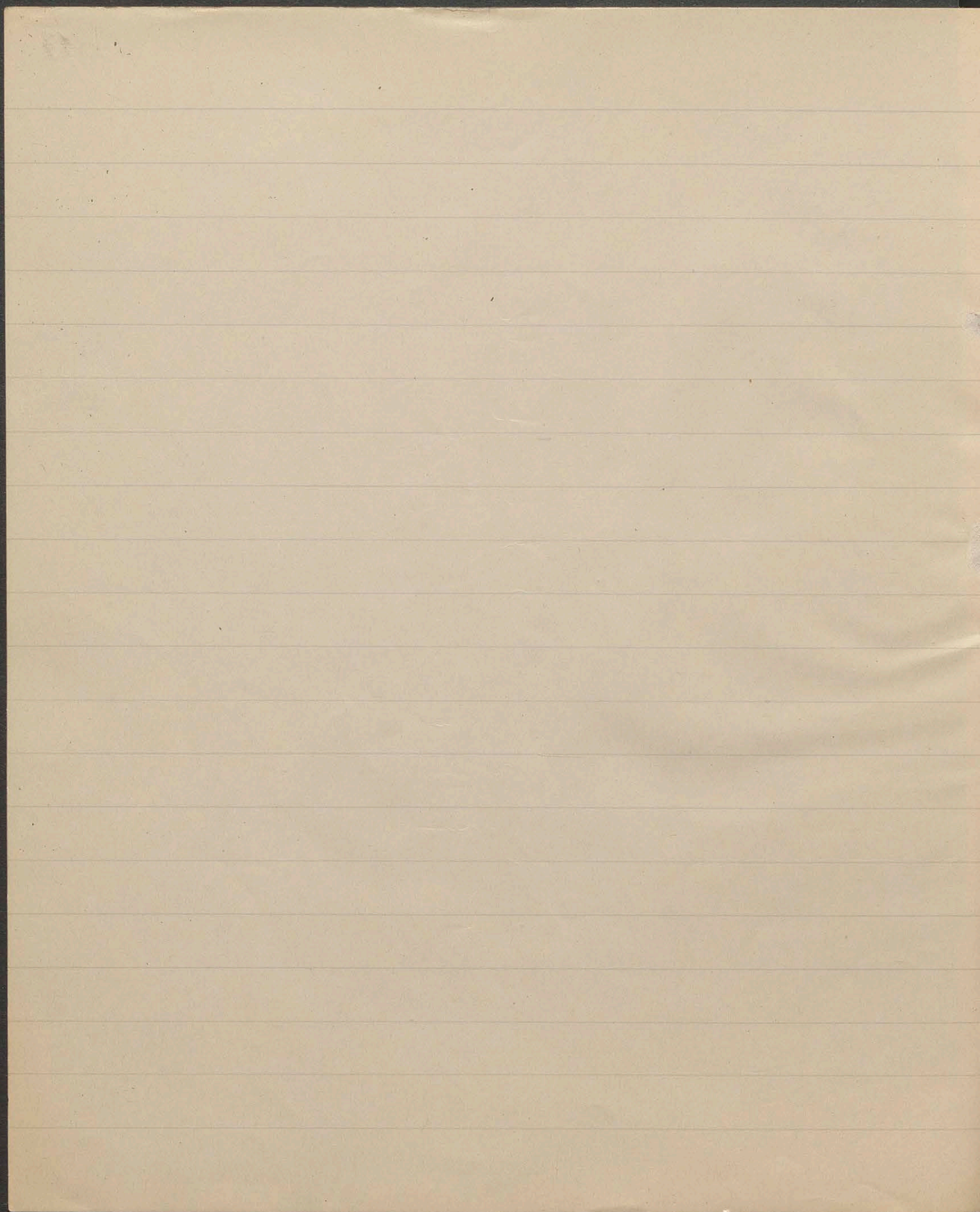


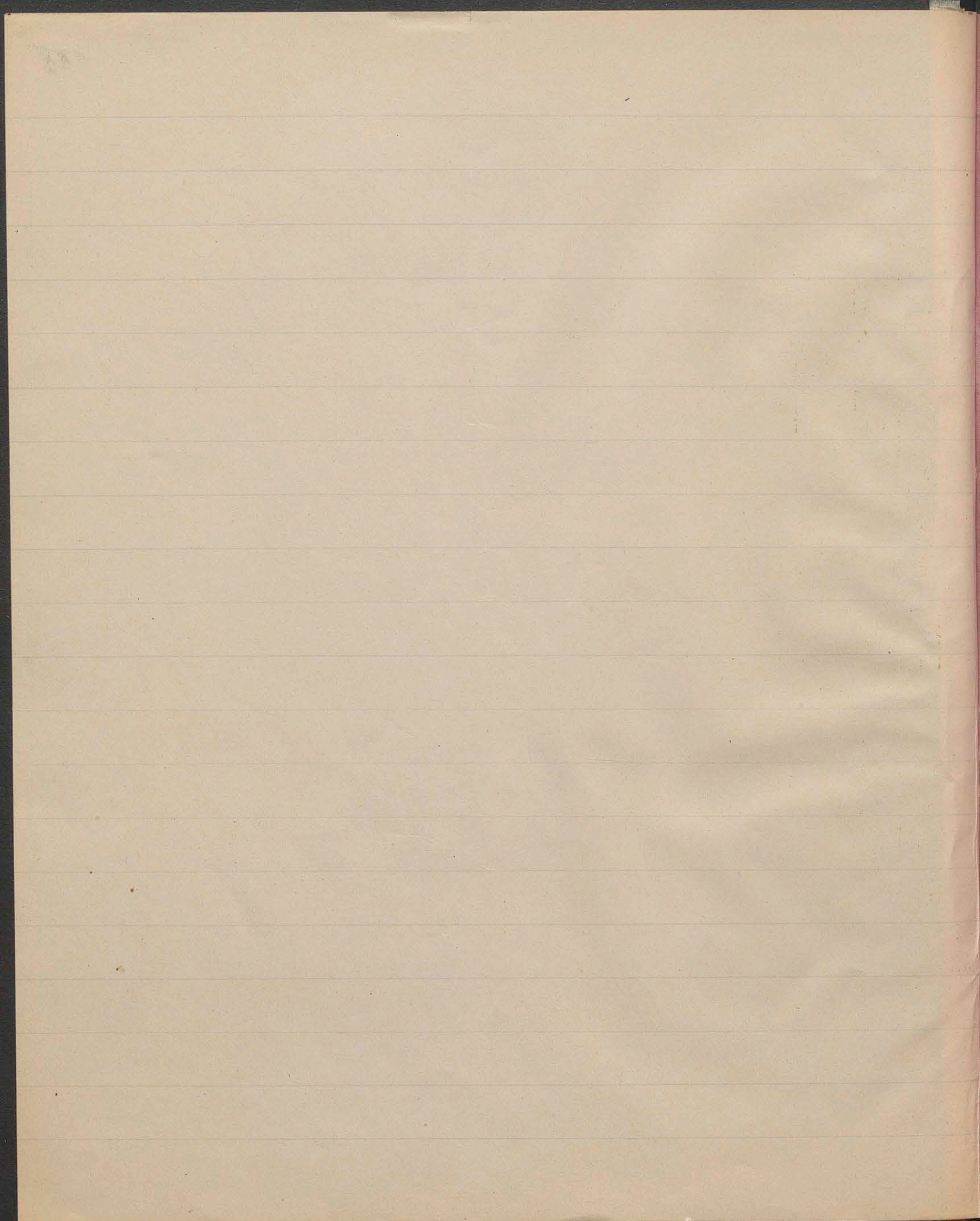












183

Stary Teatr
Powszechne głosowanie
Reklama dźwignią sztuki,

1906.

T. Stary teatr

Otwarto przerobiony na salę koncertową i restauracyę Stary Teatr. Dzienniki piszą pochwalne chwały na cześć malarzy, którzy genialnie ozdobili ściany. Wszystko opiewa sławę p. Wojtyczki, Warchałowskiego, Czajkowskiego Dąbrowy i kogoś tam jeszcze.

Idę zobaczyć to arcydzieło: Salka przecież na dole: spelunka wymalowana na biało, od dołu deski na zielono, krótko z surowych oheblowanych i na ciemno zielono posmarowanych desek, ramy drzwi ordynarnie ciemno zielone — nad deskami monotonny mały ornament z kółeczek kolorowych tworzących

/.

jakby gliny — stołki niewypoli-
~~turowane~~, a z ikil

Salka druga — ostatnia zaumrest
desek deski siwe (z bladym
niedokończonym jakimś śliczny
ornamentem, meble cokolwiek
ordynarniejsze —

Na I piętrze: bufet, pawie
kopiowane z niedawno wyszł-
tej publikacji: Kunst.

Sala muzyczna — boazerya:
z surowego drewna: deski, porna-
rowane jednostajnie, nad nią
fryz z gigantycznych kwiatów
średniej roboty —

Sala wielka — kanarkowo
cała pomalowana, wcale dobry
robi efekt, tylko bladawy nie,

szczęście koło okien szybko powracającą —

Stoczniało, ostrzeżało, wołają reporterzy pijący razem z autorami.

O wzdro! co za brak pomysłów! Co za ubóstwo koncepcyi!

Ale reklama zrobiła swoje: wszyscy chwalą — artyści twórz mistrzu kapeczne kwiaty za swe pomysły „Sztuka stosowana" święci tryumf.

N. B. Szafka ordynarna do kuchni warta 20 fl. kosztowała podobno 100. fl w nadmiarku „Sztuki stosowanej"! Przypuszczać, sztuka tak omamić publikę i kasę może jej tej.

II Głosowanie powszechne

W roku bieżącym uszczęśliwiony został naród prawem „bezpośredniego powszechnego, tajnego i równego głosowania".

Wszelka hołota odczuła równe prawo nie tylko do głosowania, ale i do kandydowania. Najobskurniejsze indywidua kandydowały przynajmniej przez tydzień lub dwa. Okazało się to niezłym interesem, bo gdy znalazł się popularniejszy kandydat, mniej popularny brał od niego lub jego partyi koszta kandydowania dotychczasowego i zrzekał się za to wspaniałomyślnie kandydatury swojej „ze względu na dobro ogółu i nierozbijania głosów obywateli." W Królestwie burżuazya

zgodziła się na kandydatów po jednym na każdy okręg i ci wyszli. Ale po prowincyi powychodziły z urny przeważnie najmarniejsze indywidua mające czas na jeżdżenie po chłopskich wiecach i trzymanie mów "po karczmach, radach powiatowych, "w domu gospodarza" i t.p. – przeważnie głupi chłopi i niewielu (z nauczycieli i) mądrzejszych księży. Z inteligencyi mało kto kandydował, a gdy kandydował, to dostał najmniej głosów, ponieważ inteligencya rada nie rada musiała w drugiem głosowaniu oddawać głos jakiemuś durniowi aby nie przeszedł jeszcze większy dureń!

Kiedyż też ludzkość wynajdzie sobie sposób tworzenia rządów z ludzi mających jakieś wyobrażenie o rządzeniu?

/.

III. Reklama dźwignią sztuki

Kwitną kartele przemysłowe a za ich przykładem zakątki w Krakowie zawiązały kartel – poetów i malarzy.

Podobnie Stanisławski – wyreklamowany na genialnego malarza, był jego ojcem. Zwiększyło w kółko znajomości dziennikarzy i recenzentów – nie wiele znających się na sztuce – wmówiono w nich własną wielkość malarzy i znawstwo dziennikarzy każdą rozmowę zobrazowano szkicem (dziennikarza) i obrazem – i wkrótce wszystkie dzienniki unisono zaczęły podnosić pod niebiosy każdy szkic, każdą kreskę malarską! Za nimi poszli poeci: każdy poeta dostał się do tego lub owego

drzemiłka i zapomniał sobie z góry pochwały i zachwyty. Dziś widzę roi się od geniuszów; każdy opis wystawy jest zachwytem nad genialnością rozmaitych malarzy, wychodzą na tem gorzej lepsi: jak Wyczółkowski, i Malczewski, bo idą do szeregu, ale minores gentes: Szczygłowscy, Dąbrowscy, Czajkowscy i rozmaici inni, a których za lat 10 może pies wiedzieć nie będzie, że w ogóle istnieli — figurują jako artyści przewodnicy. We Włoszech w czasie Renesansu nie było tyle geniuszów, ile ich teraz mamy w gazetach i w rozmowach po fiakrach. Tak samo rosną poeci, a kto nie uznaje tych wielkości — jest zacofańcem i filistrem.

·/·

~~[illegible]~~ Feliks Jasieński, zebrał piękną galeryę za darmo lub pół darmo przez to, że piał po gazetach pochwały współczesnych wynosząc ich nad Matejkę, Grottgera, Siemiradzkiego — bo to starzy mydlarze — teraz dopiero kwitnie sztuka w Polsce! Odtąd też przewróciło się w głowie malarzom: zazdrość, nadętość bez granic i arogancya. Jeden drugi marny szkic na pomiętym papierze wystawia na widok publiczny. Porządnego portretu nikt dziś — prócz od Wyczółkowskiego — nie zamówi, bo lada nowoczesny malarz namaluje mu coś zupełnie nie podobnego i żąda zaraz 1000 albo 2000 koron za tę

zamiatę! Ordynat Czarkowski zamówił portret żony u Ak-sentowicza, lecz przyjąć go nie chciał, że nie podobny. ~~Ponadto~~ A. zapozwał go o grubą sumę, ta-mtyją, świadka zeznała, że nie poznaje osoby na portrecie – ale znawcy – koledzy p. Aks. — o-rzekli wedle fotografii rzeczowo że portret jest doskonały — i biedny C. musiał zapłacić i wziąć obraz przedstawiający nie wiadomo co za Niebrzydę! Towa-rzystwo zwane „Sztuka" jest spółką malarzy wzajemnie się reklamujących ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Re-klama! ileż tu zdziałać mo-żesz!!!

/.

Grono pseudo-miłośników i
znawców bez zdania, zwłaszcza
taniej od „mistrzów" kupujących,
ochotnie rozumie wielkość ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ Marchlewskiego, Grapy
Koschel i t. d. — kto jest przeciw-
nego zdania ~~[illegible]~~ zostanie
zbesztany jako obskurant i opozycya
wszelka ucichła — chór prasy pow-
tarza dalej chwałę geniuszów i wresz-
cie całe społeczeństwo zostało za-
suggestyonowane, zwłaszcza gdy
sprytna a Sztuka "urządzająca wy-
stawy w Warszawie, Wiedniu i Mo-
nachium umiała naprzód wysłać
parę spólników chwały, którzy
postarali się zgóry o przechwalne
artykuły, na otwarcie zaprosili
arystokracyę i wybitniejsze
osobistości, które przez grzecz-

nosi wuniały chwalić, bo trudno ~~obcczym~~ autorom osobiście obce-nym coś zganić, oczywiście między niedrobnemi były zawsze parę doskonałych rzeczy ratujących sławę, a w ich słońcu ogrzały się i marności, które wrodziły do Kraju — bo oczywiście wielu tego nie kupił — z marką pochwały zagranicznej.

Wszystko to szturmuje ciągle do Muzeum Narodowego, aby ich trzeba nabywać, szczęście, że na tyle pieniędzy nie ma i kupuje się lepsze rzeczy, gdyby tak było więcej pieniędzy, toby całe Muzeum zasypano marnościami.

Do podniesienia mierności przyczynia się w znacznej mierze

„Towarzystwo sztuki stosowanej"
które doradzając w dobrej myśli
obrało najgorszą drogę chwa-
lenia wszystkiego. Co więc
wyjdzie z pod egidy tego To-
warzystwa, czy dobre, czy złe, jed-
nakowo doznaje poklasku i re-
klamy i w ten sposób zapełnia
się domy dziwacznemi
a niepraktycznemi meblami
ordynarnemi malaturami bez
żadnej inwencyi – a wszystko
to kosztuje drogo ofiarę
zamówioną na sprawienie
sobie mebli lub dekoracyi z
„Tow. Sztuki stosowanej" np.
Stroje teatr. „Prostota" schodzi
do desek heblowanych, klocków
pak, cierluch i ordynarnych

gratów. Obecnie w modzie jest pan, który musi być w niemożliwych kolorach na każdej malaturze ściennej, w meblach muszą być „ząbki" z wystrzyganek kółeczkami, przy brzegu jak od dołu, bo jak je u „artysty" oraz u góry umieści, to każdy musi się albo ~~ud~~ uderzyć o ten mebel, albo rozedrzeć na nim suknię! A temu winna jest niebaczna reklama, która nie odróżnia rzeczy dobrych od marnych i podnosi, chwali, wielbi wybryki najgłupszego nawet autora, skoro tylko stworzy dziwoląga „w nowym, swojskim (!) stylu". Ale to przejdzie. Trzy lata chorowała publika i prasa na „Zakopańszczyznę" — dziś już o niej nikt nie piśnie — tak będzie i z obecną „swojską" sztuką.

Czerwiec 1908. Jak wraz na popar-
cie słów poprzednio skreślonych o
reklamach artystów – przyszedł obec-
nie następujący epilog. Od dwóch
czy trzech lat przy sprawozdaniach
dziennikarskich z wystaw i sztuki-
szczególne pochwały dostawał Me-
hoffer, a Wyczółkowski tylko po-
błażliwie był dodatkowo pochwa-
lonym, czem tenże w swem poczuciu
wartości i pracy swej czuł się dotk-
niętym. Obecnie dowiedział się, że
sprawozdania te inspirował Me-
hoffer, napisał więc do niego list
gdzie go nazwał św.... . Mehoffer
wyzwał go na pojedynek, rycerze
stanęli z sekundantami oficerami
i machali szablami jak umieli
aż się lekko pokaleczyli – honor
został uratowany humorowo,

ale [illegible] nie pojednali się z [illegible]. Dopiero teraz zwróciło się wielu, jak to się robi reklamę i wzrasta przez nią w górę.

Naiwność publiczności pomaga do dobrego jej bałamucenia, bo reklamę dla słusznego poparcia wysiłku wystawowego przesadną, bierze za prawdę, — wszystko jest zasłonięte, byle bazgracz wyrasta na wielkiego artystę.

Brak ludzi bogatych, którzyby poparli [illegible] prawdziwej sztuki — powoduje pospieszne malowanie, fuszerkę, aby

Dla zarobku coś sprzedać. Peł-
no więc szkiców i pobieżnych
kiczów, którymi zapełnia
się wystawy. Na 200 wystawio-
nych obrazów" ledwo parę
jest "dziełami sztuki, kilka
możliwych — reszta fuszerka.

200

Tomatynek



